



Kochanęj Danusi

„ d. 16/5/1947

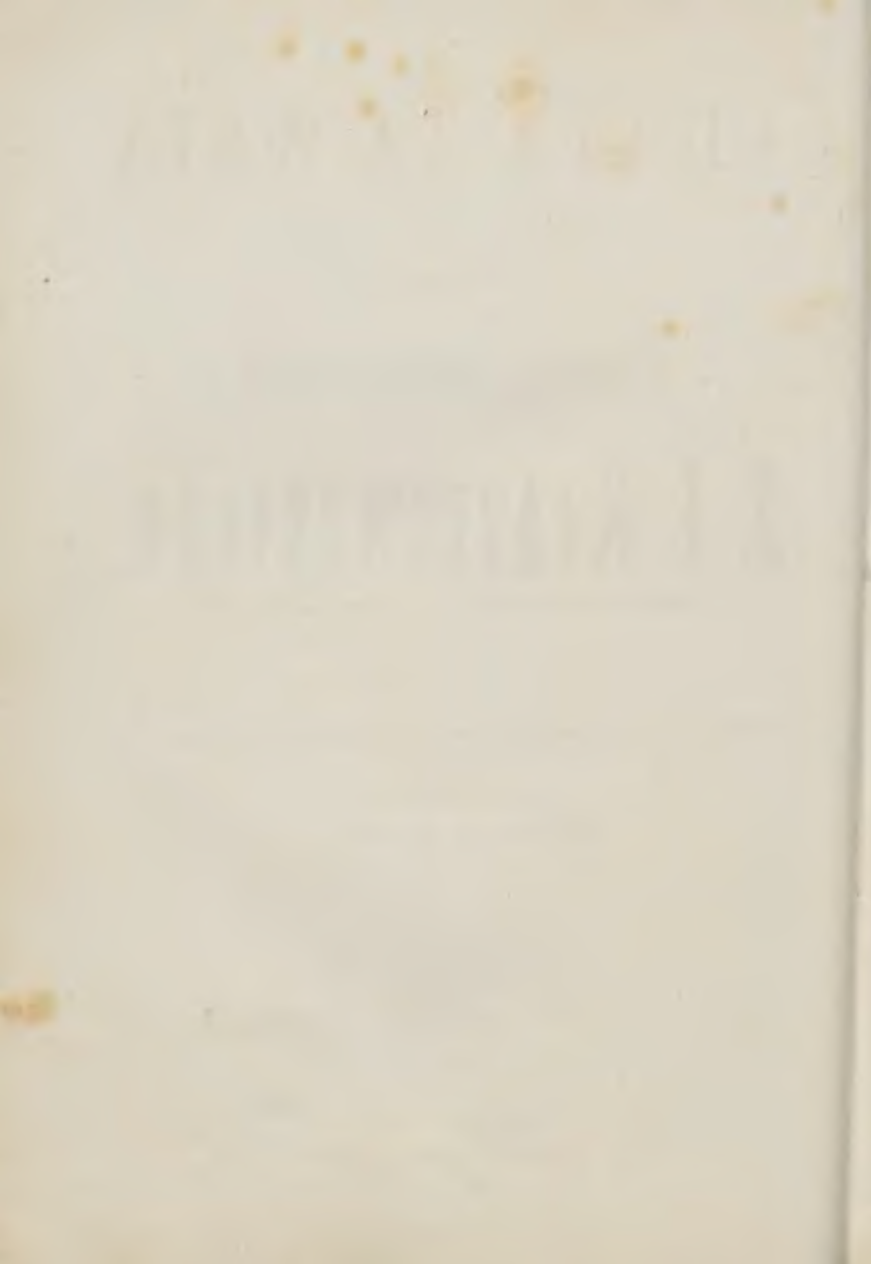
Woj. Tomo

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Aut o

Ogólnego zbioru tom siódmy.



CHATA ZA WSIĄ

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

TOM III.

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta,
przy placu św. Ducha l. 4^o.

1872

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glückeberga.



Nakładem Rogosza. Pillera i Gubrynowicza & Schmudta.

Drukiem Kornela Pillera.

Znacie już tę biedną chatkę za siołem u cmentarza, skleconą przez cygana prawie z niczego, jeno siłą woli, namiętności i rozdrażnienia. Nigdy ona nie była nową, a kilka lat życia uczyniły ją zgrzybiałą staruszką, tak, że gdy dziecię, jedyne dziecię Tumrego podrastać zaczęło, razem z biedną Motruną i lepianka pochyliła się do upadku. Co chwila potrzeba było coś podłatać, podeprzeć, podlepić i zatkać gdzieś dziurę, i spróchniałe, bo mokrem ścięte, drzewo zasztukować. Dach nie było komu pozszywać słomą, zalepiano w nim otwory kawałkami darniny, która wprawdzie nie przepuszczała deszczu, ale zbyt ciężko obciążała kruche i wątle krokiewki. W jednym miejscu nad sienią tak się już były powyginały, że niemal leżały na ścieli. Za to latem wszystka ta darń zielona, gdy się rozbujała, przypomniawszy sobie pole, z którego wyszła, gdy zakwitła, aż miło było spojrzeć na ten wiszący ogródek. Wśród gęsto posplatanych ździobeł pospolitej trawy, tu i owdzie strzelały kwiatki łąk naszych, zdziwione, że ich losy na taką wysokość podniosły. Para brzózek nawet, które tam zasiała dłoń Boża, ręką wiatru rozrzucając życie po świecie, ze swą bieluchną korą i drżą-

cemi listkami, wysoko nad komin strzelały, i dobrze część dachu stojącą jeszcze przeniosły. Słoma, której co dzień mniej pozostawało, bo raz wraz trzeba się było łątać darniną z bliskiego cementarnego rowu, służyła gnijąc za pokarm tym cheiwym przybyszom.

Gorzej daleko było ze ścianami, które się usuwały, zapadały w ziemię, krzywiły, kosily, wychylały i w końcu stały się jakąś niepojętą klejanką najdziwniej zmieszanych materiałów. Drzewo w nich niedostające zastępowały: chrust, glina, ziemia, słoma, śmiecie i co tylko było pod ręką. Jaskółcze gniazdko pod strzechą gościnną z większą nie zlepią się sztuka. Na podpory użyto rozebranej wprędce nieużytecznej kuźni, która na jakiś czas i paliwa i budulcu dostarczała. Pozostała jej słupy, horno i kupa gruzu jeszcze swem sąsiedztwem większą ruiną czyniły ubogą chatkę, ale wprędce dobroczynna matka zasiała na nagiej tej górcie pokrzywy i łopuchy, które zielonemi liśćmi wstydliwą robotę rąk ludzkich zniszczoną pokryły.

Ale człowiekowi, któremu po śmierci tak mały wystarcza domek, i za życia nie wiele było potrzeba. Wchodziło się do lepianki na wpół łamiąc, by przez drzwi niskie przecisnąć, okno ramą spoczywało na ziemi, a we środku, w tej jamce ciemnej, smutnej i wilgotnej żyło się życiem powszedniem, zupełnie tak samo jak się cierpiąc, jęcząc i stękając żyje w niejednym mozaikowanym pałacu.

Kiedy po srogiej ulewie opadła gdzieś ze ściany nalepa, albo w skwar oschła osypała się glina, i wiatr, gość nie proszony, po izdebce przeleciał: wdowa szła za chatę, rozmiesiła gliny, przyłożyła gruzu z kuźni, zaprawiła otwór, i znowuż na jakiś czas było zaciszno

i cało.

I dziewczeczka, co rosła w tej rozpadlinie, nie zajmawszy nigdy do lepszego mieszkania, nie wystawiała sobie, by co na świecie lepszem, piękniejszym, wygodniejszym nad nie być mogło. Młodość tak sobie kłamała gdy kocha, a dziewczę tak tę swoją chatynkę kochało! Dla niej większe i porządniejsze budowy zdawały się nawet smutne obok tej jamki na górze przeciw cmentarza, do której częściej wiatr niż ludzie zagladali.

Widzimy nieraz na suchej skale, w garści suchego piasku wyrastającą dzielnie i silnie roślinę, którą żywi ojciec Niebieski tylko, i stajemy zdumieni myśląc, z kąd ta wygnanka bierze soki pożywne. Miała je widać w ziarnie, które drobną łuską obejmowało wielki zaród żywota, i tą siłą tajemniczą krzepi się, podrasta, dzwiga. Tak właśnie i sierotka rosła, bujała, rozkwitała, choć nic jej nie pomagało ku temu.

Ciągle prawie zamknięta ze smutną matką, wpatrując się w zbladłe i uwiedłe jej oblicze, słuchając westchnień niewyczerpanych, owionęta atmosferą śmierci, uśmiechała się przecie do życia, i rumieńczyk czasami krasał jej śliczną twarzyczkę, a oczy poglądały pragnieniem żywota i ciekawością świata.

Wiecież, jak się wychowują wiejskie dzieci? — jak ptacy niebiescy, jak kwiaty na niwach, jak wszystko czem się sam Bóg tylko opiekuje przez ręce aniołów. Słuchają gadek wieczornych i pieśni macierzyńskiej, patrza na czynne ojców życie, dumają w polu, poglądają na niebo, i koniec końców serce się rozkołysze, i w głowie myśl rozpowie, i budzą się ludźmi jak drudzy, często od drugich lepszymi. Mniej od nas wiedzą pewnie ale czują równo, jeśli nie silniej, a więcej i lepiej zga-

dują, bo w nich mówi serce, a serca słuchać umieją...

Córce Motruny wiele nie dostawało i z tej nawet odrobiny, którą mają wszyscy; matka jej była tak ponuro milcząca, a wioska dla nich nielitościwie obojętna!

Nie było już zmowy, i nikt Motruny nie odpychał gniewem, ale zwauo ją pogardliwie cyganichą, a jej dziewczkę cyganką; i choć się Maryś umiała przymilić, przypytać, uczepić, podobać, choć jej nie odganiano: dzieci wiejskie z obawą jakąś stroniły od sieroty, uciekały od niej, a często nielitościwie płały jej figle! O! dzieci bywają okrutne!

Nieraz wybiegła w pole i rada się była zbliżyć do pastuszków, którzy, gdy odłóg był w tej stronie, pod samą chatą rozkładali ogniska, piekli kartofle i swawolili naglądając na bydełko i owce rozpiezchłe po łanie; ale chłopaki i dziewczęta ledwie ją zoczywszy, szeptali: „Doczka czarownicy! cygańskie dziecko“, i rozpiezchali się po jarach. Biedna Maryś przysługiwała im się to przyniesionym ogniem, to trzaskami, to trochą łomu; przyjmowali od niej podarek, ale ani się było z nimi rozgadać, ani poweselić, ani podrużyć.

Marysia najczęściej była samą, samiuteńką, i tak już przywykła powoli dawać sobie radę, że ją ludzie nie nęcili. Patrzała nieraz dni całe, usiadłszy w progu chaty, na przeciwległe cmentarzysko i wzgórze, na którym, zdaje się, nic do widzenia nie było, i umiała tam dojrzeć dziwnie zajmujących rzeczy.

Przelatywała jaskółka raz niosąc w dzióbku trochę błota, to znowu odrobinę słomy lub pierza; Marysia szła za nią oczyma tam i nazad, pilnie przypatrując się pracowitej ptaszynie, tak, że te swoje sąsiadki znała niemal każdą z osobna i po ruchach i zajęciu rozpozna-

wała. Wiedziała ona, gdzie której gniazdeczko przylgnęło i z kąd sobie żywność nosily, a po niespokojnych ich krzątaniach uczyła się poznawać nadchodzące burze. Bawily ją szczebiotliwe wróble i drobne ptastwo gniezdzące się na kilku wierzbach cmentarnych i elegantki sroczki, często o dwa kroki od niej przechadzające się po gościńcu, ale nadewszystko małutkie susły, których tam niezliczona ilość okrywała brzegi pola i naddroże.

Pogodnego dnia, miesiecznej nocy, gdy cicho było dokola, susły miały zwyczaj na progach podziemnych domostw swoich używać świeżego powietrza, i zasiadać rzędem, pewnie na jakąś gawędkę, a Marysia dech w sobie zatrzymywała, by ich nie popłoszyć najmniejszym szelestem: bo trwożliwe zwierzątka zaraz znikaly w swych pieczarach. Zabawne ich ruchy, skoki, głos nawet przerywający ciszę, miłemi byly osamotnionemu dziecku.

A że gościniec dość był z tej strony uieuczeszczany, pola rozlegle, lasy niedalekie: ciekawe dziewczę miało choć rzadziej i mniej pospolitych gości. Po nad chatynką przeciągnęły nieraz kaczki, lecąc na nocleg do bliskiego ługu, zjawił się zajaczek nurywający rosą lub skubiący zieleninkę, posiadały czasem siewki, pokreśliło się hałaśliwe stado szpaków, zabłąkała z dębniaku kraszka niebiesko-pióra... a epokę stanowiły dropie na grubyh nogach i podrózne żurawie... I było na co patrzeć i podziwiać się czemu.

A czy to wiele potrzeba takim oczętom młodym, co na wyłot świat widzą żywym jakimś instynktem, niepojętą siłą serca i przecucia! Nieraz chimura komarów, para żółtych wiosennych motyli, piórko ptasie, które wiatr unosił w powietrzu, bujając niem na wszystkie strony, trzymały jej oczy długo, długo, ścigające

zjawisko, dopóki tylko mrzyło w dali w powietrznych obszarach.

I myślała Maryś o Bożym świecie, o stworzeniach bożych, o kwiatku co nie zasadzony i nie polewany wykwitał u proga, a marzenie jej było jak bajka cudowne, i jak pieśń poetyczne i jak młodość świeżości pełne.

A gdy przyszło w słotę, w burze i chłód zamknąć się z matką w izdebce, to dziewczę szczebiotało potem, że i milczącej Motrunie słowozust wyciągnąć musiało, i nieraz wywołało śmiech, opowiadanie, nankę — lub żale.

Zresztą już Maryś odgadywała cudownie. czego jej matka odpowiedzieć nie mogła. Biedne kobiecisko tak było życiem znękaane, tak cierpiało w sobie, a podnieść się nad boleść swoją nie mogło: że nawet miłość macierzyńska rzadko jej otworzyła usta, a ze zwiedłych warg zwiedle ulatywały słowa, nie wiele mogąc nauczyć.

Bo gdy dziecie rade było świat Boży, ptasi, kwiecisty, zielony, widzieć wesoło i jasno; z ust matki same słyszała narzekania, żale, a czasem... czasem nawet przekleństwa. Ta sprzeczność widoku wiosennego ziemi i wiosennego bicia jej serca ze słowy macierzyńskimi, długo się w główce dziecka pomieścić nie mogła, i pierwsze dumania zrodziły się ze sprzeczności niepojętej dla Marysi, której sobie rozwiązać nie mogła.

Z jęku matki wyczytała pierwszy raz cierpienie, męczeństwo, boleść, których nigdy nie widziała wśród ulubionych stworzeń, zawsze wesołych aż do zgonu i szczebiocących przy skonaniu; i pomyślała biedna, że albo matka jej była wyjątkiem, lub może żalność jej była skutkiem wieku i choroby.

Jej pojęcie życia tak było fałszywe, tak dziecinne, a tak pierwotne, że gdyby była całą myśl swoją wyspowiadała najzakamienialszemu z ludzi, byłby się nad jej weselem, ufnem w dolę i przeszłość, rozplakał łzami krwawemi. Jak ofiara nwieńczona kwiatami szła naprzeciw losu, co ją oczekiwał groźny, nie widząc jeszcze ani noża, ani stosu, ani bóleści, co na nią zaczajona czekała, tylko drogę umajoną i wysadzoną kwiatami w złotych sukienkach.

I rosła tak Maryś z nieopatrzmem weselem, którem Bóg ozłaca pierwsze chwile młodości, pierwsze brzaski życia; a Motruna co dzień, co godzina, zdawała się latami starzeć i chylić ku przedwczesnej mogile. Nie żyła już, dogorywała tylko.

Nawet ukochane dziecko do żywota przywiązać jej nie mogło; bo sił do niego brakło i z tchem każdym reszty ich ulatywały.

Zimny pot występował na czoło matki, gdy pomyślała, jak swą sierotkę zostawi samą jedną na świecie samiuteńką niebogę; serce jej biło strachem, ale uścisk serdeczny którym wiązała się ze swoją dzieciną, zamiast ją ożywić, do reszty ją osłabiał i w dziwną, pożerającą rzucił gorączkę.

Przychodziło to powoli, nieznacznie i rachując na powolność swej choroby, łudziła się Motruna nadzieją, że Marysię wychowa, nim oczy zamknie na wieki; ale myliły ją rachuby. Słabość ośladła ją niepostrzeżona, zrazu szła zółtym krokiem, potem postępowała coraz chyżej, coraz szybciej, aż dnia jednego postrzegła się biedna kobieta, że już wiadra ciągnąć nie może, że najłżejsza dREW WIĄZKA jest dla niej niepokonanym ciężarem, że samo chodzenie po izbie nuży ją śmiertelnie.

Usiadła na łóżku i zapłakała po cichu. Maryś na wszystko miała oko, ale wycieńczenie matki przypisywała starości tylko, wystawiając sobie Motrunę daleko, daleko starszą niżeli była w istocie; i gdy postrzegła niemoc jej, wzięła się tylko ochoczo do zastąpienia jej w pracy.

— O! nie turbujcieżbo się mateczko, — zawołała podskakując do jej kolan, — wszakci to ja na to rosnę i już cię potrafię wyręczyć. Próbowałam dwóch wiader pełnych, i chociaż się trochę zginam pod niemi, ale mi je podnieść nie trudno; drew i spory oberemek zarzucam jak piórko na plecy... Odpoczywajcie sobie spokojnie, a mnie tylko znaczek dacie, to zobaczycie, jak się sprawię.

Szczebiotanie dziecięcia jeszcze gorętsze lzy wycisnęło z oczu biednej kobiety, która w milczeniu przycisnęła ją do serca.

— Gołąbku mój, gołąbku, — odpowiedziała cichym głosem — ochoty ci nie brakuje, ale gdzie te siły, któremi się tak chwalisz? Dobrze ci pobawić się z wiadrami, ale dźwigać wodę pod górę, ale przynieść drew z lasu, a! i tyle, tyle ciężkich robót poopędzać koło domu, nie twoja to siła, nie twoją!

Maryś pokiwała mądrą główką.

— Posłuchajcieño matuniu kochana! — zaśpiewała dziewczynka swym ptasim głosem — wyście to mnie nie raz wieczorami dawniej rozprawiali różne piękne rzeczy, a ja dobrze je zapamiętałam... Ot! byle kto mocno chciał, zdaje mi się, to co zamyśli, robi.

— Moja Maryś, tak w bajce!

— A cóż to bajka matuniu? — to wczorajsze życie.

— Bajka! at sobie wymysł ludzki na pocieche tę-

sknego żywota... Może tak i bywało dawniej, ale dziś już tak nie jest: świat taki smutny, ludzie tacy bez litości!

— Tobie się tak zdaje matuniu; a choćby i źli byli, taki cóż? — dobrego obroni przy nim dobra siła, zła nie nie zrobi czystemu...

— Daj Boże! a! daj Boże! — i westchnęła biedaczka, bo więcej wypowiedzieć nie chciała.

Miała na ustach spytać swej Marysi, coby poczęła, gdyby jej matki nie stało; ale na to brakło odwagi, zasmucić nie chciała dziecka, obawiała się przestraszyć.

Marysia tymczasem naiwnie się cieszyła, że teraz sama matce będzie służyć i gospodarzyć w domu.

Bóg wie co się tam roilo w tej głowie dziecięcej: — czysta bajka z wieczornicy! Spać jej nie dawało marzenie, tak pracowała, tak się krzątała ochoczo, tak umiała chatynkę, tak w niej już ład i dostatek tworzyła cudem, pełna ufności w Boga i ludzi.

— Już wiem! już wiem jak to będzie, — szeptała przewracając się na twardej pościółce — będą ludzie iść z jarmarku, wyjdę sobie na drogę, i stanę i uśmiechnę się i pokłonię: chybaby serca nie mieli, gdyby mi też który nie podarował choć... jagnięcia, choć kozłatka, choć czarnej kurki czubatej. Rozchoduje, będzie za rok cztery, za dwa lata dużo, dużo — cała trzoda, całe stado... Na wsi przędziwa wiele, ja już umiem prząść i nie grubo, nie radowinę, ale na ośmnastkę, na dwudziestkę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na koszulę dla nas nie naprzedła i nie zarobiła to serka, to jaj trochę, to maki, to krup, to okrasy... O! to pójdzie... zobaczy matka! A potem przyjdą swaty od najbogatszego we wsi gospodarza, przyniesą matce podarek

okrutny, pokłonią się do kolan, pocałują w rączkę... i będzie w cerkwi wesele, będzie dziwować się ludu mnogo; a teść mój matunię umieści jak u Boga za piecem, w cieplej, nowej, białej chacie; tylko jedz, spij i używaj!

I tak daleko serdecznem marzeniem leciało dziewczątko, że się już widziało gospozię, matką, siwowłosą staruszką; ogromne, pełne zboża zasieki, stajenki pełne bydła, podwórko ptastwem bielejące... i — sen w końcu skleił powieki zwilżone łzą niespokojnej radości.

Gdy się zbudziła Marysia, ujrzała nad sobą matkę bladą, wóźólką, chudą, jakby przez tę jedną noc dzie sięć jej lat przybyło, z kijem w ręku stojącą nad jej pościółką. Po narzuconej na plecy świcie, po białym rańtuchu, po starych butach, które na nogi wdziała Motruna, poznała Marysia, że się gdzieś wybiera, i sądząc że myśli iść po wodę, żywo skoczyła by ją uprzedzić.

— A dokądżeto? dokąd? matuniu? — spytała przestraszona, — i po co ci wstawać było?

— Leż dziecko, leż, ja na wieś pójsć muszę.

— Na wieś? po co? to mnie poszlijcie.

— Nie można, serce, uie można, gołąbku kochany; pójdę do Sołoduchy, poradzę się jej na niemoc moją.

— Ja ci tu Sołoduchę sprowadzę.

— Nie, uie! ty pozostań w chacie: mnie taki samej trzeba.

— Aleś ty słaba.

— To nic, dojdę o kiju, dojdę... A tobym się rozleżała na nic... Ot zaraż i powrócę...

Marysia chciała się opierać, ale Motruna milcząc drzwi otworzyła i choć chwytając się za ściany i uszak¹

szybko wyszła na podwórko.

Dziewczę wyrzało tylko za nią z bijącym sercem, zawołało jeszcze raz pocichu, i pozostać musiało.

— Otóż kiedy tak! — pomyślała upinając spodniczkę i narzucając fartuch na głowę, bo dzień był wilgotny, — zwinę się i przyniosę wody, rozpalę ognia, przygrzeję juskę nim matka powróci... Zobaczy, jaka ze mnie gospodyni.

Gdy się tak ochoczo krząta w chatynce, Motruna tymczasem powlokła się do wsi nieboga. A tak to jej teraz zdało się daleko! Co ujdzie kroków kilkanaście, to stanie i odpoczywa, i wciąga powietrze, jakby go już brakło na świecie; i znów pospieszy niecierpliwa, a wnet przysiada, bo drżą nogi, bo się w głowie kręci. Idzie tak, idzie do chaty Sołoduchy, bo to stara znachorka i całej wsi lekarka; ale chata daleko, daleko, na drugim końcu siola, a siolo wielkie, a droga górzysta.

Młodyby przebiegł w minut kilka, co jej iść było potrzeba godzinę; dobrze jeszcze, że po drodze to płot, to ścianka, to kamień, to drzewo, oprzeć się lub przysiąść pozwoliły; a i tak ciężko dźwignąć niemocy ciało, które się ołowiem zdaje. Chata Sołoduchy jakby coraz nciekała, ale wreszcie już ją widać: postrzegła wrota i jakoś łżej na sercu, że choć w drodze nie padnie.

Dwie biedy najprędzej się jakoś zbliżą do siebie. Sołodusze także świat nie był rajem, choć jej nędza ani w połowie nie doszła do nędzy cyganichy. Naprzód stara miała męża dziada, ślepego prawda, niezdare, pijaka, haraburdę, który jej często gęsto boki łatał i głowy nadszczerbił; ale też sprytny włóczęga i groszaki przynosił i nieraz torbę pełną sucharów i wszelakiej ludzkiej jałmużny. Miała chatę pilnując wrót na lan i

sposób do życia ze swego znachorstwa. Bóg wie jak jej przyszła ta mądrość: ot tak, po prostu z wiekiem i zmarszczkami. Ten i ów jej się poradził, pomogła jednemu i drugiemu, zaczęto ją brać do słabych niewiast za babkę, a potem już i febrę i łamanie w kościach, i czego nie nauczyła się leczyć! W ostatku cała wieś innej nie miała lekarki.

Niebardzo ją ludzie szanowali, bo Sołoducha językiem nie darowała nikomu; ale aby kto stęknął, szła koza do woza — i ot... tak się żyło z cudzej biedy.

Stary Rataj (byłoto rodzinne nazwisko męża Sołoduchy) nie zebrał ciągle i nie wałęsał się nieustannie po drogach, bo był leniwe dziadziśko, i albo w karczmie zasiadywał, albo do góry brzuchem leżeć lubił; ale byle odpust, praznik, jarmarki i święto, wdziewał torby i w pochód ruszał.

A tak sobie doskonale dawał rady choć oczy stracił, że i powodyra nie potrzebował, i gdziekolwiek stanął, wiedział co z sobą począć, kędy się obrócić, nie pytając ludzi.

W polu, w lesie, we wsi wśród najrozmaitszych drożyn, które latem lada przypadek po polu kreśli, kierował się śmiało, że ludzie z podziwu stawali patrzyć i ramionami ruszali. A choć się czasem zapił, to póki tylko na nogach się trzymał nie zbłądził nigdy; i padłszy spać, miejsce sobie wybierał dobre, a rozbudzony nie pytał gdzie wódkę wytrawil: strząsał się, zamruczał, i dalej w swoją drogę.

W sam raz się z żoną dobrali oboje.

Hulałi póki sil stawało, Sołoducha chodziła, jakto mówią na Podole, to jest włóczyła się całemi miesiącami nie zaglądając do domu: Rataj próbował różnego

chleba: bywał na wozie i pod wozem, nareszcie zeszedł się znowuż na starość i siedli razem wrót pilnować, kłócić się i gderać. Sołoducha była kobietą słusznego wzrostu, silną jeszcze, krzepką, wyszczekaną i w istocie znachorką wielką. Chorobę jak chorobę, nie wiem czy poznała; ale człowieka na wylot. Dość jej było spojrzeć w oczy lada komu, gotowa była powiedzieć co myślał; a śmierć to tak czytała z wejrzenia, że kiedy pokiwała nad kim głową, już mu się pewnie niewiele należało.

Brali ją też i do wsi sąsiednich nieraz, i nie sami chłopci, ale ekonomowie, popadje, ba! nawet z Rudni szlachta czynszowa, siedząca na budkach. W chacie niedostatku nie było przy dwojakiem rzemiośle, i gdyby był statek, mógłby być dostatek; ale oboje na starość wódkę polubili, i Rataj i Sołoducha, a przemyślny żydek i nielepszy od niego szynkarz szlachcic, byle podpoić, karbował nielitościwie.

Bywało tak, że stara zawiąże już kupę groszaków w węzełek i schowa je na złe dni, a Rataj wetknie gdzieś w kątek przyniesioną jałmużnę, także od biedy ją chowając; ale w dni kilka i on i ona dobędą zapasu i przepiją wesoło. Jednakże nie brakło im chleba i wygody, bo Sołodusze nikt nigdy nie odmówił ze strachu, żeby nie oczarowała, a Rataj tak nudnie żebrał, że z kamieniaby grosz wydusił; i wrota, choć rzadko, dawały szeląg przecie.

Stary doskonale miał ucho, i byle zaturkotało co na pana, wybiegał otwierać śam kłaniając się do ziemi, a białe swe oczy podnosząc potem do góry, aby ślepotę okazać; ręką i głosem domagał się datku tak drapieżnie, że nie jeden bez ochoty rozwiązał dlań ściągiony woreczek.

Oboje mimo nałogów swych nie byli wcale złymi ludźmi, i gdy mogli, chętnie dobrze czynili, a nikt nie powiedział, żeby komu w czem zaszkadzili, nawet ich o czary i zawiązki w zbożu nie posądzano.

Soloducha siedziała w progu, zapięta fartuchem, brodę trzymając na kolanach, a za nią w sieni leżał dziad na garści słomy; gdy ujrzała idącą ku sobie biedną Motrnę. Spojrzała tylko zdaleka i poczęła kiwać głową.

— Aj! aj! — rzekła — ktoby to powiedział, że to ja ją znała dziewczyną, dzieckiem, a matka jej nawet była młodszą odemnie. Ot! dziś stara jak ja, a gorzej słaba odemnie... To tobie cygan! to tobie kochanie!

— O kim to ty mówisz? — odezwał się Rataj.

— A o kimże, — kiedy nie o cyganisze! Wlecz się biedota, ani chybi, żeby jej co poradzić; ale komu życia zabraknie, to go żadne nie da ziele: już to ja widzę zdaleka, i dawno wiem, że do zimy nie dożyje nieboga! Tylko się duch w ciele trzyma, a szpary szuka żeby nciec...

— Oj! oj! jaka ty znachorka, babo przekłeta! — zawołał stary ze swego barlogu — żebyś ty tak znała swoją ostatnią godzinę jak ty co wiesz. Ot! ludzi czumocisz, a porzuciłabyś mnie durzyć; czyto ja ciebie nie znam?

— Milcz stary! jeszcze ja i tobie ostatni dzień wypowiem.

— A! niedoczekanie twoje, gadzino!

I byliby się skłócili, gdyby Motruna nie nadeszła w tej chwili.

Soloducha, którąśmy widzieli przed chwilą ząb za

zab ujadającą się z mężem, przybrała na zawołanie fizjognomję swojego stanu: łagodną, zamyśloną, tajemniczą, a choć Motruna była tylko biedną, ubogą sierotą, powitała ją z nadszatkowaniem.

— Aj! cóż tobie holubeczko moja! Czy nie słaba ty? — zawołała do zbliżającej się cyganiechy.

— Słaba! gorzej niż słaba — odpowiedziała przerywanym głosem Motruna — przyszedł czas umierać!

— Cóż to gadacie, krzyż z wami! Alboż to sobie kto sam śmierć przepowie! No! no! cóż ci to jest? powiedzno holubko a może co poradzimy.

— Gdzie tam! gdzie tam! — potrząsa głową siadając na kłodzie Motruna, której nogi drżały i świat się w oczach kręcił.

Sołoducho trochę się uczuła dotkniętą tym brakiem ufności w swoją sztukę.

— Juściż nie po coście do mnie przyszli, tylko po radę? — rzekła umiechając się.

— Oj! nie po radę, nie — zawoła spoczawszy trochę kobieta — ale po miłosierdzie... Mnie już taki nie żyć, to darmo!

Dziad i baba pilniej coraz przysłuchiwać się poczęli, a przybyła tak głosem przerywanym mówiła:

— Już to ja nie dziś czuję, że umrzeć potrzeba nie dożywszy siwego włosa... A! i nieżałby mi było świata, gdyby nie dziecina sierota!... Ot tak Sołoducho, matko kochana, życie uciekało, uciekało i uciekło: darmo ziele warzyć i zażegnawać, Pan Bóg wie co robi: przekleństwo ojca wisi nademną. Spokojniebym umierała, spokojnie, gdyby nie dziecina; ale we wsi nie ma cyganiecha brata, nie będzie mieć cygańskie dziecko opiekuna. Marysia moja zwala się i przepadnie. Takiej męki jak

moja, wy nie rozumiecie, Sołoducho. Żyłabym żyła, żyła i męczyła się, żeby dziecko wychować, a to Bóg nie pozwala za grzechy moje. A! co się stanie z Marysią moją!

— Albo to Pana Boga niema? — odparła Sołoducha — albo to na świecie wilcy nie ludzie?

— Oj! jest Pan Bóg, jest, ale srogo za grzech karze; a ludzie...

— At! ludzie — mruknął dziad z barłogu — djabliby ich brali: niewiele lepsi od wilków!

Nikt nie uważał na ten wykrzyk starego Rataja, a Motruna wciąż jak z gorączki prawila swoje.

— Oj! dziecina, dziecina! co się stanie z moją Marysią! Tu śmierć przychodzi, a dziecko mnie za serce trzyma!

— Durzyciebo się darmo — odparła siadając przy niej bliżej Sołoducha — czyżto aby kogo głowa zabolala, zaraz i umierać? Ot, będziecie jeszcze zdrowi, powiedźcie, co wam jest?

— Co jest? — śmiejąc się boleśnie mruknęła wdowa — to co jest, to już koniec; spytajcie chyba co było... Marłam, schłam, słabłam, codzień stygło ciało, codzień się zasuwaly oczy, a ot, dziś, jutro koniec będzie.

— Perzućcie wy sobie prorokować.

— Darmo Sołoducho matko, ja bo czuję co mi jest; trzeba umrzeć, nie mnie już radźcie, a dziecinie.

Stara poczęła głową kręcić w milczeniu.

— Co tu poradzić — szepnęła — toć macie krewniaków?

— Swoi! swoi to zawsze najgorsi — odparła Motruna — nie ma co ich wspominać; radźcie inaczej... Broń

Boże na mnie końca, ta biedota sama się jak palec zostanie w chatynce i nie będzie jej komu podać chleba kawałka; zginie marnie!

— Wezmą do dworu!

— O! to ostatni pohybel! — krzyknęła Motruna rzucając ręką — nie chcę, nie chcę! napatrzyłam się ja sierot wychowanych we dworze... Marysia będzie ładna... twarz ją zgubi: wolałabym żeby z głodu zginęła a poczciwie. Ot, wiecie co Sołoducho... wy ubodzy jak ja, swoich dzieci nie macie, bądźcie wy matką Marysi.

Na te słowa wyrzeczone z wysiłkiem, na które rozpacz tylko zdobyć się mogła, Sołoducha porwała się z siedzenia, a dziad z postanienia swego, i oboje krzyknęli coś niezrozumiałym głosem z podziwienia. Chwila milczenia złowróźbnego nastąpiła po ich wykrzyku, który nie tyle oznaczał wstrętu i niechęci, co jakiegoś przestachu i zdumienia. Dziad i baba spojrzeli po sobie ukradkiem, a białe oczy Rataja, choć ślepe, w stronę żony się zwróciły.

Motruna uchwyciła trochę powietrza i niedając im odpowiedzieć, ciągnęła dalej.

— Ona was nie obje przecie, a za troje zrobi; takiego dziecka drugiego nie ma tu na wsi; na nią i chatę zostawić można i posłać i powierzyć bo wszystko zrozumie, a cicha, a pokorna! Mielibyście sługę za kawałek chleba, i dziecko gdyby własne.

Starzy milczeli jeszcze.

— Kiedybo widziecie — odparła Sołoducha namyślając się jeszcze — ot, co to gadać zawczasu; nie dumajcie darmo o śmierci, nie wywołujcie wilka z lasu.

— On już wyszedł i przeciwko mnie stoi, odpowiada wdowa po cichu i ślipia wywarł na mnie, a

niemi duszę wyciąga.

— Choremu zawsze śmierć na myśli.

— A weźmiecież wy moją Marysię?

Dziad stanął we drzwiach i począł przysłuchiwać się trzęsąc głową.

— Kiedyżbo widzicie — rzekła Sołoducha kręcąc w rękę róg fartucha — to się dobrze potrzeba namyślić, żeby znów na próżną miskę nie zaprosić. Wy wiecie jakie życie nasze: jałmużna i miłosierdzie boskie; ledwie mamy chleba kasek... Nie pożałowalibyśmy go, ale jej u nas dobrze nie będzie.

— A gdzież jej będzie lepiej? Bogaty gospodarz gdyby i wziął, to będzie sierotą pomiatać. Wy swoich dzieci nie macie, samiście ubodzy, rychlej się zlitujecie nad biedactwem, oczu jej przynajmniej chlebem nie będziecie wykałać.

Znowu starzy milczeli, aż Rataj się nareszcie wywłókł o kiju z chaty i stanął przed Motruną.

— Słuchajno, sąsiadko — rzekł raźnie do cyganiechy, — co tu długo gadać.. My Marysię weźmiemy, a jakby Sołoducha nie chciała, no! to jej kijem boki wyłatam.

Stara rozśmiała się na całe gardło i poskoczyła do męża; nie rada była małżeńskich kłótni rozpościerać przed ludźmi.

— A! mój ty stary, — poczęła słodko — ciebiebo zawsze żarty się trzymają. No! no! schowaj kija na psy, jakoś my się zgodzimy!

Rataj pomruczał coś i zamilkł. Motrunie łzy z oczu pociekły.

— Wy ją weźmiecie, wy się nią zaopiekujecie, bo jak nie wy, to już nikt; tylko nędza zna co to cierpieć, i

ulituje się nad sierotą... Sołoducho, matuniu, bądź jej matką! ja za was i w grobie modlić się będę!

— Nie turbujciez się już o dziecko — przerwała baba — kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył... Jeszcze wy ją sami wyhodujecie.

Cyganicha głową potrząsała.

— Dziś, jutro — rzekła zcicha — to i koniec będzie. O mizerne ciało nie kłopotę się, muszą mnie pochować, a kiedy teraz i dla dzieciny Bóg dał rodziców, to już choć umrę spokojnie.

I chwyciła za kij chcąc wstać, bo coraz słabszą się czując, rada była do chaty powrócić, ale ledwie wzbiwszy się na nogi, znowu opadła na kłodę.

— Gdzie wam iść do chaty, takiej zmęczonej — poczęła Sołoducha — trzeba odpocząć...

— Nie ma czasu! nie ma czasu! — z dziwnem obłąkaniem zawołała Motruna — dojdę taki jeszcze choć do proga.

Sołoducha plasnęła w ręce.

— Nie zrywałabyś się lepiej — rzekła — a kiedy wam już tak pilno, ot jedzie Mosiej parobek popadyn, to go poprosimy, i podwiezie was pod cmentarz.

— Gdyby on to chciał zrobić! — zawołała z westchnieniem Motruna.

— Ej! poczekajcie, jam go wykurowała przeszłej niedzieli z takiego czyraka pod pachą, że warjował, a nawet mi nie miał za co kieliszka wódki kupić; dam ja sobie z nim radę. — To mówiąc, kiwnęła tylko Sołoducha na parobka, pewna swego.

— Słuchajno! — rzekła do niego — coby ty zrobił, żebyś znowu dostał czyraka w pachwinie?

— A niech mnie Pan Bóg bron! — krzyknął Mosiej —

dobrze żem tamtego przeżył!

— No! to nie chcecie drugiego?

— Co tobie kobieto?

— Bo ja to tak tylko się pytam... Wy wiecie. że kto mnie nie posłucha...

— No! no! a czegoż wy chcecie odemnie? — zapytał chłopak niespokojny skrobiąc się po głowie.

— Podwieźcie chorą cyganicę do chaty pod cmentarzem — szepnęła mu na ucho, — jej się już nie wiele należy, do domu się już sama nie dowlecze.

— A podwiozę, podwiozę, jeszcze na wóz wsadzę i z woza wysadzę — rozśmiał się Mosiej, rad że się na małym skończyło — tylko niech się dobrze okryje, żeby jej ludzie nie poznali, boby mnie palcami w karczmie wytykali, żem się z nią pobratał.

Coś tam więcej mówił jeszcze, ale go już nie słuchali, a Sołoducha pospieszyła dopomódz biednej Motrunie na wóz, który się z okrytą kobieciną potoczył powoli aż na drugi wsi koniec.

Choroba cyganichy, może skutkiem przestrawu o los dziecka, czy też wielkiego nad siły znużenia, w drodze już do chaty wzrastać zaczęła, tak, że gdy Mosiej z woza ją u drzwi chaty zsadził, ledwie się potrafiła zawlec do łóżka.

W chatce było pusto, bo Marysia zbierała w krzaku suche gałęzie (holce), aby niemi ogień podsycić, a Motruna miała czas odetchnąć, nim nadbiegło dziecko włokąc za sobą całe brzemie suszu.

Nie wiem z kąd nabrała znów sił wdowa, by się wziąć do pracy, ale z zaiskrzonym okiem poszła pocałować dziecko w czoło do pustej bodni, w której trochę tylko bielizny i parę sukman leżało na dnie.

Ztąd wybrała sobie koszulinę, fartuch stary, i umywszy się zaczęła odziewać pośpiesznie, nie mówiąc Marysi.

— Czy to gdzie jeszcze iść myślicie, matusiń? — spytała zdziwiona sierota.

— Ot tak... może, może... trzeba będzie — odpowiedziała jakając się matka — nie wiem, mam sprawę u pana.

— Aleście się i tak już dzisiaj zmęczyli.

— Ej! nietylę! Mosiej przywiózł mnie tu ze wsi.

— Tobycie może poszli tam jutro...

— Kiedyby to sprawa pilna, a z panem nie żartować — rzekła wdowa — której się łyzy w oczach kręcily i łkanie polykała ze słowy. — Nie bój się Marysiu moja; jak nie zdołam, to nie pójdę.

— Połóżcie się lepiej — zaczęła świergotać dziecina, — ja zaraz ognia lepszego rozpale i krupniku wam wczorajszego odgrzeję... Wamby się i posilić potrzeba

To mówiąc pobiegła odgrzebać węgle starannie popiołem przykryte, a cyganicha jako-tako się odziewszy i zawinawszy głowę rańtuchem, powoli przeszła z alkierza i położyła się na łóżku.

Marysia nradowała się widząc, że matka jej posłuchała, i żwawiej jeszcze jeła się swojej roboty. Wyciągnęła garnek z pieca, zdjęła pokrywę i ledwie płomyk zabłysnął, przystawiła trochę dla matki schowanego krupniku; sama jak myszka zajadała ukradkiem suchy chleba kawałek, bo okrutnie czuła się głodną.

Motruna tymczasem milczała, i zmrużywszy oczy, zdawała się powoli nsypiać; z czego rada Marysia, na palcach, cicho zwijała się po chatce. Już i krupnik począł parować, i miska i łyżka były gotowe, a Motruna głębokim snem zdawała się nspioną. Dziewczę chrzą-

knęło kilka razy, zakaszłało, myśląc że matkę przebudzi; ale ta tak była znużoną i potrzebującą spoczynku, że się ani ruszyła.

— Co jej mój krpuik — pomyślała Marysia, zlewając go znowu do garnka i przystawiając do ognia, — sen ją lepiej posili... a jadło nie uciecze.

Siadła więc na ławie, przyrzuciła gałązek, odsunęła garnek trochę i z oczyma wlepionemi w matkę, dech wstrzymując, by jej nie przebudzić, przysiadła.

Motruna spała na pozór spokojnie, że ani jej piersi oddech żywszy nie poruszył, ani drgnieniem żadnem nie objawiało się cierpienie, twarz jej stawiała się coraz bledszą, oczy na wpół tylko przymknięte nie zdawały się już patrzeć na córkę, ku której ciągle się wprzód zwracały, a usta dziwnie roztwarte, pozostały nieruchome...

W tym śnie spoczynku, Bóg zesłał jej odpoczynek wiekuisty — śmierć pożądaną po życiu boleści. Ale dziecię wdowy, które nigdy nie widziało umarłego, nie rozumiało śmierci i radowało się biedne pozornem matki uspokojeniem.

Spoglądała na łóżko kiedyniekiedy, i bała się ruszyć, by nie przerwać snu błogiego.

— To dobrze — mówiła w duchu Marysia — choroeba jej snem przejdzie, posili się snem matunia, i wstanie mi zdrowa, zdrowiuteńka, wesola! Taki sen! taki sen! nie pamiętam żebym ją kiedy widziała śpiącą tak głęboko: bywało żebym się ruszyła, to się zaraz obudzi... Wyrażnie lichy tym snem przechodzi, ona go tak potrzebowała.

I cieszyło się i marzyło dziewczę oczekując przebudzenia, a twarz Motruny z bladej stawiała się coraz bielszą, żółciejszą, siną nareszcie, i dziwna, straszna

barwa śmierci rozlała się po niej powolnie. Marysia patrzyła na nią, i nie pojmowała nieszczęścia swego.

Przyszło południe — nie obudziła się matka; zdrzemnęła się Marysia pilnując krupniku i ognia, przebudziła, usnęła znowu i w tej jednostajnej ciszy ani postrzegła, jak zachodzące słońko zajrzało w okno pomarańczowym swym blaskiem, którego promień wprost padł na lice umarłej.

Zdziwiło się dziecko widząc słońce tak nisko, dzień tak szybko na drzemce i czekaniu spędzony, a matkę uspioną jeszcze i ciągle uspioną.

Ale niezwykłość snu tego, nieruchomość Motrny coraz większa, upartą nadzieją napawały serce biednego dziecka. nie domyślającego się nieszczęścia swego; była pewna, że po tym śnie matka się jej zdrową przebudzi.

Już i mrok padać zaczął, a ona wciąż po gałązce dokładając do ognia, siedziała z okiem w łóżu wlepionem. Nadeszła noc, nic się nie zmieniło w chacie.

— Spi matka! spi dobrze! — mówiła Marysia — nie trzeba snu jej przerywać; wątpię, żeby już w nocy jeść chciała.

I odstawiła garnek z krupnikiem, a zaświeciwszy kaganek w gliuianej miseczce, żeby mieć ogień pod ręką, sama cichutko spać się układała, nie rozbiegając się nawet, żeby zbyt mocno nie usnąć.

Oczekiwanie, niepokój, przymuszona nieruchomość, tak ją znużyły, że ledwie głowę do pościółki przyłożyła, schwycił ją sen twardy, sen młodości; i dzień zaświtał przez szybki zakopcone, gdy znów otworzyła oczy, żegnając się zdziwiona, jak noc długą jednym tchem przespać mogła.

Pierwsze jej wejrzenie było na matkę, którą przy blasku dogorywającego kaganka i rannego świtu ujrzała w tem położeniu co wczoraj: nieruchomą, a dziwnie białą i bladą, Bladość ta pierwszej stopniami przychodziła, nie tyle ją uderzała; teraz świeżemu oku zdawała się przerażającą.

Zbliżyła się po woli na palcach do łóżka, poczęła przysłuchiwać, przyglądać; ale ani tchu, ani drgnienia do badać nie mogła.

— Ależ to sen się jej udał! — rzekła w sobie — dziwny sen jakiś, kamienny! Ani się obróciła, ani tchuie, ani ruszy.

I dotknęła zlekka, ostrożnie ręki umarłej, a uczuwszy ją chłodną i jakby kamienną, zadumała się głęboko. Ale myśl śmierci nie przeleciała jej przez głowę; miała to jeszcze za dziwną chorobę, za dziwny sen słabości. A że u prostego ludu często w istocie snem boleść najcięższa przechodzi; że o niejednym takim słyszała wypadku: uspokoiła się po chwilce dziewczyna, dziwiąc się tylko osobliwszej słabości, która się tak dziwnie, według mniemania jej kończyła.

Znowu dzień przeszedł jak wczoraj. Marysia rozpałała ogień, zgotowała świeżego krupniku z ostatkiem omasty, a wczorajszym zakwaśniałym już, trochę się z chleba kawalkiem posiliła, i ośmieliła wyjść na próg, ażeby świeżem odetchnąć powietrzem.

Ale niepokój wkrótce ją nazad pociągnął ku chatce; ledwie czas miała okiem rzucić na wiosenny świat Boży, po kilkudniowej plusze występujący w blasku słonecznym i srebrzystych szronach zapowiadających pogodę.

Błoto było przykrzepłe, gałązki drzew całe w brylantach, trawy, słomki, listki poschłe aż do żdźbła naj-

mniejszego; wszystko w błyszczącym jednakim stroju. Cmentarzyk ze swemi wierzbami i wysokimi trawami zwiedłemi, połyskiwał od błyszczących lodu igiełek, które aż uśmiech wesela wywoływały na usta Marysi.

— Jakże to ładnie! jakże wesoło! — zawołała — ale jak pusto... Ani ptaszyny, ani wrony, ani sroczki, i wróble nawet moje gdzieś powędrowały pod cieplejszą strzechę.

W istocie na drodze okrytej grudą świeżą dokoła jak zajrzeć, żadnego żywego nie było widać stworzenia, a cisza grobowa! Marysia chwilę popatrzała z progą i zawróciła się do chaty. Matka spała nieporuszona, nieprzebudzona, snem ciągle jednym, niepojętym.

Nadeszło południe, a dziewczę instynktowy jakiś począł przejmować niepokój: podchodziła ku łóżku, przysłuchiwała się, wracała, chodziła głośno, pokaszliwała, chcąc przebudzić matkę, stukala czerpakiem i garnkami, ale nic nie pomogło.

Już się i wieczór zbliżał, a Motruna nie wstawała, nie dawała życia znaku, i noc zapadła znowu, a Marysia zdrzemnęła się, nie chcąc się kłaść spać, na przypiecku.

Noc miała niespokojną, bo jej się ciągle zdawało, że już matka przebudzić się powinna, że się przebudza; zrywała się, biegła i siadała, znowu mimowolnie snem znużona padając. Brzask dnia drugiego całkiem ją wreszcie przebudził; uderzyła ją bladeść Motruny, poczęła dumać co począć, przejęta strachem.

— Możeby ją trzeba przebudzić! Dwa dni, dwie nocy, to już za długo!

Ta myśl pognąła dziewczę ku matce; ujęła ją za rękę złodowaciała i przestraszyła się, czując ją zdrę-

twioną, jakby drewnianą, a ciężką i bezwładną; poczęła z lekka poruszać, mówić, trącać... ale i to nie pomogło.

— Potrzeba iść do Sołoduchy — zawołała sama do siebie — to nic nie pomoże, ona znachorka, będzie wiedziała jak na taki twardy sen poradzić; matka się zawsze udawała do niej. Postawię krupnik na zydelku na przypadek gdyby się obudziła, polecę i duchem powróce.

To rzekłszy, Marysia zarzuciła na głowę sukmankę podartą, i przymknąwszy drzwi chaty, biegiem popędziła na drugi koniec wsi do Sołoduchy.

Rataja dnia tego w domu nie było, bo nazajutrz przypadał jarmark w miasteczku, a dziad dla zabrania lepszego miejsca pod cerkiewką, wcześniej się nań wybrał. Sołoducha sama kręciła się po chacie, warząc coś u komina, gdy Marysia wbiegła zadyszana.

Starucha ciekawie obróciła się ku niej.

— Co tam holubko? — spytała.

— Oj! matuniu! sąsiadko! — zawołała Marysia żywo— coś mi moja chora.

Sołoducha tylko głową pokiwała.

— A co to jej jest?

— Jakoś na nią dziwny sen przypadł, matuniu, jak poczęła spać już trzeci dzień temu powróciwszy od was, ani się ruszy już dwie doby, a tak czegoś zastygła, a tak strasznie pobiadła, i tchu — nic!

Stara Sołoducha plasnęła w ręce, z których jej łyżka wypadła.

— Aj! oj! co ty mi gadasz?

Marysia przestraszona wyrazem twarzy Sołoduchy, wlepiła w nią wielkie oczy, w których się już łaź kręciła.

— Spi, spi, — rzekła ciszej — próbowałam obudzić ani sposobu: a taka zimna.

— Krzyż z tobą! — zawołała stara — a toć ona pewno umarła!

Ten straszny wyraz, którego dobrze nie zrozumiała Marysia, jak piorun daleki obił się o jej uszy; zastanowiła się nad nim chwilę milczącą, ale wnet zaprzeczyła.

— Ale ona spi tylko! spi tak mocno! — odparła. — Wy znacie lekarstwa, wy ją możecie obudzić.

Żona Rataja spuściła głowę, zmarszczyła brwi i milcząc nie odpowiedziawszy, poszła do kąta wdziawać kożuch na siebie.

— Pójdziemy — zawołała przygaszając ogień trochę wody i zagrzebując główienki popiołem — pójdziemy zobaczyć, moje dziecko!

Chatę na drewniany klucz zamknęto i stara ruszyła zadumana z dziewczęciem, które do jej powolnego chodu ledwie się zastosować mogło, tak pilno mu było do matki.

Droga śmiertelnie nudną i długą wydała się Marysi, której nawet widok ulubionego ptastwa i gwaru wsi rozerwać nie mógł. Z okiem wlepionem w ziemię szła za staruszką powoli i co krok wzdychała.

Pod górę, ku chatce, Sołoduha choć o kiju, nie łatwo się wdrapała; kilka razy musiała odpoczywać, a doszedłszy do progu, siadła wydychać znużenie, nim weszła do lepianki. Marysia ją uprzedziła, spojrzała na łóżko: jakaś czarność plamami wystąpiła na zmęczone oblicze matki... a twarz jej była tak okropnie zmienioną, że myśl śmierci ujęła serce sieroty szponami strachu i przeczucia.

W tem i Sołoducha weszła na próg, popatrzała i ręką zamachnęła szeroko.

— Zbliźcie no się, zbliźcie!

— A po co? — zawołała lekarka — ona umarła! ona dawno umarła!

Marysia jak stała, tak załamawszy ręce, szlochając padła na ziemię.

Stara znachorka nie długo zabawiwszy w chacie, powlokła się, napróżno próbując odciągnąć Marysię ku dworowi. Potrzeba było dać znać do pana, do księdza, żeby ktoś przecie litościwy o domowince (tak lud zowie trumnę), o grobie, modlitwie i ubogim pogrzebie pomyślał.

Po drodze kogo spostrzegła Sołoducha stawiała każdemu opowiadać, jak Motruna od trzech dni już umarła, a sierota śmierć za sen tylko wzięła, utyskując, że teraz nie wiedzieć kto zmarłą pogrzebie.

Wieść lotem strzały rozbiegła się po wiosce, a ciekawsi poczęli powoli ścigać się już do chaty cygana i oblegli drzwi izby, w której Marysia jęczała klęcząc na podłodze.

Tymczasem we dworze niepokój się stał wielki, bo się obawiano, żeby ksiądz nie odmówił pogrzebu, i żeby urzędu nie było potrzeby sprowadzać dla dochodzenia przyczyny śmierci. Ale Sołoducha zaradzając temu, poszła i na plebanję do dobrodzieja i dobrodziejki, opowiadając jak się to jej chora radziła, jak od dawna niedomagała, i rozczuliła ich historją sierotki, która snem śmierć sądząc, pilnowała trzy dni umarłej. Nikt

potem nie myślał wstrzymywać cyganichy pogrzebu.

Nie było tylko komu dać desek na trumnę, dołu na cmentarzu wykopać i zająć się ostatnią posługą.

Szukano krewnych po siole, wmawiając im obowiązek; ale ci głusi nań byli i jeden na drugiego ciężar zrzucał; dwór także nic na siebie brać nie chciał, a tak zwlokło się to do wieczora.

Dopiero ksiądz sam poszedłszy do dworu, przyspieszył obrzęd pogrzebowy i o mroku już wydańo tarcice, a trumnę począł cieśla za pańszczyznę.

Nie wiele też tam koło niej było roboty.

Kilka babek pobożnych przyniosły świeczki, ktoś z bractwa dobył cerkiewnego krzyża i postawił go przy umarłej, a choć nie było komu sprawić wieczerzy i wódką przyjmować, znalazły się dwie pobożne niewiasty, co ciała przez noc pilnowały.

Chciano od niego odciągnąć Marysię, ale dziewczę wyplakawszy co łez miało, jakby odwagą jakąś natchnione, wyprowadzić się nie dało.

Gdy nad raukiem białą przyniesiono domowinkę, z sosnowych desek skleconą, gdy przyszło w trumience złożyć zwłoki: Marysia sama pomagała kobietom, sama pod głowę podesłała poduszczykę, otuliła nogi matce, złożyła ręce, i ostatnia ucałowała ją, gdy wieko na wieki zabijać miano!

Prawdziwy to był pogrzeb ubogiego, w którym nie zachowano obrzędów i zwyczajów starodawnych: każdy nim zajmując się z łaski, co prędzej ciężaru pozbywał.

Grób ktoś wykopał przez miłosierdzie i wąsko i płytko, byle ziemią trumnę przyrzucić; krzyżyk zbito z dwóch kijów ledwie z kory odrapanych. a o świcie przyszedł diak tylko, kilku ludzi z bractwa, jeden krzyż

i jedna czarna żałobna chorągiew. Pochód też z chaty na cmentarz nie był długi: przez drogę ino na mogilki, u których wrót pod starą wierzbą czekała wykopana jama.

Marysia wyszła za ciałem z Sołoduchą, z babkami, krokiem śmiałym i poprowadziła matkę do domu spoczynku. Pierwsza choć z jękiem, rzuciła garść wilgotnej ziemi na trumnę, która wkrótce pokryła się ubitą łopatami, ledwie nad poziomem cokolwiek wzniesioną mogiłą. A że stypy nie było w ubogiej lepiance i nikt z litości nawet nie kupił strawy i wódki: co się zeszło na pogrzeb, rozbiegło się zaraz po nim.

Marysia usiadła na mogile i poczęła płakać, płakać, aż zawodziła z żalu biedaczka.

O kilka kroków stała zamyślona Sołoducha, przebierając w rękę węzeł od chusty, zadumana głęboko, jakby się wahała co ma począć.

— Prosiła mnie nieboszczka, żebym ja ją wzięła — mówiła w duchu — ale co to sobie na kark wiązać sierotę; nie tyle robi co zje, nie tyle pociechy co kłopotu. A znowu szkoda żeby to się tak miało zwałać, a kto zechce wziąć, jeśli dwór nie weźmie, choć i we dworze nie raj! Namby to tak bardzo nie zaciężyło, wyręczałabym się czasem: byłoby kogo choć po wodę posłać. Nieraz jak stary polezie w świat, choć do ściany gadaj!! Co tu robić? I tak źle i tak nie dobrze... E! wezmę, dalibóg wezmę! Niezle być musi dziecko, bo biedy zaznała, a do pracy przywykła.

I posunęła się Sołoducha, podeszła i znowu zatrzymała się namyślając, niepewna co pocznie.

— Słuchajno Marysiu — zawołała nareszcie — a dość już żale zawodzić: wstawaj i chodź ze mną.

Ale dziecię nie posłyszało zrazu; i stara musiała je ująć za rękę, a siłą prawie wywieść do cmentarzowej furtki. Marysia nie opierała się wcale, szła jakoś bezwładna, splakana, posłuszna choć niechętna, trzymając ciągle fartuszek przy oczach, i gwałtownie szlochając chwilami.

— No dalabyś już pokój, — mówiła znachorka — lzy nie nie pomogą, wszyscyśmy się na to urodzili, żeby umrzeć, to darmo! Już jej płaczem nie wywołasz z pod surowej ziemi i żółtej mogiły, pomyślmy o sobie.

Marysia nie nie odpowiadając, sparła się tylko o słup u bramki, i znown zaszła z płaczu.

— Bóg z tobą — ciągnęła dalej Sołoducha — chodź, chodź; nie ma tu czego dłużej dosiadywać; przeżegnaj się, pomódl i pójdziemy do chaty.

To rzekłszy, a widząc, że słowa pomagają mało, ujęła ją za rękę, wywiodła na drogę, i stanawszy naprzeciw chatki cygana, zatrzymała się.

— A może tam masz co do zabrania? — zapytała.

— Jakto? dokąd? — odparła niewyraźnie podnosząc na nią zdziwione oczy dziewczyna.

— A juściż pójdziesz do mnie?

— Po co?

— A jakże tu zostaniesz sama?

— Jak? a toż nasza chata, po cóż mi szukać cudzej?

Sołoducha osłupiała, zamormotała coś pod nosem do siebie, ruszyła ramionami i przeżegnała się powoli.

— Alboż to ty myślisz tu zostać?

— A juściż! a gdzież mam być? — spokojnie odezwała się Marysia.

— Krzyż pański z tobą! A cóż będzie! sama jedna! sama jedna!

— Kiedy nikogo nie mam, to i sama: cóż robić?

— A jakże ty sobie dasz radę?

— A jak my sobie z matką słabą radę dawały? Bieda była, a z głoduśmy nie pomarły, bieda będzie... Taka dola, a swoja chata, takito swoja.

Sołoducha uszom swym wierzyć nie chciała.

— Toć przyjdzie noc — rzekła — a ty saminsienka jedna, to ci strach będzie.

— Strach? czego? — zapytała Marysia.

— A cmentarz! — rzekła baba po cichu.

— Ja od dziecka bawiłam się na cmentarzu i dniem i nocą... — westchnęła Marysia — czy to mnie nowina?

— A matki mogiła! Bóg z tobą!

— A czyżbym ja się matki bać mogła! — zawołało dziewczę z płaczem.

Stara słuchała i nie mogła pojąć Marysi, która ocierała oczy i odpowiadała jej tak śmiało, tak dziwnie spokojnie, jakby położenie jej, sieroctwo, przyszłość, nie w sobie ani zastraszającego, ani nadzwyczajnego nie miały. I znowu zaczęła potrząsać głową, mruczeć pod nosem, a z pod bzwi siwej ciekawe rzuciła na sierotę wejrzenie.

— To ty myślisz tu zostać? — zawołała po chwili — sama jedna, ot tak jak palec! No!...

— Wszak inaczej być nie może! — szepnęła Marysia — ta chatynka to ojcowizna moja, to mój domek, a jakbyś ja go porzuciła, albowy się to rozsypało, albowy dwór kogo innego osadził.

— A ktobyś tu chciał siedzieć! — przerwała Sołoducha — za żaden grosz! Chodźżeno do chaty, chodź; pogadamy, pomiarkujesz się, bo ty sama nie wiesz co gadasz.

Znów stara ująć musiała dziewczę za rękę, i nie opierając się, ale bezwładną wprowadzić do pustki.

Nigdy ta jama nie była wesoła, nigdy się w niej nie uśmiechało do człowieka; ale teraz straszliwie była smutną: pełno śmierci wszędzie. Pogrzeb, który tylko co z niej wyszedł, pozostawił po sobie ślady. Leżała kupa trzasek i wiórów od trumny przyciosywanej wizdebce, dwa polana, na których *domowinę* stawiano; na ławie chleba bochenek, przyniesiony przez litościwą niewiastę jakąś do przykrycia trumny, a zostawiony bo niepotrzebny, i ręcznik gruby, którego także nie użyto, a którym chleb ten miał być obwiniętym. Łóżko nie zgarnięte jeszcze, nosiło ślady ciała, które na niem zbyt długo, czekając pogrzebu leżało; po kątach wszystko w największym nieładzie i rozsypce. Na kominie i w piecu ogień był wygasł zupełnie, a chłód wiał przykry po domku.

Sołoducha posadziła na przypiecku dziewczyne, która na widok izby tyle jej przypominającej, rozplakała się znówu, a sama poczęła się przechadzać zamyślona.

A że była do roboty i porządkowania przywykła prawie machinalnie, bo i w domu na niej gospodarstwo leżało, i u ludzi gdzie do chorego poszła, często się ładem zajmować musiała: nie wytrzymała, żeby trochę nie pozgarniać tu i owdzie i nie poustawiać.

Tam przewrócone do góry dnem i pod ławą leżące podniosła wiadro, tu znów dobytego ognia i podnieciła go trzaskami, aż wreszcie dopadłszy miotły w kątku wyszarzanej i zeschłej, spróbowała jej, ruszyła ramionami, i zaczęła wymiatać śmiecie, gromadząc do progu. Marysia wciąż siedziała z oczyma wlepionymi w łóżko, na którem spoczywała matka, a lzy jej przerwane na chwilę,

dziurkiem znów biedz poczynaly.

— Taż to czyste pustkowie! — obejrzawszy znów wszystkie kąty, poczęła Sołoducha — nie ma nigdzie a nigdzie nic: galanów trochę, zapasu żadnego... jak wymiótł.. gdyby po wojnie. A co ty tu poradzisz taka młoda i niesilna? Żeby mnie tu kto starej kazal i zapłacił za mieszkanie, żebym sobie wszystko z palca wylała... choć doświadczeńsza od ciebie i taki umiejac coś zarobić: a jednak urwawszy się uciekałabym! Ty tu zginiesz!

— Zginąć! to zginę, a taki ztąd nie pójde — ocierając oczy zawołała dziewczynka stanowczo — to moja ojcowizna, to moja chatynka: ja jej nie porzucę. Myśmy tu z matką żyły, biedowały; jam tu wyrosła, na nogi stanęła, świat zobaczyła... ona tu umarła. A! nie! nie! to święty kąt dla mnie, ja nie porzucę, nie porzuce chatynki mojej.

Sołoducha, która zrazu nie miała wielkiej ochoty brać sobie na kark dziewczęcia, jakoś poczęła się rozmyślać, może i natura lubiąca trochę na przekór drugim czynić, naprowadziła ją na uparte naleganie. Im bardziej Marysia chciała zostać, tem baba mocniej zaczynała namawiać ją do siebie.

— Co tu długo mówić — rzekła wreszcie stając przed sierotą — matka twoja jak poczuła się źle, a życie jej już nie stało, sama się przecie do nas przywlokła, a z czym? wiesz ty z czym? — zaklinała mnie i mojego starego prosila żebyśmy cię przytulili... Umierającemu nie odmówić. Rataj i ja, choć samym nam ciężko, chleba ci nie pożałujemy: służba u nas nie straszna. W chacie taki i ciepły kąt i strawa się znajdzie, a tu ty z głodu umrzesz!

Marysia słuchając starej, powoli oczy otarła, wstała i rzucając okiem po izdebce, poczęła pizerywanym głosem, który co chwila więcej mocy nabierał:

— Posłuchajcieno matko, dobre serce macie, Bóg wam zapłać, i tobie i staremu Ratajowi; ale z tego nic nie będzie! Chcecie się opiekować sierotą, ot, czasem na mnie najrzyjcie, dowiecie się, rzucicie chleba kawałek jakby go bardzo zabrakło; ale ja taki tu zostanę! ja tu zostanę! Ojciec tę chatę budował, matunia w niej żyli i zmarli; a ja... ja ją tak kocham, że mnieby serce pękło, gdybym otwierając oczy z rana nie zobaczyła ścian jej popekanych, żebyś wyszedłszy na próg, nie postrzegła wierzb cmentarza.

— Ale na krzyż Pański — zawołała stara — ano podumaj, ano pomiarkuj, jakże to sobie dasz rady?

— A jak my z matką dawaly?

-- To was dwie było do pracy.

— I dwie też było do życia; a mnie jednej czy to tak wiele potrzeba?

— A gdzieś ty słyszała, gdzie to widziana rzecz

— zakrzyknęła Soloducha — żeby dziewczyna, i nie dziewczyna, bo taki dziecko, sama jedna sobie żyła i gospodarowała? Taż to nie może być, to nie może być! Jak gospodarz zostanie jedynakiem, to sobie kogoś szuka i znajdzie, a nie dopiero tak jak ty wyrostek, sierota!

— Wieleto rzeczy matko po świecie nie bywało, a jak pora przyjdzie na nie, to się muszą stać, choć się im ludzie dziwią! — odparła dziewczyna kiwając głową. — Cóż ja na to poradzę żem sama? Matki sobie nie kupić, Pan Bóg ją raz daje, ojca nie wyprosić! Myślicie, że ja tak opuściwszy ręce z głodu umrę?

— To chyba pójdziesz po żebraniu?

— Nigdyśmy nie zebrali i zebrać nie będziemy — zawołała Marysia podnosząc oczy na starą, która zapewne wspomniawszy swego Rataja, dziwnie zacięła usta.

— I to chleb jak i drugi — poprawiło się dziewczę postrzegłszy niezręczność swoją — ale ja go nie chcę. Juściżem młoda i zapracuję; nie bójcie się, nie bójcie!

I przystąpiła do Sołoduchy z wyrazem tak ujmującego przymilenia całując ją w pomarszczoną rękę, że baba choć zagniewana świeżą poniewierką zebractwa, rozdobruchała się powoli.

— Na co się wam obciążać sierotą, kiedy nadto chleba nie macie — odezwała się po chwili Marysia — wszak i tak nie biorąc mnie do chaty, wiele mi możecie dopomódz. Ot pozwolicie mi czasem przyjść, poradzić się, pożalić, pogadać; a jak już czasem nie stanie ani okruszyny, to mi rzucicie okrawek suchara, albo lepszą od niego dobrą radę, słodkie słowo.

Stara uśmiechnęła się potrząsając głową.

— Oj dzieciaku ty, dzieciaku — rzekła — co to się tobie roi w głowinie! Gdybyś w ostatku i chleb miała, bo wszyscy ludzie miłosierni jeszcze nie wymarli... a jak się obejdziesz bez twarzy, bez mowy, bez żywego ducha w tej pustce? A jak ci przyjdzie dni całe, nocy całe samiuteńkiej siedzieć na ławie, aż ci duma głowę prześwidruje na wylot? Ja to znam! ja stara, mnie już wszystko obrzydło, a nieraz jak Rataisko się w świat powlecze, przyjdzie zostać samej na dni kilka: człowiekby psa pocałował, żeby do niego zagadał, taka nnda, taka serce je skuka! Cóż dopiero młodemu, co mu jeszcze i gęba świerzbi i serce się tłucze!... Nie wytrzymasz! uie wytrzymasz mówię tobie!

— Wytrzymam, — odpowiedziała Marysia smutnie,

ale stanowczo—nie będę ja sama: ściany i ławy gadać mi będą, matuniu, a mam tu pełno znajomych w kolu-sieńko: wróble i myszy nawet mnie znają.

Sołoducha splunęła ruszając ramionami.

— A! a! probujże — rzekła uśmiechając się, — zobaczmy jak długo pociągniesz... I taki się dziś zaraz chcesz tu zostać?

— A cóż — spytała dziewczyna — zostanę.

— Bo ja iść muszę — biorąc za kij rzekła baba. — Bywajże mi zdrowa; a jak dokuczy, pamiętaj, że u nas masz zawsze przytulisko... roboty ciężkiej nie będzie... Bywaj zdrowa!...

— Bywaj zdrowa! — powtórzyła powoli kilkakrotnie odwracając głowę i ozierając się na dziewczynę, która usiadła sparszy twarz na rękę i zadumała głęboko.

I wyszła Soloducha nie dowierzając jeszcze, sądząc ciągle, że ją sierotka napędzi; ale napróżno się oglądała zwolna spuszczać ze wzgórza, bo drzwi chaty zostały zamknięte, i nikt za nią nie gonił.

Trudno się było w początku opamiętać Marysi, rozpocząć to życie nowe, samej jednej, o swej sile; ale Bóg wlewa moc gdy jej potrzebuje człowiek: cudów dokazuje wola, nawet w dziecięciu, cuda robi nędza. Nad wieczorem głód i chłód razem się dały uczuć dziewczynie; musiała wstać z przypiecka, naniecić ognia, pomyśleć coby jadła, czemby się zesłabła posiliła. W chacie nie prawie znaleźć nie mogła. na ławie tylko leżał podarek którejs z bab, chleb pogrzebowy, który miano położyć na trumnie, a choć go nie użyto, już go prze-

sąd nazad zabrać nie dozwolił. Ten bochenek chleba świeżego był jakby ostatnim matki podarkiem; Marysia spostrzegła go uradowana, ukroiła i zaczerpnąwszy wody, żebraczą zjadła wieczerzę.

Siadła potem przy ogniu, popłakała, a że jej na myśl przychodziło z czego dalej żyć będzie, i że ciężko pracować potrzeba, żeby na chleb zarobić: porwała się zaraz do kądziolki. przypomniawszy, że ma jutro doprząć dla Semenychy motka, i za motek ten odebrać kilka groszy. Pomyślała i wnet siadła do roboty, ale się chwyciła nieboga za żywo: nie miała jeszcze sił do pracy, zaledwie poczęła wyciągać nić i pokręcać wrzecionem, sen gwałtowny, po wysileniu, po boleści, po głodzie, zesłany z niebios na przywrócenie sił straconych, skleił jej powieki.

Wrzeciono cicho potoczyło się na ziemię, kądziel pochyliła i sparła na piecu, a sierota usnęła snem dziec i snem niewinnych i spracowanych.

Tymczasem Sołoducha z wielkiem zdumieniem opuściwszy chatę cmentarną, poszła przez wieś, nie mogąc sobie w głowie pomieścić, jak Marysia zachciała zostać samą i radę sobie dać potrafi.

— Zwyczajnie dziecko — mówiła w duchu — alem ja stara a głupia, że na to pozwoliłam. No! ale miałamże ją gwałtem ciągnąć? Jeszczeby ludzie powiedzieli, że ja ją sobie przywłaszczyła! Ale to tak być nie może, bo zginie biedactwo... Możeby dać znać do dworu? do dobrodzieja, do wójta, do gromady? Ktośkolwiekby na to coś poradził! Cyganka. czy co tam takiego, a przecie Boże stworzenie: niechby z głodu nie umierała, wstyd dla wioski.

Tak rozprawiając sama z sobą Sołoducha wlokła się

wioską, a że stan jej robił jej wiele znajomych, co krok to kogoś zwabiła do rozmowy. Jeszcze też kupkami stali parobcy, kumoszki i starszyzna, rozповідаjąc sobie o śmierci cyganichy i o jej pogrzebie. A że Sołoducha najdlużej zabawiła w chacie za wsią i zdawała się opiekować sierotą, cisnęli się do niej ludzie rozpytujac o Marysię.

— No a cóżto z nią teraz będzie? mówcieno, mówcie! — naglono zewsząd.

Sołoducha przybrała minę ważną, ruszała ramionami i poczęła z cicha, jak rzecz najciekawsza opowiadać swoje:

— Tóż ztamtąd ja idę — rzekła — prościuteńko od niej; a czy uwierzycie?! Ot! nie dała mi się wyprowadzić z chaty i została w niej sama jedna.

Ludzie słuchali zdumieni.

— Com się ja jej naprosiła, com nagadała, nic nie pomogło; powiada, że sobie da rady sama, że to jej chata, i po wszystkiem... Aż litość bierze myśleć, jak to marnie przepada.

— Ależby to kto wziął za kawałek chleba — mrknął stary Marcin Nieduha — ot i ja jedynoki i żona słaba.

— Darma jej to i gadać: póki dobrze biedy nie skosztuje, nigdzie nie pójdzie — żywo przerwała Sołoducha — tak się jej zdaje teraz że sobie rady da: trzeba żeby się przekonała, będzie wówczas tańsza.

Ludzie jak to zwykle dosyć obojętni, pokiwali głowami, poszeptali, ten i ów się rozśmiał, inny westchnął a każdy wreszcie poszedł do swego, i Sołoducha do chaty.

A Maryś jak usnęła siedząc przy piecu, - na którym

wkrótce wygasło, nieporuszona, nie czując i nie śniąc, nie marząc kamiennym snem przetrwała do ranka. Dopiero gdy blask dobrego dnia wcisnąwszy się okienkiem, uderzył w jej oczy, schwyciła się nagle, przetarła powieki i wracając do życia opamiętała się w swem sieroctwie.

Boleść i znużenie tak jej myśli zmieszały, że długo pomiarkować nie mogła czy noc przespala tylko, czy więcej, czy tylko krótką godzinę. Wyszła na próg i po słońcu poznawszy ranek, zdumiała się.

Świat był wesoły i piękny, pomimo smutku sieroty; słońce wschodziło pogodne, cisza była dokoła, a wróble ożywione szczebiotały pod strzechą, latały, kręciły się, wrzeszczały, były o zapomniane gdzieś ziarno na drodze, wrzawą napelniając powietrze.

Dziewczę poczęło się rozglądać w obrazie świetnym i wdzięcznym, a oko jej padło przez niski wał cmentarny na żółtą matki mogiłę. Drzwi chaty zostały otworem szeroko, a Marysia pobiegła i przytuliwszy się do zimnego kurhanka, zachodziła od płaczu.

Nie wiem jak długo to trwało, gdy od wioski, szybkim posuwający się krokiem, ukazał się krzepki, barczysty starzec, pomimo widocznej swej ślepoty, żywo i śmiało postępujący ku górze. Kij tylko wiódł jego krokami, a tak był pewien swej drogi, że ledwie dotknął nim ziemi, posuwał się jak gdyby zdrowe i całe miał oczy.

Nagle stanął i białe źrenice zwrócił ku mogilnikowi, przysłuchując się uważnie. Oślepy dziad uszy miał ostre i czucie szczególne: cichy płacz dziewczyny nie uszedł jego uwagi, domyślał się kto płakał, ruszył ramionami z gniewem prawie, i puszczając się znowuż żywym kro-

kiem, poczał jak gdyby widział, kierować się na cmentarz. Miejsce to tak mu było znajome, jak wszystkie kąty wioski: trafił na przegniły mostek, do furtki i między mogiłami doskonale torując sobie ścieżkę, podszedł do samej dziewczyny, wiedziony cichym jej płaczem.

Marysia spostrzegła go dopiero, gdy się do niej odezwał:

— Dosyćże już płakać, dosyć; umarłym pokój wieczny, — żywym czas do pracy i do życia. Ot wstawaj i chodź!

— Dokąd? dokąd! — spytała niespokojnie dziewczyna, nie dobrze poznając Rataja,

— Dokąd? a do nas — rzekł stary włóczęga — co to myślisz sama gospodarować? Przecie to twoja matka chciała, żebyś do nas poszła, a sama tak zostać się nie możesz.

— Toście wy pewnie mąż Sołoduchy?

— Stary Rataj, ślepe dziadziśko, jakbyś mnie знаła; a długo nie gadając zabieraj się rybko i ruszaj.

— Alem ja wczoraj już żonie waszej powiedziała, że przy chacie zostanę.

— Tak! a ja ciebiem zastał tu na cmentarzu: piękna tobie chata! A co to z tego będzie, jak ty tu zaczniesz chodzić i wypłakiwać! Chleba nie wypłaczesz, to darmo! Musisz iść do nas, nic nie pomoże!

— Nie pójdę! nie pójdę — krzyknęła Maryś — nie chcę, nie mogę, mam swoją chatę i w swojej chacie choćby umrzeć!

— Co ty oszalałaś Maryś? he?

— Niech oszalałam a nie pójdę! — odparło dziecko

— Dziwujecie się żeście mnie tu znaleźli; co za dziw

Wczora j jeszcze wzięłam się do kądzieli, ale sen mn zmorzył, kamieniem przespałam noc całą... Wyslam w słonko popatrzeć zraua, zobaczyłam moją mogiłę i płakać sie ua niej zachciało.

— I tak będzie co rano.

— Nie dziadusiu! nie! ja wiem co potrzeba: pójde do roboty, bo z niej żyję, a lzy — schowam na niedziele.

Rataj stał zdumiony jak żona, był bowiem pewien że znajdzie dziecko, a trafił na dojrzałą i rozłaloną tylko istotę: nie wiedział już co począć, co powiedzieć.

— Prowadźże mnie do swojej chaty — odezwał się po namyśle, — nigdy w niej nie byłem. muszę ją obejrzeć...

Rataj zwykł był tak mówić choć oczów nie miał, i niewiele tem grzeszył, bo ślepy tak umiał zastąpić wzrok niezwycajuem czuciem i sprytem, że często więcej od najbaczniejszych zobaczył. Poszli więc razem ku chatce cygaua. Stary dziad obmacał drzwi i pokiwał głową na ich niskość, przestąpił próg, i nie zatrzymując się obszedł izbę, macając rękoma stoły, piec i ławę, zajrzał do alkierza w tenże sposób, powrócił i zasępiony usiadł na przypiecku.

— Szatra cygańska — rzekł do siebie pocichu — gorsza od lada jakiej ziemianki, w której choć zaciszno i ciepło... Jak to tu żyć!

Dziewczę dosłyszało słów ostatuich.

— Oj! żyliśmy ojcie, i dobrze nam było z naszą nędzą; a mnie jednej! aby jamka gdzie głowę przytulić!

— Jakże ty myślisz? co poczniesz? gadajno mi, — zawołał Rataj — trzeba żebym wiedział.

Maryś zamyśliła się wlepiając w dziada swe czarne,

bystre, choć zalzwawione oczy.

— Oto posłuchajcie — rzekła — nie dziwota przecie to samo robić, cośmy z matką robiły. Na wsi dają prząść, a za motek: i chleb, i omastę i krupę, a czasem szmatę jaką dostać można. Ja, ojcie kochany, niechwaląc się, tak przędę, tak przędę, że mi trudno kto dorówna. Jak grubszą, to i całą talkę za tydzień wypieszę, matka mnie sama uczyła, a znali ją we wsi za pierwszą kądziel, bo jej i sławna Horpyna od Mudrahela wyprzedzić nie mogła.

— A jak zasląbniesz? — zapytał Rataj chmurno.

— No, to poleżę; i, co Bóg da! co Bóg da! — powtórzyła z westchnieniem. — Matka zawsze mówiła, że Bóg nad sierotą!

Rataj słuchał i coraz bardziej czuł się zdziwionym, tak, że ze zdumienia słowa rzec nie umiał. Oczy jego zwracały się w stronę Marysi i jej głosu; rzekłbyś, że usiłował przebić wiekuiste ciemności i odgadnąć twarzyczkę dziewczęcia: a czoło było chmurne i zasępione.

— Świta ci w głowie — odpowiedział po chwili — no, a czemużbyś to do nas pójść nie chciała? Mów, dla czego? Może ty się boisz Sołoduchy? Ale bihme, jakby ci złe słowo rzekła, takbym jej boki oblatął, żeby cię potem w ręce całować musiała.

— Ale ja się nikogo nie boję! — przerwała żywo Maryś.

— A czemu do nas iść nie chcesz?

Dziewczę się zawahało, łza pociekła z pod powieki i zbliżyła się do starca, poczynając zniżonym, pełnym wzruszenia głosem:

— Ojcie... wybyście mnie powinni dawno zrozumieć! Może to śmieszno, może to grzeszno, może to głupio

co ja powiem; ale cóż? kiedy tak jest, tać się nie ma co przed wami. Jabym tej chaty nie mogła porzucić! Czy to wy slyszeli, jak ją ojciec biedny budował! A cośmy tu z mamunią przechorowali... Ja się urodziłam, ona tu umarła... Nie! ja jej kolkiem podeprzeć nie mogę i pustką zostawić: póki mnie żywej, dopóty tu siedzieć będę.

— A rób sobie jak chcesz? — zawolał dziad, którego usta zacięte, litość czy wzruszenie tłumione malowały — Bóg z tobą, tylko no pamiętaj, pamiętaj jak ci doku- czy, u Sołoduchy na ławie przy piecu jest zawsze dla ciebie miejsce a w Ratajowej torbie chleba kawalek. I na grób matki tobie nie chodzić dziecko: ty tego nie wiesz jeszcze co to płacz i smutek... Smutek chodzi po świecie marą, a kogo złapie to dusi, to męczy, jeśli się od niego nie odlegna, aż póki nie zadławi. Pan Bóg tej zmurze nie każe się poddawać a bronić. Matce two- jej nic po łzach: zmów lepiej pacierz za nią, a na mo- giłę nie chodź. Siadaj, prządz, gospodaruj, kiedy ci się chce próbować samotnicy, ale to tego nie będzie! Czło- wiek człowiekowi potrzebny; cobym ja dał, żebym choć wraża twarz ludzką zobaczył!

To mówiąc dziadzisko zerwał się z siedzenia, torbę, którą miał przewieszoną przez ramię, zsunął na kolana i począł z niej dobywać kawalców chleba zeschłych, świeżych, popleśniałych, bielszych i czarniejszych, aż do dna wypróżniając zapas swój na ławę.

— Ot tobie na początek gospodarstwa — rzekł po- nuro — jaka ręka, taka i jaluźna; bywaj zdrowa i niech cię Bóg pocieszy hołubko!

Odszedł z tem Rataj, i już go nazad przeprowadzać nie było potrzeba: próg przestąpił śmiało, głową się

o niski odzwieriek nie uderzył, w sionkach trafił do wnijścia jakby je sam budował i z góry puścił się drogą, nawet nie wiele kija posyłając na zwiady.

— Taki to ród — mruzczał pod nosem idąc ku wiosce — gdyby mi kto z drugiego siola gadał, tobym nie uwierzył, że wyrstek, sierota, dzieciak, a już chce mieć swoją wolę! Rodem oni tacy byli: dziad umarł, a córce na ślub nie pozwolił; córka z nędzy skończyła na swoim postawiwszy, bracia się zakłębili, że ona im obca będzie, i ot! dotrzymują psie wiary!

Zatrzymał się na chwilę.

— A gdybym ja próbował pójść do Maksyma i Filipa, he? kto wie? możebym co utargował dla sieroty? Poprobuję, taki mnie psami za to nie wyszczują, a choćby? kijem się opędzę i mordy im potłukę.

Droga do chaty wujów Marysi szła podle karczemki, której Rataj nigdy nie mijał; nie wytrzymał i wstąpił rozwiązawszy węzelek w koszuli, w którym się parę groszaków schowało. Wypił kwaterkę, i pokrzepiony, z lepszą myślą, milczący ale śmiały skierował się ku chacie braci Motruny.

Dotąd oni jeszcze byli nie rozdzieleni, i choć semia się pomnażała, choć ich tam gęsto było, nie wyprosilili sobie kawałka pola, bo pustek u pana zabrakło a z lanu ciężko było wydzielać.

Nie najlepiej się więc działo Maksymowi i Filipowi; przyszły dzieci, trafiły się kilka lat nieurodzajnych, żony ich o lada garnek u pieca się swarzyły, klóciły w oborze, zajaśniały na podwórku, gdy jeden podświnek drugiemu zajrzał do koryta: a gdy przyszło na pańszczyznę, jedna drugą wypychała, porywały się do siebie, że je często mężowie rozbraniając, sami się pokłócić musieli.

Czyste piekło zrobiło się w chacie.

Jeden na drugiego się oglądał, nikt nic nie robił, i bracia Motruny uboželi przeklinając swoją dolę. Nie poznałbyś teraz tego czystego dawniej podwórka, tej schludnej chaty i zamożnego obejścia, tak się to oszarpało, poopadało i pochyliło przez niedbalstwo. Ploty stały poszczerbione i powypalane kawalami, dach się powyginał od zgnilizny, ścian dawno nie obmazywano, a chróściana stodołka świeciła bokami, przez które wiechcie słomy tylko wyglądały. Dawniej, za Lepiuka, było to jedno z najlepszych gospodarstw we wsi; dziś na dwóch braci jedna już para wołów została. I jakiego tam były woly: jeden stary i chudy, drugi dopiero w trzecim roku niedorosły i cherlawy, aż wstyd było wyjść z radlem na pole, lub się sprzęgać do pluga. A jak nadeszła ta bieda, wszyscy się nią poczęli rzucać, nie przyznając się do tego, żeby jej kto pierwszy drzwi otworzył. Maksym składał na Filipa, Filip na Maksyma, a bratowe obie i na mężów i na siebie. Na przednowku na ościsty chleb pożyczać było potrzeba, a wiadomo co to chłopska pożyczka! Za ćwiartkę żyta oddaj ćwiartkę żyta w dodatku; już dobrze, kiedy trzy dui odrobić potrzeba, choć cały korzec kupiłby za pięć złotych.

Wiedział Rataj, jak tam było u Motruny braci, bo we wsi wszyscy wiedzą co się dzieje u sąsiadów; wszelako szedł do nich, bo zawsze przecie choć biedni, stokroć więcej mieli od sieroty i wesprzeć ją mogli.

Jakoś to był taki dzień, że wszystkich zastał w domu. Maksym nabijał rozsypane wiadro, Filip dojadał z misy, wybierając się do lasu, a dwie bratowe stauawszy naprzeciw siebie w dwóch kątach izby, łajały się co wła-

zło o zarzucone wrzeczono. Mężowie już im nie pomagali, przywyklszy do tego codziennego chleba; ruszali tylko ramionami, skrobiąc się po głowie.

Gdy się dziad ukazał w progu, przeprowadzany przez ujadające dwa psiaki, potomstwo starego poczciwego kasztana, wszyscy odwrócili głowy ku niemu, a Maksym rzucając robotę zawołał:

— E! szlibyście z Bogiem!... bo tu u nas chleba też nie ma.

— Albo to ja za jałmużną? — ofuknął się Rataj — czybaście mnie nie pozuali? Czy to ja po swojej wiosce bez prawnika będę żebrał? Tfu! Maksymie, w głowie się wam przewraca: czy nie znacie Rataja? Czy to już wam ławę przelamię jak na niej odpocznę? — Maksym się zawstydzil i pokraśniał.

— Nie łajże stary, — rzekł — siadajcie, odpoczywajcie, a tom was doprawdy nie poznał.

— No! no! stare dziadzisko gniewać się nie potrafię; mój chleb mnie do wszystkiego przyzwyczail: i do ludzkiej litości i do ludzkiego łajania... Przysycha to jak na psie. A klnie mię kto, odeklnę go w dziesięcioroj nie w oczy to za oczy!

To mówiąc Rataj ławę namacał, zamilkł na chwilę jakby słuchał szelestu najmniejszego, żeby zeh o liczbie osób w izbie będących przekonać się, i poczał ciężko westchnąwszy:

— A wiecie, jakie na mnie spadło dziedzictwo?

— No? jakie dziedzictwo? — spytali razem Maksym Filip.

— A! po waszej siostrze Motrunie!

Bracia, jakby im kto gęby pozalepiał, umilkli; stary się też nie spieszył mówić dalej.

— Aż mi serce rośnie — dodał po chwili — dawnom sobie dziecka życzył, a to na starość mnie i mojej babie pan Bóg dał gotowe, wyhodowane, i takie co się niem i przed królem nie powstydzisz. Motruna mi swoją córkę zostawiła.

— A! a! — odezwali się obaj bracia.

— Ot tak! a walna dziewczynina, tylko szkoda, że jak wy wszyscy kury czubate, ma także czubka: uparta gdyby kozioł.

Nikt nie przemówił i słowa, a Rataj dalej ciągnął rzecz swoją:

— Cieszyłcm się, że ją zabiorę, boby się było kim posłużyć w domu; a tu choć się sama jedna została, ani jej z chaty wyciągnąć. Słyszana to rzecz: sama jak palec, bez kawałka chleba, i mówi, że sobie rady da, i sama chce gospodarzyć, a jeszcze to od ziemi nie odrosło!

Bracia i bratowe po sobie spojrzeli, ramionami ruszyli, a ciekawość rozwiązała im usta.

— Co-bo mówicie! — zawołał Filip — ta to dziecko!

— Dziecko, ale nie takie jak wasze, co to się matczynej trzyma spodnicy i za próg samo nie wylezie; daj mu i miskę i łyżkę a jeszcze gębę trzeba otworzyć, żeby jadło.

— Żeby ono jakie było — rzekł Maksym powoli — to zginie jak ruda mysz... Nie darmo ojciec ich z rodem przeklął: cygan przepadł niewiara, Motruna zmarła o głodzie, i sierotę nie lepsza czeka dola.

— Dalibyście pokój przepowiadać — przerwał Rataj — a co ona winna, że drudzy nagrzeszyli? Pan Bóg lepszy i miłosierniejszy od ludzi, nie da jej zginąć... Kto wien, już odpokutował.

— Ależno powiedźcie — odezwała się Maksymowa — co ona sobie myśli? Jak to dziecko da sobie rady? samuteńkie jedno! To dziw!

— Dziw naprawdę! Ja sam nie wiem co będzie; widzi mi się — odparł stary — że pobieduje na tej pustce a potem do nas zbieży. Bogiem a prawdą i wamby się co dla niej uczynić należało: choć kawałek dać chleba.

Na ten całkiem niespodziewany wniosek, i Maksym i obie bratowe jednym głosem krzyknęły:

— Co tobie w głowie? czy to u nas chleba nadto?

— Hm! chleba nikomu nie nadto! — rzekł Rataj — wiem ja, że go nie macie do zbytku; ale czemu Pan Bóg nie błogosławi? Któż to wie, czy nie za Motrnę, coście ją tak odepchnęli? Żywicie taki choć nie bogaci psów dwoje, znalazłaby się kromka chleba i dla sieroty; kto to wie, czyby się ten zasiew nie wrócił!

Maksym ramionami ruszył.

— Dajcie pokój, już ja widzę z czemeście wy przyszli. Na co to darmo kręcić! ni to, ni owo: a że to ją bierzecie do siebie, a to że ona sama sobie rady daje, kiedy myślicie nam ją na kark narzucić... Ale z tego nic nie będzie! dosyć nas i tak!

— Pluń Maksymie! — zawolał dziad stukając kijem — ot widzicie, jakto z wielkiej mądrości ażeście się domyślili, co mi w głowie nie postało! Naprzód, żebyście i chcieli, tobym wam jej nie dal; powtóre, jak do mnie, tak i do was ona nie pójdzie! A czegom chciał to powiem: możeby wasz datek smaczniejszy był od mojej żebraniny; ale i tak z głodu nie umrze pókim ja żyw! Niechaj wam będzie jak było, kiedy takie serce macie!

To mówiąc wstał szparko, kijem zastukał i nie

rzekłszy słowa więcej, drzwiami za sobą cisnął, a na podwórku tylko psy ujadające do wrót odejście jego oznajmiły.

Bracia i bratowe stali chwilę pochmurzeni, spoglądając po sobie.

— Jaki mądry! — odezwała się wreszcie pierwsza Maksymowa — chciał nam jeszcze jedno dziecko narzucić, jakby to u nas tego bobu mało było.

— Cicho babo! — ofuknął się Maksym, podnosząc głowę od roboty — nie narzekajże choć na dzieci, bo ci je pan Bóg pozabiera!

— Co to gadać — odważnie jakoś wstając z za stołu i nakładając czapkę na uszy, dodał Filip — po sprawiedliwości, nie komu się opiekować tą sierotą tylko nam. Rodzonejże siostry dziecko zostało sierotą; opuścić wstyd i grzech, a gdyby kto inny wziął, to palcami nas będą wytykać.

— To cyganie, cyganie! — zakrzyknął Maksym — co ty mówisz siostry dziecko! Ojciec się jej zaparł... krew niewiasty! Niech się idzie włączyć za swoimi, nam nie do tego.

— A pewnie, że tak! — dodała Maksymicha; a żona Filipa spoglądając kwaśno na męża, szepnęła:

— Czy to my już tak bogaci, żebyśmy mieli cudze dzieci brać na głowę; patrzajno, żeby twoim chleba stało!

Filip ruszył ramionami, pokiwał głową, wcisnął czapkę głębiej na uszy, węzelek zarzucił na plecy, siekierę za pas zatknął i fajkę u pieca zapaliwszy, wyszedł do wozu, który już stał przed sienią zaprzężony.

Pozostali milczeli długo; ale że się już nie było z kim spierać i pierwszy niepokój ich ominął, zaczęli

wszyscy myśleć o sierotce, jak to ona sama tam została i rady sobie daje. Nie śmieli tylko ust otworzyć, ale ich piekło i pogawędzić o tem, o czem cała wioska, dwór, plebanja, gadali i rozprawiali w tej chwili.

Już się bowiem było dobrze rozniosło o śmierci Motruny, i o dziewczęciu, i o postanowieniu jej pozostania w chatce na własnem gospodarstwie, a każdy się dziwił i ciekawił, jak to będzie.

I dwie bratowe z Maksymem niemniej też zadumywały się, jaki to temu może być koniec; a jak myśleć poczęły, wystawiać sobie to życie samotne w chatce cmentarnej, tę niedolę, tę pustynię, jakoś się trochę litości obudziło w ich sercu. I choć każda z nich obawiała się bardzo z tą litością wydawać, aby do niej i do niewczesnych ofiar drugich nie pobudzić, trudno już było nie pokazać po sobie co się czuło.

— Ale to — odczuwała się pierwsza Filipowa — ciekawość jednak, jak tam cyganka gospodaruje. Tato nie ma może jak lat dwanaście, trzynaście, a myśli, że się bez ludzi obejdzie... Radabym choć ukradkiem tam zajrzeć, a zobaczyć co się to dziać będzie. Słychana rzecz, taki dzieciak sam jeden na całą chatę!

Maksym głową pokiwał.

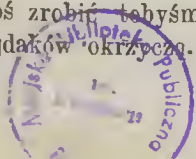
— Rataje ją wezmą!

— Soloducha mi taki mówiła, że ją gwałtem ciągnęła, ale się jej nie dała.

— Zobaczycie!

— A no! zobaczymy!

— Dobrze taki podobno mój powiadał — dodała Filipowa po cichu — wziąć nie wziąć, bo to ciężko, a taki dla niej coś zrobić tobyśmy powinni; ludzie nas za ostatnich łajdaków okrzykną. Póki żyła matka to co



innego było, ale nad sierotą trzeba się zlitować.

Mówiła to, ale tak nieśmiało, tak bojaźliwie, tak oglądając się na bratową i Maksyma, jakby się obawiała okrutnej na siebie wrzawy, i gotowa była ustąpić zaraz; ale nadspodziewanie nikt przeciw temu nie rzekł już słowa.

Maksym z ust wyjął fajkę i począł głową pokręcać.

— Jaka ty bogata Filipicho! Oj! oj! nie mówię żeby to dawniejsze lata, kiedy z roku na rok stołek żyta schodził, a i w zasięku zawsze bywały zapasy; ale teraz... tak, to my sami pożyczać będziemy musieli, a pole na wpół siejemy z Semenem, to co z niego zbierzemy?

— Albo to jej dużo potrzeba? — odezwiała się już odważniej Filipowa — ot, cokolwiek, aby ludzie nie gadali, a sumienie było spokojne.

— Jaka mi pani! — zaczęła z kolei Maksymowa — dać! dać! a z kąd weźmiesz?

— E! e! na toby się kruszynu znalazła!

Maksym milczał, bratowe pierwszy raz od dawna zbliżyły się do siebie i szeptać poczęły; ale o dziwo! nie swarzyły się jakoś, tylko żywo coś sobie opowiadały, krzątając po kątach; duch miłosierdzia w nie wstąpił, wiodąc z sobą ducha zgody.

Nie ma bowiem serc lepszych i pocziwszych nad serca ludu naszego, ale je często zatwardza nędza, zamyka własny głód i pragnienie. W ciężkiej doli trudno się zebrać na litość. a ostatnim kęsem nie każdy podzielić się potrafi. W chacie było bardzo ubogo; przecież gdy namysł przyszły obowiązki. gdy się w sercu własnem rozpatrywać poczęli: ruszyło sumienie, wzięła ochota nędzą się przelamać z biedniejszym. Wprawdzie,

darek szedł nieochotnie i dobrze się zadumyвано nad nim, w pierwszym popędzie zamyślając dać więcej, okrywając powoli gdy przyszło do rzeczy; ale i Maksym i bratowe zgodziły się zanieść coś sierotce i zobaczyć co się tam z nią dzieje.

Wielką tę wyprawę odłożono do jutra, na czem straciła dziewczynka, bo do rana rozmyślano jeszcze i ujmowano podarku, oglądając się na siebie.

O! takto my wszyscy robimy podobno: serca dobre, ale głowy bojaźliwe i chłodne!

Dziewczęciu w jej lepiance ciężko pierwsze upływały chwile: ale nie jest to czczem słowem, ani ciasno tego rozumieć i zastosowywać to potrzeba, co nas uczy wiara, że są zlewane od Boga łaski stanu. Nie jedni kapłani mają je sobie udzielonemi, wszelki człowiek w trudnej toni, z sercem czystem i poczciwem, jeśli nań zasługuje, otrzyma ten szczególny do stanu jego zastosowany dar Boży. Przez anioła opiekuna, niewidzialnie, zesłała Opatrzność myśl jakąś płodną, przymiot potrzebny, cierpliwość, siłę, wytrwanie, ziarenko przyszłości, na którego pozyskanie sam człowiek próbnoby pracował. Jestto zapomoga wśród głodu ze spichlerza bożych dzieci.

Biednej też sierotce w ciężkiej doli i osamotnieniu, gdy tylko pierwsze łzy oschły, gdy serce spokojniej bić zaczęło, zaświtała myśl szczęśliwa, przyniesiona przez anioła i włożona na jej skronie.

Nazajutrz rano wstała rzeźwiejsza, wyszła na próg domu, i spojrzawszy w słońko, na krzątające się pta-

stwo, na rozgrzewającą ziemię, na ruch gospodarski wioski, której głos ją dochodził z parowu: poczęła dumać nieboga.

Oczy jej błędziły machinalnie goniąc za wróblami, które żwawo zwiły się z pod strzechy na drogę, a z drogi pod strzechę.

— Ot, jakieto maleńkie — pomyślała — jakie to biedne, drobne, bez opieki, prześladowane, a Bóg taki i pokarim i życie im daje... Pracują niebożątka, i siedząc w strzesze przegulię gniazdka sobie budują i jeszcze śpiewają tak wesolo! Czemużbym ja nie miała sobie dać rady jak się zawezme do pracy!

Dziewczę oczyma wyczytało w księdze żywej świata, niemal dosłownie wypisane wyrazy ewangelji, które powtórzył z ust Chrystusa Mateusz święty. (Rozdział VI. *Respice volatilia coeli quoniam non serunt, neque metunt, neque congregant in horrea, et pater vester coelestis pascit illa. Nonne vos magis pluris estis illis?*).

Myśl to była od Boga zesłana i serce orzewiająca, w żywej księdze życiem napisana. Marysia spojrziała na mogiłę, ale i ta do niej w toż prawie przemówiła słowa.

— I matka moja pracowała, sama jedna, gorzej, bo za mnie i za siebie, bo na nas dwoje, nie mając w pomoc nikogo; a tyle się to lat przeżyło!

Otucha wstąpiła w jej serce.

— Czegóżbo ja stoję w progu — spytała sama siebie — lży otrzeć potrzeba, bo nie nie pomoga; zmówię pacierz za matuchnę, i koło chaty się wezmę!!

I przełegnawszy się wbiegła do lepianki, po raz pierwszy od śmierci Motruny, rozpatrując się jak wniej było zaśmiecono, porozrzucano, nieporządnie.

W mgnieniu oka zatknęła za pas końce fartuszka,

zakasała rękawki sukmany, i nuż się zwijać po domku. Poczęła od alkierzyka, gdzie nakrywy od bodni, trochę sukien i biedoty leżały bezładnie; pochowala co schować było potrzeba, ponakrywała sypaunki, przymiotła i weszła do pierwszej izby. Tu jeszcze nietknięte stało łóżko na którem umarła Motruna, a gdy się do niego zbliżyć przyszło, serce się jej ścisnęło; ależ miała tak zostawić ubogi ów barłóg na pośmiewisko ludzkie? Westchnęła, i powoli z niejakim strachem i ściśnieniem serca wzięła się do tej bolesnej roboty.

Poskładała resztki odzieży, grubem płótnem przysłoniła łóżko, a gdy tę najcięższą odbyła pracę reszta już poszła jej żywo i łatwo.

Zamiotła więc podłogę, śmiecie rzuciła na ognisko, bo się na podpałkę zdać mogło, pościerała stoły i ławy, poprzechowywała chleby, nałożyła oszczędnego ognia, bo się znalazł jakiś węgielek wczorajszy w którym iskra tlała jeszcze, i zaparłszy drzwiczki, z wiadrami ruszyła do krynicy.

W drodze co to tam myśli krzyżowało się w głowie! jak sobie chatynkę urządzi, jak zapas przysposobi, zkąd weźmie drzewa na opał, zkąd garnka na strawę? Nie wiem jak, ale na wszystko jakoś znalazła sobie sposób i radę, trochę się tylko zadumawszy.

— Wstanę rano — mówiła — na wszystko mi czasu stanie; woda niedaleko, mnie i jedno wiadro wystarczy; drewek w chruśniaku dosyć, to sobie ich mrokiem nabieram, gdy już prząść nie dowidzę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na chleb już nie naprzęda... Koszulinę jedną i drugą wykroję z mateczynych, to mi wystarczy na długo. Świtek stanie mi na całe życie; w starej chodzić będę w dniu powszednie, a na niedziele

mam jeszcze dobrą, co mi kazała uszyć matunia... Jak się ta podrze, to i do matczynej dorosnę. O cóżbym ja sobie więcej głowę łamała?... Chleb i woda... nie ma głodu... E! dam sobie rady przy pomocy Boskiej, przy opiece matki, bo ona przecie patrzy na mnie. O! patrzy, ja to czuję, aż mi lżej... i nie da dziecku swemu zginąć! ztamtąd ona silniejsza niżeli tu była, bo u Boga żyje i od Boga dziecku co zechce wyprosi.

Tak sobie marząc, zaszła Marysia do źródła, zaczępnęła w niem, rozpędziwszy wprzód wiadrem zebrane na powierzchni wody śmiecie, i nie tracąc czasu, nie rzuciwszy nawet okiem na wioskę, którą ztąd całą widzieć było jak na dłoni, pospieszyła do chaty.

Ogień jeszcze zastała tlejący, ale podsycać go nie było już czem, tak się wyczerpało drewno. Myślała, myślała, przemyślała chwile i skoczyła ku drabinie na strych wiodącej, na którą wdrapawszy się, aż krzyknęła z radości; na górze pełno było suchuteńkiego chrustu. Kiedyś go był głupi Janek jeszcze przysposobil dla Motruny, a po śmierci parobka zapomniano o nim: dziewczęciu nie wiem jak przyszło na pamięć, że łażąc za ostatnią kurą, widziała tam drewno, przypomniała to sobie i zapas gotowy znalazła na długo. Tak to ją ucieszyło niebogę, że aż lzy jej z oczu pobiegły:

— A! jakże to mi Bóg dał w samą porę — zawołała — tymczasem zima i śniegi zejdą do reszty, oschnie, i w chruśniaku zbierać będą mogła gałęzie.

Śliczny, wesoly ogienek rozplonął na kominie; Marysia garnek wyniła, wody nastawiła, ale co tu sobie zgotować? Nie było wyboru: nakruszyła chleba, rzuciła go we wrzątek, trochę soli było w drownianej miseczce nad piecem, i smaczna, o! smaczna dla głodnej

zrobiła się z tego potrawa.

— Wszakże to i tem żyć można? — mówiła w duchu zajądając zacierkę chlebową. — Ot i obiad gotowy, na wieczór przemienię sobie i zjem suchego chleba z wodą zimną... a z głodu już nie przepadnę!

W izdebce rozegrzało się od ognia, Marysia starannie umyla garnuszek, przeżegnała się, i wzięwszy kądziel, poszła praść do okienka. A wyciągając nić długą, oko jej raz-wraz biegło po chatce, po sierocem dziedzictwie. Gdzie najrzy szparkę w ścianie, myśli jak ją zalepić; gdzie glina opadła, zapamiętywa, żeby na wiosnę gdy ociepleje, poprawić. Pracuje ręką, pracuje myślą, a nadziei serce pełne.

A czas bieży, bieży, bieży, ani słyhać jak ucieka, i już około południa ktoś przed chatą zagadał! Myśląc że to Sołoducha albo Rataj stary, bo się nikogo innego nie spodziewała w gościnę, nie wstała nawet z ławy, żeby czasu nie tracić; wtem drzwi się otwarły i dwie nieznanome kobiety, bojaźliwie jedna drugą popychając szepnąć coś, weszły do izdebki.

Były to dwie bratowe, Maksymicha z Filipichą. Marysia ich nigdy nie widziała w życiu, ani też one sieroty; jęły więc wzajem się sobie przypatrywać, a ciekawość tak opanowała dwie baby, że słowa nie mówiąc, z dziewczęciami na chatę, z chaty na dziewczynę oczyma tylko rzucały, nie mogąc się wydziwić obojgu.

Marysia wstawszy i postawiwszy kądziel, czekała żeby się do niej ozwały; aż nareszcie Maksymowa szturgnięta łokciem przez bojaźliwszą Filipichę, poczęła z uśmiechem:

— Śława Bohu!

— Na wieki.

— Chciałyśmy to zobaczyć, co się z wami dzieje, choć to my się nie znamy... ale.

— Bóg zapłać — odparła Marysia — a cóż ma być: haruje i żyje.

— Patrzajcie, patrzajcie — szepnęła Filipicha — jak to u niej czysto i porządnie: i ogień na kominie, i wiadro pełne i umieciono... a któż tobie pomaga?

— Nikt! nikt — tęskno odpowiedziało dziewczę — dwie ręce, trzecia głowa; a ktoby to chciał pomódz sierocie? Ratajowie czasem najrzą, więcej nikt; ot, Pan Bóg i nieboszczka matka moja.

Filipicha, która wspomnienia nawet nieboszczyków się obawiała, przeżegnała się skwapliwie, odganiając nieostrożnie wyrzeczone słowa.

— Siadajcie — dodała Marysia zmiatając im ławę fartuszkim, a nie śmiejąc się pytać kobiet, co były za jedne; — Bóg zapłać, żeście przyszli choć słowo przemówić; wy nie wiecie jak to ciężko być samej!

— A już to prawda — odpowiedziała młodsza — ja i nie wiem, jak wy tu wytrzymujecie; tak tu straszno i cicho być u was musi.

— Tylko, że nieładno — odezwala się Marysia uśmiechając — ale mi tu wróble swoim językiem cały boży dzień paplają pod strzechą, i srocčka krzyczy, i słoneczko zagłada, i mam kilka myszek burych, co z pola przyszły na zimówkę do chaty, a tak oswojonych, że się mnie nie boją i pod nogi schodzą po okruszyny chleba.

Maksymicha w twarz się uderzyła z podziwienia, z naiwnym ruchem niedowierzania prawie; Filipicha otworzyła usta wielkie, i obie osłupiały tak im to było i dziwne i nowe.

— A w nocy? — spytała tchórzliwie oglądając się młodsza.

— E! ja w nocy, upracowawszy się, spię jak kaminień; a matka mi mawiała, że anieli pilnują, kiedy człek z krzyżem świętym spać się kładzie.

— Jakto ona gada — poczęła w duchu Filipicha — co to za rozum, tażto i stary lepiejby nie potrafil... Nie widana dziewczyna!

Spojrzały po sobie baby coraz bardziej zdumione, ruszając ramionami, jakby się pytały siebie: — co to znaczy?

Marysia tymczasem uprzejmie je zapraszała, robiąc miejsce na ławie, a sama się już brała do kądzieli. Kobiety usiąść jeszcze nie śmiały, przypatrywały się ciekawie, rozglądając i szepcząc między sobą i trącąc lokciami; jedna i druga tulily coś w fartuchu przyniesionego, ale nie wiedziały, jak to Marysia oddać.

Dziewczę ze swą prostotą, śmiałością, odwagą, niespodziane na nich uczyniło wrażenie, któremu się odjąć nie mogły; było to coś więcej niż podziwienie: — rozczulenie i cześć jakaś prawie. Biło serce kobietom choć się uśmiechały, kryjąc wzruszenie do którego nie przywykły.

— Choć siadźcie, proszę — mówiła im Marysia — nie mam was czem przyjąć, bo prócz chleba, którego mi Rataj podarował, nic tu u mnie nie znajdziecie; ale czem chata bogata, tem rada.

— Jakto? to wy prócz chleba nic nie jecie? — zapytała Filipicha.

— Teraz jeszcze żyję o chlebie, bo nie mam nic: alem sobie z niego zagotowała zacierki i nie jestem głodna, a da Bóg doczekać, będzie i krupa i omasta, byłem motki skończyła, a praść się znalazło więcej.

We wsi mi dają robotę, bo widzą, że przedziwo nie przepadnie, i pod wagą nici oddam. Semenycha, Kociukowa, Pawłowa, Lebedzianka, dobrze mnie już znają, a ja i dwudziestkę uprzedę.

Kobiety przysłuchiwały się pilnie słowom dziewczęcia, a coraz to się więcej dziwiły śmiałości jego, odwadze, nadziei i przytomności. Wpatrywały się w ładniechną jego twarzyczkę z trochę zapłakanemi oczyma, i obie potajemnie w sercu westchnęły, żeby ich córkom Bóg nie taką dołę, a tyle dał serca i głowy, co sierocie.

— Ależ moja maleńka — odezwiała się Maksymicha — to ty chyba i drwa nosisz sama i po wodę chodzisz?

— A cóż? wszystko sama robię i na wszystko jakoś mi rąk starczy — rzekła Marysia. — Jużem się wypróbowała i obmyślałam jak to będzie.

Tu zaczęła rozpowiadać im, jak ułożyła życie i godziny dniowe: a kobiety zamilkły znowu z wielkiego podziwienia.

— Krzyż z nami! — powtarzały — krzyż z nami! A to cudowisko ta dziewczyna: schodzić się do niej a słuchać, patrzeć a dziwować!

Pobyły tak chwilę u Marysi i nie śmiały nawet w końcu wystąpić już z małym datkiem, który dla niej przyniosły; jak siedziały na ławie, tak po za siebie zasunęły co miały w fartuchach, i posiedziawszy jeszcze, pożegnały Marysię, ciekawe o niej wiadomości niosąc na wioskę.

Poszła z niemi wieść po całych Stawiskach o Marysi cygance; z kim się spotkały, każdemu rozpowiadały o dziewczynie i nagać się o niej nie mogły, tak, że w chatach, na dworskiem, u dobrodziejów w plebanji¹ w karczmie, nie było słyhać tylko o niej. Nienawiść

ku cyganowi i cyganisze dawno już była przygasta i wyczerpała zubożeniem, ludzie o niej zapomnieli, a sierota wzbudzała teraz powszechną litość i zajęcie. To, co o niej Ratajowie i dwie baby rozповідаły, obudzało ciekawość, a ludzie dziwy prawili o sierotce pustelnicy, która się stała podziwem Stawisk i okolicy, zaraz w pierwszych tygodniach po pogrzebie matki.

Nie można już było wątpić, że sobie dziewczynina da rady; przestał nawet Rataj spodziewać się, że się do nich schroni, i dziwiono się tylko, zkąd w młodej głowinie tyle się wzięło rozumu i ladu, a w sercu tyle odwagi.

Ze wsi gawęda o Marysi już nie po raz pierwszy doleciała do dworu; ale tu mniej na zubożonych ludziskach, pana otaczających, zrobiła wrażenia. Pan Adam znany nam ze swych szalów i z uczucia, jeszcze tu panował, ale dwór jego i on sam po kilkunastu latach zmienił się wielce, przerobił do niepoznania. Widzieliśmy moralny stan tego nieszczęśliwego, któremu nie pozostawało chyba umrzeć, lub nowy jakiś wynaleźć żywioł opiekuńczy coby go przy życiu utrzymał.

Zualazł się on choć nierychło.

Długą walką z rozpaczą i odrętwieniem przyszło okupić młodość zuarnowaną, a chwile ostatnie dogorywającego wieku namiętności, ciężkie były do przebycia. Pan Adam wil się jak gadzina w płomieniach, wyrывał, rżnął, myślał już o samobójstwie na które siły brakło: gdy Bóg niespodziewanie zesłał mu ratunek w najnie spodziewanym trafunkowym spotkaniu.

Jednego poranka, kiedy znudzony wychodził w ganek, sam dobrze nie wiedząc po co i dokąd idzie, spotkał go w progu dziwacznie odziany i na żebraka wy-

glądający człowieczyna.

Byłto staruszek w siwej kapocie, krojem prawie zakonnym zrobionej, z różańcem u pasa, kijem w rękę, z siwą postrzyżoną brodą, łysy i blady trupią białością choroby i wycieńczenia. Stał on wsparty na swoim kosturze u wschodków, złożywszy na nim ręce, w postawie pokornej i spokojnej.

Pan Adam, który unikał widoku nędzy ludzkiej, cofnął się zrazu do pokoju, ale gdy nie usłyszał ani słowa prośby, ani szmeru wyrazu z ust starca, gdy ten ani postawy, ani oblicza nie zmienił, zdziwiła go obojętność przybysza i zbliżył się ku niemu.

— A czego to chcesz? — zapytał.

— Suknia, wiek i twarz moja, powinna ci powiedzieć zego żądam...

Gospodarz rzucił z niechęcią zaczerpniętą w kieszeni złotówkę, dodając prawie wzgardliwie:—Idź z Bogiem.

Staruszek przyjął datek z pokorą i pozostał jak był w ganku, sparty na kiju.

— Czegoż jeszcze czekasz? — powtórzył znieczcierpliwiony pan Adam.

— Nie czekam; chcę ci się przypatrzeć.

— Mnie?

— Tak jest... Tyś mnie nie poznał, a ja i twoich rodziców i ciebie panie Adamie dobrze znałem za młodo... Mój Boże! na jaką ci to nędzę zejść przyszło!

— Mnie na nędzę! Coś ty za jeden? co to ma znaczyć? — za wołał obruszony gospodarz, z podbudzoną ciekawością zwracając się do żebraka.

— Ja jestem Józef Mniszewski... Ha! przypominasz mnie sobie przecie? Sasiadowałem z rodzicami wasciny!

— Jakto? ty! ty mógłbyś być Mniszewskim?—I począł wpatrywać się w niego z podziwieniem wzrastającym co chwila, a powoli z rysów zmienionych, pamięć stworzyła obraz już starty, i pan Adam załamał ręce.

— Mniszewski! ty! w tym stanie!

— Jak widzisz! Miałem dwie wioski, byłem majętny, hulałem, świeciłem, żyłem... i chodzę z kijem po żebraniu... A wiesz Adamie, żem dziś może szczęśliwszy niż byłem, a ty przy dostatku twoim, pono biedniejszy odemnie.

Pan Adam, który dobrze teraz przypomniał sobie i świetny swojego czasu dom Mniszewskich i zniknięcie potem zrujnowanego tej rodziny potomka, ujął za rękę staruszka, i rad, że się rozbawi, wzruszony nieco wprowadził go do domu.

Tu stary odpowiedział mu historję swojego życia, znane dzieje marnotrawstwa, które szczęściem nie do zguby, ale do upamiętania go przywiodło. Niepojętemiż drogami Bóg nas wiezie ku sobie: jednych gościńcem cnotliwego żywota, drugich ścieżkami próby i występku, po których wielka, jak było przestępstwo, następuje pokuta. Tą drogą przyszedł Mniszewski do poznania, co świat wart i jego szczęście, a co jest spokój boży, którego on dać nie może.

Zrujnowany, zniszczony na ciele i na duszy, leżał w szpitalu, gdy pierwsze ziarno poprawy spadło nań z ust Siostry Miłosierdzia, która go doglądała. Ten anioł szeptał nad nim pacierz, pojąc go lekarstwem, co mu dać miało życie do pokuty; zachęcał do modlitwy, i bezbożnika uczynił pokutującym i pełnym skruchy — sługą bożym.

Mniszewski wyszedł ze szpitala o żebraniu, udając

się do miejsc świętych.

— Myślicie — rzekł do pana Adama — żem kiedy był szczęśliwszym, jak gdym wydziedziczony od świata, znalazł się z niepojętym duszy pokojem na drodze pielgrzymiej o kiju, z torbą na plecach? Nie! nigdy nawet tego spokoju, tej sercowej ciszy, tej pogody sumienia nie zaznał, jakich używać począłem, zrzekłszy się wszelkich ziemskich nadziei. Myślisz, że zazdroszczę tobie lub komu z was tego bytu, który nie ma celu i wiedzie jak błędny manowiec do przepaści? Nie, nie! Zawędrowałem w te strony, aby jeszcze groby ojców odwiedzić, aby na nich rzucić ostatnią myśl i żał grzeszny za przeszłość... Idę znów w świat z modlitwą, z uśmiechem, spokojem...

Tak mówił Muiszewski, a mowa jego dziwne i głębokie zrobiła wrażenie na panu Adamie. Wybiła dlań godzina zmiany, a ręka żebraka przyspieszyła jej przyjęcie i wykreśliła kierunek.

Zadumał się wynędzniony zużyciem rozpustuik i próżniak; a że był przywykł do gwałtownych uczuć i wybuchów, gwałtownie też i namiętnie zwrócił się ku zapomnianemu Bogu.

W rok potem poznać nie było można pana Adama, na którego jak na cudowisko spoglądali ludzie. Nie-
szczęściem, poprawa jego nie była ani zupełną, ani czystą; była to tylko zmiana drogi i nadzieja, że po tej którą szedł, do prawdziwej trafić może. Pan Adam stał się ascotą, pobożnym, ale fanatykiem.

Życie czynne odrzucił zupełnie od siebie, i uznał się do niege nie obowiązany; całe dni mówił tylko pacierze, całe tygodnie pościł, krzyżem leżał w kościele, dyscyplinował się niemilosierdzie, kładł włosienicę, odział

w pasek kolący, i na tychto praktykach, dobrych tylko, gdy niemi duch czysty kieruje, zasadzał życia reformę.

A kładnąc włosiennicę, nie rzucił pychy i egoizmu...

W sercu jego nie zrodziło się ani miłosierdzie, ani pokora chrześcijańska; nieprzystępny dla ludzi, srogi dla drugich jak dla siebie, nielitościwy w karceniu cudzych błędów, zdawał się tylko szukać chluby z fanatyzmu swego, jak dawniej się unosił rozpustą i niewiarą.

Gorszył skromnych swoją pobożnością teatralną, przesadzoną, dziwaczną, nieustannie popisującą się i wydymającą w oczach ludzkich; gorszył ich bardziej jeszcze, że wyznając naukę Chrystusową, nie potrafił z żywego jej źródła zaczerpnąć ducha miłości i pokory, ani jej zastosować do życia.

W osobliwszy sposób skąpstwo jakieś przyplątało się razem do niego i zaczęło mu serce wyżerać. Stał się nieublaganym dla ludzi, panem srogim, i nie wiedząc, jak godząc w duszy pobożność z chciwością, w obojgu założył razem cel wyczerpanego życia. Dwór w Stawiskn, świadek scen szalonych, zmienił się w klasztor smutny, w więzienie nieznośne. Opuścił pan Adam mieszkalne pokoje, jedną sobie celę z ołtarzykiem ustroiwszy w obrazy, na ziemi w niej spiąc, czuwając zarazem u krzyża i kuferka! Na wytłumaczenie pozorne swojego postępowania znalazł w głowie najdziksze sofizmata, któremi przed sumieniem swoim i spowiednikami się wykręcał.

Co roku stawiał nowe krzyże, chodził pieszo do miejsc świętych, pościł nowenny o chlebie i wodzie do młodości prawie, advent i post czterdziestodniowy suszył cały; ale ubogiego zbywał miłosierdziem boskiem, a wieśniaków katował bez litości.

W takim więc dworze, dziś jak pan sam nie pojmującym miłosierdzia, i w chłodnem zasklepionym spełnianiu praktyk powierzchownych, Marysia opiekunów znaleźć nie mogła, a panu o niej nikt się i powiedzieć nie ośmielił. Ekonom pokiwał głową, poszedł zobaczyć co się tam dzieje, i zostawił sierotę na ojcowiznie, co już wielką było łaską.

Jednej niedzieli, rano zbudziwszy się, gdy wyszła Marysia na grób matki popatrzeć, usłyszała dzwony cerkiewne donośnym głosem lud wzywające na nabożeństwo; i tknęło ją pójść z innymi się pomodlić.

— Ot! odzieję się i pójde — rzekła do siebie — dobrze się z Bogiem zobaczyć! jednak dziś i tak robić nie będę!

Jak pomyślała tak i zrobiła; umyła się, zaczesła, dobytej białej koszuli i fartuszką odświętnego, wzięła białą sukmankę i buciki dawno nietykane, które jej matka za ostatni grosz sprawiła, i tak przystrojona ubogo, ale chędogo, zaparłszy chatkę, spuściła się parowem ku wiosce.

Ślicznież jej było w tem świątecznem ubraniu z jej twarzyczką pełną życia, ognia i pojętności! Jakiś wdziek nieuczony towarzyszył każdemu jej ruchowi; prosta sukmana zręcznie na niej leżała, chustynka twarz osłaniała zawieszona kształtnie, tak, że nie na sierotę cygankę, ale na dziecię zamożnego gospodarza wyglądała Marysia.

Gdy weszła w ulicę, a ludzie ją zobaczyli, wszystkich się oczy zwróciły na nią: poczęto ją sobie pokazywać

palcami. Marysia zarumieniła się, przyspieszyła krok; myślała, że niecze, ale z daleka ścigano ją oczami i oznakami podziwienia, a dziewczęta i chłopaki jej lat, aż pobiegli za nią.

Marysia choć żyła samotnie, dziką nie była wcale; owszem śmiałości jej nie brakło, i po pierwszym zakłopotaniu, przysła zaraz do siebie, opamiętała się, zwolniła kroku. Aż na cmentarz szli za nią ciekawi. Tu czekając na nabożeństwo, jak to pospolicie bywa, całuteńka stała i siedziała gromada w odświeżonych strojach, gwarząc, śmiejąc się, kupiąc w gronka dla rozmowy. Była tu i Sołoducha, i stary Kataj śpiewający wielkim głosem pieśń o poczajowskim obrazie; i Maksymicha, i Filipicha, i dwaj bracia Motruny i stara poważna Semenycha Bilykowa.

Zaledwie się dziewczętko pokazało we wrotach, wszyscy znajomi do niej przybiegli z pobudzoną ciekawością; a widząc twarzyczkę rumianą, odzież porządną i dzieci jaśniejące wdziękiem, jeszcze się więcej zdziwili. Ten i ów badać ją począł, dzieci do zabawy wyzywały, dziewczęta poprawiały na niej pasek kraśny, świtkę i chustynkę, dziwiąc się, jak tak do twarzy sama ubrać się potrafiła. Co tam było szeptów, co gwaru, co spojrzeń i pytań! Stare baby zdala ją wzrokiem mierzyły, a jedna z nich odwoławszy Sołoduchę na stronę, bardzo cicho. odezwała się do niej:

- Czy widzicie?
- A co matuniu?
- A Maryś cyganke?
- Widzę, widzę! A cóż, dziewczyna przystojna, niczego!
- I jak! i jak! — poczęła baba kręcąc głową — to

coś w tem jest!

— A cóż ma być? — spytała Sołodncha.

— Ot ja wam powiem co myślę: żyłam na świecie nie od dziś, widziałam wiele: czarowniki cygany, oj! czarowniki! Niechby tak które z dzieci naszych zostało same; do trzech dni przepadło... To djabelska w tem sprawa.

— A! porzuciłabyś kumo! *Hle Rim! hle Krim! hde Babińska korczma!*

— Czekajno! czekaj! nie raz ja o podobnych rzeczach słyszałam! Motruna była charakternica: zawsze miała słysze mleko, choć krowy nie było; wetknęła kołek w ścianę, poszeptala i doila jak krowę... mąż jej był charakternik, to wszyscy wiedzą, że *zły* mu pomagał nocami do budowania chaty... Oni pewnie upiorami być muszą i do swojej Doni wracają, żeby na nią naglądać, odziewać ją i karmić. Już mi wiercie, to nie może być inaczej.

Słowa te wymówione z powagą, przekonaniem, z uroczystością tajemniczą, głębokie na Sołodusze nawet uczyły wrażenie: obejrzała się na Marysię, ruszyła tylko ramiouami i zamilkła.

— No, no! patrzajcie tyko — dodała baba — taż to włoski jak wylizane, bielizna jakby marcowym śniegiem bielona, i bucik, i pasik, i guzik u koszuli harny, jakby nie przyminierzając u gospodarskiego dziecka. Zkądże się jej to bierze? z nieba spadło? Albo to czy głód, czy biedę znać na jej twarzyczce?... Ja moją mlekiem poję, a tak mi nie wygląda. To nieczysta sprawa!!

Zgromadziło się było i więcej kobiet dokoła Sołoduchy i domyślnej owej staruszki, podsłuchując ich rozmowy: a że nie się prędzej ludzi nie czepia jak myśl

najdziksza śmiało im rzucona w oczy, tak zaraz uwie-
rzyli w upiórów, że w drugim końcu cmentarza rozpo-
wierać już zaczęto, jakoby Sołoducha z Martynichą wi-
działa oczyma własnymi Motrunę występującą z mogiły,
przekradającą się do chaty córki, muskającą jej włosy
i razem z nią przedzającą w nocy na motki najemne.

Do tych dziwów każdy coś swojego dorzucił, i te-
jeden niedzieli ułożyli sobie bajkę, którą wieczorem rozpo-
wiadano po całej wsi za najprawdziwszą prawdę.

Nie wiedziała Marysia, dlaczego gdy wychodziła
z cerkwi, już nikt się tak do niej nie garnał, nikt za
nią nie spieszył: dzieci pozostały, tchórzliwie z ukosa
spoglądając za odchodzącą, kobiety się poodwracały i sama
wyszła ze cmentarza powoli, smutno wracając do domu.

A że nie było co robić dnia tego, i roboty już szu-
kać musiała, po drodze przyszło jej na myśl wstąpić
do Semenychy, która ją z cerkwi wyprowadziła.

Semenychę zastała już zdejmującą z głowy namitkę
i odpoczywającą na ławie, czegoś markotną i zamyśloną.

Była to żona najbogatszego we wsi gospodarza, ma-
trona poważna, władająca całą chatą, mężem i licznem
rodzeństwem, słuchającym ją z uszanowaniem, okryta
już siwizną i zmarszczkami; kobieta dobra, pracowita,
ale jak drugie, przesądna. Plotka rozsiana na cmentarzu
o upiorach nieprzyjemne na niej i głębokie uczyniła
wrażenie; nie miło jej było pomyśleć, że motki jej jakaś
nieczysta siła praść pomagała, motki przeznaczone na
płótno na ręczniki może weselne dla ukochanych córek.

Z wejrzenia na nią poznała Marysia, że ją coś nie
tak dobrem jak zwykle sercem przyjmuje; stała się więc
pokorniejszą jeszcze. Pocałowała w rękę staruszkę, i
stała u progu milcząca, Boga prosząc, żeby jej Se-

menycha nie odmówiła roboty.

Stara wciąż jeszcze rozwiązywała sztucznie na głowie zaplątaną, wedle tradycyjnej formy, namitkę, spoglądając z pod brwi siwych na dziewczynę w pokorze i milczeniu stojącą sobie zdaleka.

— A co tam chcecie Maryś? — odezwała się narreszcie.

— A cóż, matunin... roboty! jak zawsze, dla miłości Bożej jak jalmnżny... Gdybyście wy nie litowali się nad sierotą, mogłoby jej chleba zabraknąć.

— Roboty! — powtórzyła Semenycha wciąż zakłopotana i pochmurna — dobrze ci mówić, a tu może i przedziwa w chacie nie ma.

— A! krzyż Pański! U was matuniu — poczęło dziewczę — u takiej gospodyni jak wy, też to pełne bodnie lnu białego jak śnieg!

Semenycha polechtana uśmiechnęła się nieznacznie.

— Choćby i był, choćby i był! — rzekła — niechaj swoje przedą; czego mają siedzieć z założonemi rękoma i Kasia i Paraska i dziewczyna najmitka!

— A mnieżto nie się już, ani ździebelka nie dostanie? — spytała sierotka po cichu, głosem tak użalenia i głębokiej boleści pełnym, że Semenycha uczuła się wzruszoną.

— Dawniej byliście na nas litościwsi — dodała dziewczynka — a terazbyście mieli opuścić mnie, gdy i matki niestało? E! to nie może być! Serce wasze matuniu nie pozwoli na to; a cóżem ja winna, żem nieszczęśliwa?...

Semenycha wstała z ławy, coś poprawiła u ognia, poczęła się przechadzać i namyslać.

— Kiedyżboto — odrzekła po chwili — ludzie na ciebie nie wiedzieć co wymyślają: mówią, żeście rodem

czarownicy... charakternice... lichy wie co; że nieczysta siła wam przedzie...

Marysia przeżegnała się na wzmiankę o sile nieczystej i z przestrachem nderzyła w rączki.

— A mój Boże! — zawołała — ktoś mógł, kto śmiał taką krzywdę wyrządzić sierocie? Wszak widzieli mnie w cerkwi, wszak się żegnam i modłę jak drudzy, a cóżem ja komu zrobiła złego?

I rozplakała się nieboga.

Semenycha dobra i litościwa była w gruncie serca: żal się jej zrobiło dziewczęcia, lzy ją te poruszyły, odwróciła się do niej machając ręką.

— Cyt! cyt! — rzekła — ot! widzicie co to ludzie plotą. At! im byle gadać tylko: ja temu nie wierzę, nie wierzę! Nie lubili ojca, nie lubili matki, i tobieby szkodzić radzi... Ja ci to tylko powiadam, żebyś wiedziała, co robić dalej... Póki tak siedzieć będziesz sama jedna za oczyma, pleść i wypłatać nie przestaną; im to dziw, że sobie rady dajesz, a drugiemu i zazdrość, żeś do ludzi podobna, że koło ciebie porządnie...

Marysia wciąż plakała, a Semenycha tuliła ją jak mogła; nareszcie sama odstawiła garnek od ognia, dostała miski i łyżki, i nabrawszy strawy posadziła sierotkę za stół do jedzenia, gładząc ją po głowie.

Ta dobroć staruchy ulagodziła cierpienie Marysi, a wnet i rozpytywać poczęła Semenycha o drobne szczegóły jej życia, o chatę, o gospodarstwo, i dziewczę rozgadało się powoli, ocierając lzy ciekące jeszcze po twarzy.

Poczęli się schodzić i inni z nabożeństwa: Kasia, Paraska, parobcy, mąż Semenychy, zięciowie i wszyscy kołem ciekawem otoczyli cyganke, która im życie swoje,

pracę i utrapienia opowiadać zaczęła.

Po godzinie rozmowy tak ich ujęło dziewczę pełnem prostoty i szczerości opowiadaniem swoim, że czem kto mógł i miał, starał się odchodzącej dopomódz. Dano jej chleba, kaszy, sera, okrasy, po troszę się na nią składając, jak na macoszynę dziecko; a Semenycha płacąc za lzy, których nieuważne jej słowo było przyczyną, nie tylko dała robotę, ale darowała jeszcze kurkę, która się niosła, obszernie wynuczywszy Marysię, jak ma sobie z nią i spodziewanem potomstwem postąpić.

Ucałowawszy ręce staruchy, uszczęśliwiona sierota, pełna najświetniejszych nadziei, pospieszyła do pustego swego kątku, niosąc na rękach malczukie, ale drogie dla siebie dary.

Tak rozpoczynało się to dziwne życie sieroty, która na bożym świecie prócz słabych rąk dwojga i odwagi wielkiej, a raczej nieświadomości świata, nic więcej nie miała. Ludzie spoglądali na nią jak na cudowisko jakieś, jak na coś niebywalego, jakby patrzyli na wcieloną bajkę o złotej jabłoni, lub źródle grającem: jedni z podnieconą ciekawością, drudzy szukając tłumaczenia tajemnicy w czarach i upiorach. Plotka wszakże utworzona na cmentarzu, krążyła jakiś czas tylko po wiosce, i choć całkiem nigdy się zbić nie dała, ale rozsądniejsi ludzie bliżej się przypatrując Marysi, śmiać się z niej wkrótce poczęli. Zresztą stara Semenycha przyjazna dla pracowitego dziecka, gotowego zawsze na jej posługi; Sołducha czująca się do obowiązku opieki nad nią; Rataj, który się do niej co chwila więcej przywiązywał,

w ostatku nawet chata braci Motruny : z daleka czu-
wali po troszę nad Marysią.

Zmuszona przemyślać nad tem, jakby sobie sama
rady dać potrafiła, sierota dokazywała cudów, i istotnie
duch jakiś dobry zdawał się jej szeptać co czynić miała.

Całem jej utrzymaniem były motki, które i dla Se-
menychy i dla drugich przędła, co dzień więcej nabie-
rając w to wprawy ; znalazła przytem czas na wszystko.
Rankami i wieczorami nigdy nie zapominała uprzątnąć
około chatki, wewnątrz uporządkować, przynieść sobie
świeżej wody, dla kurki coś posypać, żeby się miała
czem bawić i powitać swoich starych dobrych znajo-
mych : wróble z pod strzechy, jaskółki które z wiosną
powróciły, fertyczne sroczki krzyczące na drodze i cały
ten zwierzęcy światek, który jej pustkę ożywiał.

Z wiosną nawet, gdy się ziemia ogrzała i oschła
domyśliła się, że za lepianką na wąskim pasku ziemi,
okopanym granicą jej posiadłości, a dawniej chwastami
zarosłym, mogło się kilka grządek pomieścić. Jednej
niedzieli poszła po radę do Soloduchy, coby to tam
posiać można. Baba ruszyła ramionami i pokręciła
głową na tę dziewczęcą ochotę do pracy, ale wynalazła
jej stary jakiś rydelek za piecem, i opatrzyła w wysadki
ze swego rozsadnika i trochę kartofli.

Jak zmierzch więc, a prząść w chacie nie było
można, Marysia wybiegała na ogródek, składający się
z maluczkiego gliniastej ziemi okrawka, i kopała prze-
kopywała, sadziła, podlewała, ciesząc się, gdy Pan Bóg
pracy widocznie błogosławić począł, a zielone listki
ciekawemi główkami wyskoczyły po nad czarną grzędą.

Kurka się jej także nieźle powiodła ; bo sama, nie
proszona prawie wysławszy sobie guiazdko, wysiedziała

dziesiątek pociesznych żółtych kurczątek. Z powodu tego niespodziewanego przybytku, Marysia cały dzień straciła, bo jak tylko wyszły na świat pisklęta, pobiegła przestraszona do Semenychy uczyć się na nowo co robić z niemi, i jak tu je hodować. Aleć to nie wielkiej potrzeba było mądrości, i troskliwie pielęgnowane kurczęta, szczęśliwie się jej powiodły; jedno tylko sroka jakaś niepocziwa schwyciła w oczach pani, za co Marysia poprzysięgła wiekuistą krzykliwemu jej rodowi nienawiść.

Z wiosną, z zieleuią i ciepłem, lżejsze i weselsze coraz stawało się życie; Marysia mogła usiąść przed chatą u starym kłocu obrąbanym i prząść do zmroku na podwórzu, przypatrując się ptaszętom, lub smętnie spoglądając na zielone grobowiska cmentarza. Nieraz nawet z kądziolką w ręku przechodziła przez drogę na mogilnik, siadała u matczynego grobu, i tam pod okiem macierzy, spędzała długie godziny, zadumana nad jednostajną pracą swoją.

Dzień po dniu schodziły jej szybko, jednakie, zajęte i do siebie jak siostry podobne. Potrzeby urządziły je w sposób jednostajny i niezmienny, przypadek tylko cokolwiek porządek ich męszał.

Jak świt, na brzask zrywała się Marysia z pościółki i roznieciwszy trochę ognia, biegła do krynicy po swoje wody wiaderko; potem potrzeba było nim się rozwidniło lepiej umieścić chatę, sień, a poprzątnąć nawet przed progiem: tu podeprzeć, tam zalepić, ówdzie przytknąć dziurę, bo dziewczę troskało się bardzo o ład i porządek w swojej chatynce. Ledwie co zjadłszy, siadała z kądzielą albo przed swoją lepianką, albo u mogiły pod starą wierzbą, na której pełno wróbli i różnego dro-

bnego ptastwa, które się jej wcale nie obawiając szczeniotały nad głową sieroty. W słotę tylko, wicher i burzę, zamykać się musiała w chacie, spoglądając przez okienko co się działo na dworze i czekając roz pogodzenia. Drugi raz we dnie rannem jadłem odegrzanem posiliwszy się, spoczawszy trochę i pobawiwszy się ze swoją kur gromadką, znów wracała do prąśnicy i pracowała do mroku.. Szła potem na ogródek, zwiłala się w izbie, i tak krzątając się do nocy, zasypiała snem głębokim pracowitych, który zawsze w porę przychodził na jej powieki.

Ktokolwiek mijał cmentarz i lepiankę cygana, nie mógł przejść tedy, żeby nie stanął i nie popatrzał, a nie podziwił się dziewczeczce, która każdego witała wesołym uśmiechem i dobrem słowem.

Co dni kilka Sołoducha lub Rataj sami odwiedzali Marysię, już nawet przestawszy ją namawiać, aby do nich przeszła, bo się przekonali, że bez nich obejść się potrafi. Nie pomagali też jej wiele, a kawalek chleba lub trochę strawy, dar dla niej znaczny, im wcale nie ciążył.

Co w początku zdawało się niepodobieństwem, cudem i dziwnem dla wioski, to wkrótce, gdy się z tem oswojono, pospolitą stało się gadką, a radzi nie radzi wszyscy uznać musieli, że takiego dziecka jak Marysia nie było drugiego na okolicę. Jej kądziel, ogródek, kury, przechadzki na mogilnik, na którym najczęściej ją w dnie pogodne widywano, stały się ulubionym przedmiotem rozmów na wieczornicach i doświtkach: a nie jeden dzieciom ją swoim dawał za przykład do naśladowania.

Tak przeszła wiosna, tak lato i jesień, i zbliżyła się

zima, straszna zima; ale Marysię znalazła wcześniej już przygotowaną, bo sionki miała drewek pełne, piec wylepiony na nowo, chatkę okrytą i otuloną dokoła, a w bodniach choć niewielkie na złą godzinę zapasy. Rataj sprawił jej nowe buciki, których już potrzebowała i do wyjścia i do prania na wodę; Soloducha darowała kożuszyne, a gdy śnieg, pierwszy zwiastun śmierci chwilowej ziemi, upadł na skostniałe pola, Marysia powitała go z dziecięcym uśmiechem, nie obawiając się klęsk, które mógł prowadzić za sobą, stękając tylko, że dni coraz robiły się krótsze.

O! lecą lata, lecą! Czy popatrzysz na człowieka, czy na ludzkość, czy na dzieła rąk naszych, jak igła zegarowa wszystko wskazuje znikomość i przelotność pokoleń; kamień tylko posiwiały w sto lat ledwie mchem porasta, ale i on w proch się sypie od spodu i na nim mchy kopią niedojrzałe dolki starości.

Dziewczę utworzywszy sobie życie, które było zdumieniem otaczających ją ludzi, rosło niepostrzeżenie pod ubogą strzechą, i wyrastało z każdym dniem na śliczną istotę, jakby cudem zrodzoną i dojrzłą w pośród grobów na pustkowiu i odludziu. Krew cygańska nie odbiła się rysy plemiennymi w jej rysach wdzięcznych i pełnych życia, ale im nadała tylko ogień niewidziany w pośród pospolitego zamęченного pracą ludu naszego. Rodzaj ten życia choć zajętego ale odosobnionego, samotnego i zasiedzianego, wpłynął może nie tylko na rozwinięcie jej piękności, ale i na ukształtowanie się umysłu, wybujałego wyobraźnią i rozrosłego marzeniem, zmuszona karcić się tem tylko, co jej oczy do duszy ze świata milczącego przyniosły, utworami własnej głowy, ciąglem odgadywaniem wszystkich świata tajemnic,

rzadko stykając się z ludźmi utworzyła w sobie i wykołysała świat jakiś odrębny, do zwyczajnego niepodobny, wytłumaczony z niewidzialnej dla innych strony, piękny, smętny, zaczarowany, pełen zjawisk, duchów i cudów.

To pojęcie tego, co tylko z widzenia i dumań znała, malowało się w pięknych jej rysach, ożywionych duszą ognistą, omglonych zarazem smutkiem sieroctwa i uśmiechniętych weselem bezbronnej nieświadomości.

Przestano dziwić się sposobowi jej życia, które zdało się zrazu niepodobieństwem, a okazało, że silna wola z pomocą Bożą podola i najzawikłańszym trudnościom; i dziwiono się tylko wdziękowi, w którym codzienność rośla bujniej, rozkwitając na czarownicą dziewczkę, o jakiej wieśniak z pieśni chyba lub podania, z najrzanej gdzieś z daleka postaci mógł roić. Było w niej coś tak szlachetnego, pańskiego, wielkiego, że mimo ubóstwa swego, wzbudzała we wszystkich uczucie uszanowania, prawie bojaźni. Starzy wskazywali ją za wzór młodym, młodzi przypatrywali się jej jak wyjątkowemu zjawisku, a chłopcy wiejscy wcześniej poczęli szaleć za piękną Marysią.

Kiedy teraz szła do cerkwi w niedzielę, albo na tłokę do żniwa, bo ją zaprzężono do jakichś dni odrobku za chatę i ogródek przez nią zajmowany, hurmem za nią ciągnęła młodzież, zaczepiając słowami, uśmiechem, ukłonami, choć bojaźliwie i zdaleka. Marysia dla wszystkich była grzeczna, ale nie poufaliła się łatwo prócz ze starymi. Jakiś instynkt zachowawczy czynił ją nieśmiałą, tchórzliwą, nie swoją w pośród mężczyzn i młodzieży.

Nie uczęszczała wcale na zabawy, do karczmy nigdy

na tańce, ani do dworu na wiejskie przyjęcia; najczęściej kręciła się kolo swojej chaty.

A choć w tak ciężkiem położeniu, choć tak bardzo sama, w ciągu lat kilkun nie doświadczyła ani jednej przeciwności, ani najmniejszej klęski, a wiodło jej się w najosobliwszy sposób. Czego dotknęła się, rosło, udawało się, mnożyło, ożywiało, szło, jakto powiadają, ręką. Lud, który może nie bez pewnej słuszności w pomyślnościach ziemskich widzi zawsze skutek nieczystej siły, przypisującej powodzenie to skradzionemu groszowi, to innym tego rodzaju talizmanom, i w tem szczęściu sieroty domyślał się zawsze potrosze pomocy upiórów, posilku duchów czarownych, i nierychło dopiero, gdy nie nie potwierdziło domysłu, wpadać począł na tajemnicę pracy i błogosławieństwa bożego.

Wzrósł ztąd szacunek dla Marysi, którą niewidzialna jakaś opieka zdawała się swyni płaszczem okrywać. Nigdy w jej chatce niezamkniętej, stojącej wiecznie otworem, nigdy w ogródku nieogrodzonym, nie było najmniejszej szkody: grób matki, cmentarzysko strzegło lepianki ubogiej.

W skwarne dni lata, dziewczę jak mogło, z obowiązków gościnności wywiązywało się przechodzącym i przejeżdżającym mimo cmentarza; stało zawsze w sieni wiadro ze świeżą wodą i czysty czerpaczek, a wieśniacy wiedzieli o Marysinej wodzie, i rzadko kto jadąc z miasta minął chatę, żeby się jej nie napił, zostawując podziękę: Bóg zapłać jakie, lub drobnym podarek.

Z latami upływającymi nie się tu prawie nie odmieniło: tryb życia mocniej się jeszcze, stalej, niezmienniej urządził, praca szła codzień łatwiej; a sierota powoli oddychać zaczęła, na złe dni, na czarną godzinę uciu-

ławszy już nawet trochę grosza, trochę chleba i chust trochę.

Zawsze w pogodę wychodziła na cmentarz pod wierzbę na mogilę, i siadała tam naglądając na chatkę, a niekiedy słabym głosem nucąc jakąś piosenkę przybliżaną ze wspomnieniami matki.

Owa chatka, której budowę widzieliśmy w początkach naszej powieści, bardzo się już pochyliła ku ziemi i zmieniała z lat upływem.

Inaczej być nie mogło.

Sklecona na prędcie z surowego i lichego materiału, nieumiejętnie, trzymała się łaską bożą, cudem, a może mchami i grzybami, które pogniłe jej części kleiły. Ściany pomimo obmazywania gliną dziur miały nieuleczone mnóstwo; prócz tego tak się były zasunęły w ziemię, że okienko już niemal na równi było z poziomem, a do drzwi odkopywać musiano wnijsie i dobrze się w nich nachylać.

Dach murawą ponaprawiany, zgnieciony jej ciężarem, cały w garbach, zazieleniały od mchu i trawy, wydawał się jak pagórek, i gdyby nie osmołony komin, co wśród niego sterczał, trudnoby było poznać że ludzkie mieszkanie pokrywał. Pomimo to, zewnątrz i wewnątrz czyściuchno było, schludno i miło, bo wszędzie widać rękę staranną. Marysię otaczało już teraz wielkie i bogate gospodarstwo: kilkanaście gołębi, całe knr rozrodzonych stado, kilka gęsi balamutek, po które codzień na staw chodzić potrzeba było, gdy się zadurzyły z sąsiadkami wiejskimi; a w dodatku byli i przyjaciele domowi: kot szary i psiak bury.

Historja tych dwóch stworzeń była dość ciekawą: pierwszego z nich utopionego już, Marysia wyratowała

ze stawu, odchuchała i wyhodowała; a drugi przybłąkał się jej nie wiedzieć z kąd i jak. Znalazła go jednego wieczora siedzącego pod progiem z miną bardzo spokojną, jakby się tam urodził; gdy podeszła ku niemu, odrazu ją jak panią powitał, polizał po rękę i wszedł za nią do chaty, niezbyt nawet ciekawie wachając po kątach, jak stary znajomy.

Wprawdzie zjadłszy kawał suchara, napiwszy się wody, zwinąwszy się w kłębek i zasnąwszy twardo, gdy się ów przybłąka nazajutrz rano przebudził, zdawał się być chwilę niespokojny; ale trzeciego dnia ani znaku już nie było tęsknicy po dawnym panu.

Marysia rada była gościowi, który wkrótce wziął się gorliwie do naszczekiwania po nocach około chaty: był bowiem z tego stworzenia stróżliwego, co to zasypia we dnie, a jak mrok wstaje, poczuwając się do obowiązku wartowania, niespokojnie ujada na najmniejszy nawet szelest wiatru przelatującego powietrza. Marysia obawiała się w początku, żeby z drugim jej wychowalcem Burkiem odratowanym z topieli, a potrzebnym przeciwno myszom sprzymierzeńcem, nie było wojny zaciętej i nienstannych zatargów.

Pies, którego zaraz nazwała Sierotką, najrzawszy kotka na piecu się wygrzewającego, doznał wprawdzie w początku niemilego wzruszenia: spał się ku niemu na łapy, począł wachać i zaburczał nienkontentowany; Burek podniósł łapy, pokazał paznury i parę razy plunął mu w oczy zdaleka jakby mówił: — odczep się ode mnie; ale gdy Marysia głaszczać psa, ofuknęła się na niego i odpędziła go od kota, zagroziwszy mu słowami, których się słuchać zdawał i usiłował zrozumieć, pokój stanął pomiędzy domownikami. Sierotka już więcej nie

zaczepiał Burka, owszem udawał przez politykę, że go nie widzi, zamykał oczy na nadużycia jego względem garnków, następował mu z drogi niby niechcący, i okazywał się pełnym usposobień najbardziej pokojem technicznych. Burek ze swej strony, pomimo dosyć opryskliwego charakteru, umiał się poznać na tem i unikał powodów do zwady. Trzymał się bowiem zawsze wyższych sfer chaty, ław, stołów, pieca, przypiecka, jak najrzadziej i bez ważnych powodów nie schodząc na podłogę, którą zostawił Sierotce. Po niejakiem czasie nawet, pies i kot obywwszy się z sobą, kilka razy przechodząc się powąchalili, spotkali bez oznak gniewu, co niezmiernie ucieszyło Marysię; a kot, który o wiele był śmielszy i bardziej przedsiębiorczy, wkrótce odważył się przechadzać pod samym nosem Sierotki; nareszcie, gdy ten raz spał pod piecem, położył mu się na grzbiecie.

Pies zdawał się nieznierunie jakoś zdziwiony; głowę podniósł, popatrzał, zdawał się mówić: — większa ponudłość niż znajomość; ale widząc, że kot ani się rusza, położył się spokojnie i odtąd żyli z sobą w najściślejszych stosunkach. Kot tylko jako słabszy, jako złośliwszy co za tem idzie, korzystał z tej wygranej i wcale już nie oszczędzał towarzysza, rachując na wypróbowaną łagodność jego charakteru. Odjadał go, wylegał mu się na grzbiecie, a czasem bił go po pyskach, obmyśliwszy tylko do rejterady miejsce na wypadek wybuchu ze strony Sierotki; ale Sierotka w najgorszym razie pokazywał mu tylko dwa ślicznych białych zębów rzędy, i burknawszy a odpędziwszy natręta, z głębokiem westchnieniem ucisku kładł się spać na swoim miejscu.

Gdy Marysia wychodziła z chaty, pies towarzyszył jej wszędzie i zawsze; nawet na wieś, kędy go napadały

psy, ze wszystkich podwórzy, wśród których z podkulonym ogonem, z najeżoną na grzbiecie sierścią, defilować musiał coraz to im zębą pokazując. Kot zaś do progu tylko dochodził, powracał nazad i chaty z garnkami pilnował.

Sierotka nie odstępując swojej pani, leżał u nóg jej na mogile gdy przedła, szedł za nią na wieś, choć go to wiele kosztowało, a w nocy, choćby mróz był największy, nie folgując sobie, wywdzięczał się szczekaniem za strawę. A tak sobie zawsze umiał dawać radę, że gdy go podchodzące wilki ścigały, wlaził na dach, i ztamtąd bezpieczny przyparłszy się do komina, ogromną wrzawą ich odpędzał.

Taki był skład dworu Marysi, która towarzyszków swej doli i karmiła i pilnowała, i niemał jak ludzi tuliła pod swoją opiekę; począwszy bowiem od gołębi do głupich gęsi i rozumnego Sierotki, do wszystkich stworzeń tych mówiła słowy, których do ludzi użyć nie mogła: rozmawiała z niemi, kłóciła się, radziła, gniewała, chwaliła, zachęcała... Jeden pies tylko zdawał się to rozumieć, kot bowiem choć dość zły i opryskliwy, obojętny był, ospały i gadać do niego, było to groch rzucać na ścianę; ptastwo zaś, głos jeden, jedno wołanie, na które przywykło się zlatywać, pojmowało.

Sierotka był niepospolicie rozumny, grzeczny i domyślny piesek. Uważała Marysia nieraz, że w przyjęciu przychodzących ludzi robił wyraźny, rozmyślny wybór form grzeczności: jednych witał milczkiem nie wstając ze swego miejsca, innych machając ogonem, łaszcząc się i przysiadając, innych wachając za niemi powietrze, a niektórych burząc zdaleka, lub ujadając złośliwie i uparcie, jakby miał ochotę ich połreć. Najnienawistniej-

szych szarpał za suknie, ale nie kęsał nikogo, nie czuł się dość wielkim pauem na to.

Tych oznak przychylności i wstępu oduczyć go nie było można; odwołany słuchał wprawdzie pani, ale drugim razem toż samo czynił co wprzód. Miał w tem swoje widzimi się.

Było to jakoś latem: dzień skwarny kończył się jednym z tych wieczorów rzadkich u nas i wyjątkowych, bez chmur, bez wichru, pogodnym, cichym, złocistym, kroplistą rosą zwiastującą posuchę zwilżającym spragnione zioła i trawy. Marysia wróciwszy ze cmentarza ustawiła kądziolkę pod piecem, pogłaskała najeżonego Burka, wzięła wiadro i miała schodzić do źródła, bo jej wody zabrakło, gdy tetent konia ją zatrzymał.

Drogą ku wiosce jechał ktoś spiesźnie na małym szpakowatym koniku, pogwizdując wesoło hulacką piosenkę. Marysia przez ciekawość wstrzymała się i stanawszy przypatrywać zaczęła. Wieczór był jasny jeszcze, a przejeżdżający ujrawszy dziewczkę, zwolnił kroku, wlepił w nią oczy ciekawe i nawet gwizdać poprzestał. Był to młody chłopak z jasnymi włosy, skromnie, ale czysto odziany, wyglądający na leśniczego lub pisarza, z torbą myśliwską na plecach, w czarnych, długich po kolana butach, z harapnikiem przez plecy, w wiejskim kapeluszu słomianym na głowie. Na ogorzałej jego twarzy znać było jeszcze rumieniec młodości wytryskujący z pod opalenizny, i ciekawość gorącą, patrzącą z piwnych, pełnych ognia źrenic. Na ustach błąkał się uśmiech wesoły i zalotny. Koń pod nim związał się i

niespokojny wyrywał, jakby zdziwiony tem, że go nieco wstrzymano : znać nie przywykł był do powolnego chodu i zdradzał przez to charakter swojego pana, żywy i czynny. Ubranie młodzika pomimo swej prostoty, z pewnem było uszyte staraniem, bo mu kibić giętką i szerokie ramiona dobrze rysowało.

On i ona zatrzymali się nieco spojrzawszy sobie nie spodzianie w oczy ; przejeżdżający zwolnił kroku siwemu, by dłużej ua śliczne dziewczątko popatrzeć ; ona się zacofała, sądząc, że może potrzebować... choćby kropli wody po znoju i dziennym upale. Ale chłopak słowem się nie odezwał, obrócił ku chacie, popatrzał, obejrzał na cmentarz, jeszcze raz na dziewczynę śmiałem rzucił okiem, konia śmignął i poleciał świszcząc wesolą piosenkę. Marysia powoli zeszła ku krynicy.

A schodząc, jej oko mimowolnie zwróciło się wstرونę, którą gwał nieznamy chłopak, żywo pędzący przez siolo na parskającym siwoszku. Jakoś miło jej było widzieć, jak on koniem kierował, jak odważnie sadił przez groblę dziur pełną, jak się ze zwierzem borukał, gdy mu się ploszyło, i wychodził z walki zwycięsko. Piosnka jego wesola i junacka mile się objała o jej ucho ; i zatęskniła prawie, gdy się skrył za domami, a szum kół młyńskich zagłuszył śpiewkę ochoczą...

Wrażenie tego spotkania trafunkowego nie zatarało się jak tyle innych ; a choć Marysia ani próżnować, ani marzyć nie miała czasu, często przed jej oczyma przełatywał ów jeździec na siwym koniku.

— Tfu maro ! — zawołała nareszcie — a to jakieś nasłanie !... Czegoż ja o nim myślę !

Rozśmiała się sama z siebie, ruszyła ramionami, i powróciła do pracy.

Nazajutrz rano, gdy zwyczajem swoim przed próg wyszła powitać ptaszęta, obejrzeć gospodarstwo i okiem dać dzień dobry mogile; na widok pustego gościńca, przyszedł jej na myśl znown wczorajszy podróżny, i ciemne jego oczy z pod słomianego kapelusza, tak ognistym patrzące wzrokiem.

— Któżby to był? — pomyślała — kto taki?

Ale nie znając ani okolicy, ani swojej wsi nawet, domysleć się nie mogła, i rzuciwszy pytanie z wiatrem a na prędce urządziwszy chatę, z Sierotką razem poszła na matczyną mogilę praść do południa, póki by jej skwar ztamtąd nie spędził.

Pies, który już dobrze wiedział drogę codzienną, naszczekując i wesoło się zwijając, poprowadził ją do zielonego wzgórka, u stóp którego Marysia na omszonym siadywała kamieniu, pod starą spróchniałą wierzbą.

Widok z tej wyżyny sięgał daleko, i wistocie mógł samotnicę zabawić, bo przez obalony parkan i niski wał z pagórka całą wioskę jak na dłoni, i pola z drogami po za wsią, a w prawo jary, zarośla i bory widać było daleko. Choć ruch na gościńcu był mały, bo w tę stronę nie bardzo kto jeździł, prócz w dzień jarmarku do miasteczka, do którego bliższa wprawdzie, ale gorsza tędy prowadziła droga; za to oko zdawało napaść się mogło ruchem okolicy i obrazem pracy ludzkiej. Co się działo we wsi, za wsią, na polach, we młynie, wszystko mogła ztąd rozeznać Marysia; a czasem oko jej mimowoli chwyciło przechodzących, przejezdnych, i zgadywało łatwo, dokąd i po co dążyli, jaka tam ich myśl wiodła. Każdy pług wychodzący na pole, każdy wóz zbliżający się do młyna, każde radło rażno lub leniwie wysuwające się na łan, policzyć mogła sierota, a poznawała je po

koniach, po bydłętach, po postawie przewoźników.

Zaledwie nie poczęła wyciągać z kądzieli, gdy znówu tętent żywo lecącego konia ucho jej uderzył; oko się zwróciło na drogę, i chłopak na siwym koniku ukazał się odewsi na pagórku ku cmentarzowi jadący. Znowu on gonił żwawo, a siwak pod nim wyrwał się zasapanym drapiąc ku górze... Dziewczę śledziło okiem i konia i pana razem, niepostrzeżone dotąd, badając gdzie zmierzają oba. Chłopak zrównawszy się z chatką, przytrzymał zasapanego siwka i twarzą obrócił się ku lepiance, na którą pilnie poglądał; a widząc drzwi jej zaparte, już miał znówu konia zaciąć, gdy zwracając głowę, ujrzał po nad cmentarzem twarz Marysi siedzącej z kądzielą.

Przed nią zbudzony hałasem niezwykle Sierotka, przeduiemi łapami wsparłszy się na wierzbę krzywą, burczał i naszczekiwał, choć widocznie wielkiej ku temu nie miał ochoty, ale czyił to z uczucia obowiązku raczej, niżeli z gniewu. Widać to było z tego, że wśród szczeku, wyrwało mu się kilka razy szerokie ziewnięcie.

Siwek już się był spiął i zerwał do galopa, gdy jeździec go powstrzymał i zdziwiony począł głową potrząsać; a że nie wiedział może od czego począć z ładną dziewczyną rozhowor, zawołał:

— Hej! dziewczeczko! czy to wy może z tej chaty?

— Z tej chaty? a ja! a cóż?

— A cóż robicie na cmentarzu?

— To co zawsze: wyszłam prząść na grobie matki...

Chłopak zdziwiony ruszył ramionami.

— Dalibyście mi się wody napić?

— Ot zaraz, poczekajcie!

I Marysia ruszyła się zostawiając kądziółkę pod

wierzbą, wybiegła z Sierotką razem, przeskoczyła drogę, otworzyła chatę, i kubek drewniany podała z uśmiechem nieznanemu.

Wszystkim jej ruchom przypatrywał się młody chłopak z wyrazem nadzwyczajnego zajęcia, jak gdyby nie wierzył temu wdzięcznemu zjawisku, które miał przed oczyma.

Drżącą ręką wziął kubek, a niósł go do ust tak powolnie, jak gdyby mu się pić nie chciało; siwek tymczasem nogą grzebał, a Sierotka wachając, obchodził dokola przejezdnego na psi sposób, starając się poznać nosem z kim miał do czynienia. Znać śledztwo jego nic złego nie okazało, bo wkrótce usiadł spokojnie i począł tylko w oczy patrzeć podróżnemu.

— Patrzcieu! — to w kubek, to na dziewczynę spoglądając rzekł chłopak — to wy tu mieszkacie?

— A cóż dziwnego, mój panie?

— Naprzeciw cmentarza! — mruknął jeździec — a z wami kto? ojciec?

— Nie mam ojca...

— Matka?

— Nie mam matki — westchnęła Marysia...

— To słyszysz u kogo?

— Nie panie...

— A z kimże tu siedzisz?

— Ot tak, sama jedna!

Chłopak podniósł głowę zadziwiony, a oczy aż mu się zaiskrzyły.

— Jakto? sama jedna? A jakże to może być?

— Bom sierota — odezwała się po cichu Marysia...

Podróżny napił się wody z widocznem jakimś roz-targnieniem; znać było, że nie rozumiał wcale ani sie-

roctwa Marysi, ani jej ustronnego mieszkania, a pytać już nie śmiał dalej. Pokiwał głową, popatrzał, a że siwek się zrywał do biegu, uśmiechnął się skinąwszy głową i jak strzała poleciał.

Sierotka, który dotąd siedział spokojnie, przerażony jak i pani jego, kopnął się za koniem szczerkając zajądło; ale wkrótce powrócił nazad, miarkując zapęd gwałtowny i starannie począł obchodzić ślady stóp konia, rozpatrując się w miejscu, z którego jeździec znikł tak prędko.

Marysia z na wpół wypróżnionym kubkiem stała długo, patrzyła tęskno za uciekającym, i bardzo powoli wróciła zamysłona na matczyną mogiłę, dokąd jej wierny psiak ze spuszczoną towarzyszył głową...

Wiele ludzi dnia tego przechodziło i przejeżdżało gościńcem, ale znajomi widząc sierotę na jej zwykłym miejscu, wcale się nie dziwili: każdy głową kiwnął, pozdrowił ją i mijał.

Zrazu było to dziwowisko dla wszystkich, widzieć ją przedzającą na mogiłniku: ale po latach kilku oswoili się z tem i z sierotą; zwali ją tylko często *dziewką ze cmentarza*, a choć ją po cichu stare baby o związek z duchami posądzały, nikt już temu wierzyć nie chciał.

Jeszcze był tuman pyłu wzniesiony kopytami siwego konika nie osiadł i nie rozwiął się w powietrzu, gdy pieśń grubym nucona głosem, dobrze znajomym dziewczynie, rozległa się pod cmentarzem. Po niej Marysia poznała Rataja, a nawet domyślić się mogła, że szedł wprost z karczmy, bo trzeźwy był miłczący, a im więcej wychylił kieliszków, tem donośniejszym głosem pieśni pobożne wyśpiewywał.

Sierotka szczerkała tylko raz, jakby się oznajmywał

ślepemu; nastawił uszy i umilkł.

— Aha! już Maryś na cmentarzu! — odezwał się Rataj — dobry dzień dziewczyno! Bóg tam z tobą, a co słysząc?

To mówiąc zręcznie zbliżył się do wnijscia i wsu-
nawszy się na cmentarz, przysiadł ocierając pot z czoła
pomiedzy dwoma mogiłami.

— Nic ojciec nie słysząc — odpowiedziała dziewczyna —
nic nowego!

— Ho! ho! kłamiesz cyganko! — śmiejąc się odparł
mąż Sołoduchy — a kto tu wczoraj się przejeżdżał, a
kto tu był dzisiaj?

Marysia zapłonila się jak wiśnia, i wrzeczono wy-
padło jej z ręki.

— Któż miał być? kto?

— Na siwym koniku, hej! był ktoś, był! dziewczyno!
A tęgi chłopiec; choć go oczy nie widziały, to go uszy
zrozumiały.

— Jak wy wiecie?

— Ale bo! Maryś! — krzyknął Rataj — Maryś cy-
ganko, ślepy to zawsze więcej wie i lepiej widzi od
tych, co oczy mają; już to tak w świecie zawsze...
Wczoraj cię wieczorem napatrzył, a dziś tu się zatrzy-
mać musiał... Ot lepiej sama przyznaj się staremu.

— A czemużbym przyznać się nie miała? — odpo-
wiedziała Marysia — przed wami powiem wszystko. Ot
jak to było: przejeżdżał wczorajszego wieczora chłopak
jakiś koło chaty; no prawda... obejrzał się na mnie, a
dziś znowu tędy jechał i o wodę prosił, tom mu jej
wyniosła; trochę popytał... A wy go znacie?

Rataj głową pokiwał milczący.

— To i ja ci powiem jak to było — rzekł — bo nie

z czem, tylko z przestrogą przyszedłem: młodemu jak ty kurczęciu, łatwo się dostać w szpony kobuzie... ale bądź ostrożna.

Marysia drżąca i czerwona patrzyła w twarz starego, który powoli dobywszy z torby chleba i cebuli, tymczasem śniadał odpoczywając, kawałem razowej kromki, natartym główką aromatycznego warzywa.

— Ten chłopak, toć ja go znam — mówił zajadając — to syn bogatego budnika z Rudni; kiedyś to byli szlachta... od tego Adama Choińskiego, co to wolami i wieprzami i zbożem handluje... a słyszę groszowity... Imię synowi Tomko; znają go na okolicę: dobry słyszę chłopiec, ale urwisowaty i za dziewczętami gotów czy w ogień, czy w wodę! Ojciec, choćby mu to doma chleba nie zabrakło, kazał służyć; a to od niedawna przyjął u nas miejsce leśniczego. Bardzo się nam z nim nie bratać, bo to harde: czuje grosz w kieszeni i myśli, że wszystkiego za grosz dostanie, a jednak u ojca. A szalawila! szalawila!! Szlachcianek i naszych dziewczek nabalamucił już dość.

Marysia słuchała i zżymnęła ramionami.

— A co dziwnego mój ojciec — rzekła hardo — że pobalamucił takie, które tylko wyglądały, żeby kto na nie palcem kiwnął.

— Zapewne, zapewne, ot i ta Kachna, Boże odpuść, zaczęła, powiadają, od parobczaka księdzowego, potem był ekonom z Wójtówki, a na ostatku Tomko... Czysto biedy szukała i znalazła... Ale to słyszę taki niebezpieczny chłopiec, bo i niczego, i tak się układa, że gotów przysiądz, że się ożeni; aby mu nieboraczątko w pole wywieść. Strzeżno się i ty, bo słyszę wczoraj w karczmie zajechawszy w wieczór mocno pytał zaraz,

kto to w chatynce mieszka, co to za dziewczyna tam siedzi; a że mu ludzie nic nie odpowiadali i śmieli się z niego, zmiészany umilkł. Dziś znowu chodził darmo na zwiady, a to już zły znak, że drugi raz tu był. Aby no się to lichu do ciebie nie przyplątało; zaraz ludzie zaczną Bóg wie co gadać, a sierocie dosyć jednej biedy na ramionach.

— Bóg zapłać ojczyźnie za przestrożę — odparła po chwili namysłu Marysia — dobrze żeście mi rozpowiedzieli kto on taki... Niechno jeszcze sprobuję do mnie zajrzeć, będę wiedziała jak go złąd wyprawić.

— O to mi zuch dziewczka! — zawołał stary plaskając w dłonie — nancz szlachcica rozumu... Jemu w głowie szlachectwo, ta może i ojcowskie grosze, i liczko gładkie, że sobie z niemi będzie broił bezkarnie; ale ty masz rozum!

— Ej! rozumu nie mam ojczyźnie, ale mi Pan Bóg i matunia z nieba dopomagają... Sierota, jużem powiunna była sto razy przepaść z głodu, chłodu i nędzy, a ot mnie przecie trzyma łaska Pańska na nogach i sytą i okrytą i wesolą; to poratuje i dalej.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — szepnął stary kiwając głową — a sobie bardzo nie ufaj: ty młoda, on młody, krew nie woda; tobie tęskno samej jednej, przyszłaby zła godzina... człek się zdurzy i zapomni; a co potem łez za to wylać potrzeba!! a co oczu nachować! Czym to ja się nie nasłuchał, czym się nie nabywał między takiemi... Tomkowi jużta potrzeba kochanki, i zaraz sobie namotał na ciebie... bywajże mi ostrożna!

— Ale się ojczyźnie nie bójcie, Bóg i od tego broni! — odczwala się spokojnie Marysia — jemu nie tak to źle z oczu patrzy.

— O, o! słyszysz! — krzyknął Rataj śmiejąc się — toś mu już w oczy zaglądała, łotrzyco!... Ostrożnie z tem, ostrożnie.

Sierota smutnie się tylko rozśmiała, dziad mówił dalej:

— Ha! ha! gdyby się chciał ożenić, nie mówię; ale to wielki pan, gdzie! gdzie! wysoko on patrzy, wyżej niżli wrona leci! Ale ja tu z tobą gadu, gadu, a psy w krupach; a na jutrzejszy jarmark iść potrzeba, bo mi najlepsze miejsce zajmie kulawy Łajda... No! pilnujże się Maryś, a chatę zamykaj od złodzieja.

Śmiejąc się wyszedł żebrak ze cmentarza i ledwie na gościńcu rozpoczął znowu przerwana pieśń pobożną od tego wiersza, na którym ją porzucił. Marysia poczęła prząść żywo, i Bóg tam wie jakie myśli krążyły po jej główce, ale się często wstrząsała; to spoglądała na drogę, to rzucała okiem na pole, to zadumywała się porzucając wrzeciono; aż nakoniec jakby zwyciężywszy błędne rojenia jakieś, które ją trapiły, wzięła się żywo do kądzieli i do swojej godziny doprzedła.

Kiedy z Sierotką przez drogę wracali do chaty, przechodząc miejsce, na którym były ślady kopyt końskich, pies znowu się zastanowił, obszedł je z wielką uwagą i rozpatrzył. Marysię to zastanowiło, zrozumiała ten ruch, jako dowód czójności stróża swego, zawołała go, pogłaskała, pocałowała w czoło, a Sierotka jak oszalała z radości, natasiwszy się przed swoją panią, wybiegł szczekać na cztery wiatry, głosząc jej sławę, a swoją gorliwość.

Dobrze już zmierzchać zaczynało, a Marysia zamknęła się była w chatce na skobel, gdy drogą znowu tętent konika dał się słyszeć, a pies ku drzwiom za-

szczekał. Koń powoli zdał się zatrzymywać i przystanął... Tomko widać przed chatą go osadził. Marysia pobiegła do okienka, wyrzwała i szybko skryła się pod piecem.

Chwila upłynęła w milczeniu, aż puk! puk! słychać do zamkniętych drzwiczek. O! i serce puknęło biednej dziewczyninie, a pies rozgniewany na natrętność, na dobre szczekać począł.

I znów puk, puk do drzwi, potem do okienka.

— A kto tam? — spytała drżącym głosem Marysia.

— To ja!

— Któż to *ja*? Czego to chcecie? — odpowiedziała dziewczyna śmiało zbliżając się do okna.

— E! to ja! nie bójcie się... Co tu u was już i chata zaparta... tak zawczasu?

— Bo ja tu sama, zamykać się muszę i nikomu po nocy nie otwieram.

— Ja wam coś chciałem powiedzieć i wody się napić, a za ranny kubek tom wam coś przywiózł z jarmarku... Ale doprawdy mnie nie myślicie puścić?

— Jedźcie z Bogiem dalej; do wsi dwa kroki — szepnęła Marysia. — Nocą to już do mnie nikt nie wchodzi: piesby mój pokaleczył.

— To choć podnieście okienko i przyjmcie gościniec.

— A! okno się nie podnosi! — odpowiedziała dziewczyna — a gościńców ja nie biore.

— Cóżto za chata przekłeta — zawołał chłopak — A no! to dobranoc! zostawię gościńca na przyzbie... Bywajże mi zdrowa!

Odstąpił wkrótce odedrzwi, bo zaraz i tętent konia dał się znów słyszeć na drodze, i piosenka wesola nciekla z nim ku wiosce.

Marysi serce biło, a biło niezmiernie! W głowie

mąciło się biednej, i wyraz czarodziejski „*gosciniiec, podarek*,” błyskał przed jej oczyma tysiącem barw jasnych, świetnych, iskrzących... Chciało się jej bardzo wyjść zaraz, zobaczyć, ale strach jakiś instynktowy chwytął za rękę i odrętwiał nogi. Już Tomko był daleko, już nikt na nią nie patrzył, szła do drzwi niespokojna, gdy u progu siedzący Siorotka spojrzawszy w płonącą jej twarz, jakby ostrzegając czy łasząc się, zaszczeakał. Marysia zatrzymała się, zaczęła myśleć i została przy piecu.

— Mogęż ja przyjąć podarek? — spytała sama siebie — co na to powiedzą ludzie?... Jak raz wezmę, nie odczepię się od niego.

Nikt jej nauczyć nie mógł jak to pytanie rozwiązać, i gdyby na myśl nie przyszły przestrogi starego Rataja, byłaby skwapliwie chwyciła tę rzuconą pod jej okienkiem zagadkę.

Potrzeba jednak było walki z sobą długiego i cichego w duszy boju, żeby w końcu sobie powiedzieć: nie pójdę, nie tknę, nie przyjmę!

Nie łatwo jej przyszło to postanowienie, a ciekawość jakito tam podarek być może, długo jej oczu zamknąć nie dała i sen miała niespokojny.

Nazajutrz jak brzask, już wytrwać nie mogła; wysunęła się z lepianki okiem szukając owego wczorajszego gościńca... tyle domysłów niepokoiło ją noc całą. Co to być mogło? Zrazu nic nie zobaczyła; ale zbliżwszy się, spostrzegła krasną, czerwoną, ładną... a! jaką ładną, chustkę nowiuteńką i kilka łokci szerokiej karmazynowej wstęgi! Oczy jej nie przywykłe do podobnych strojów, powiększały jeszcze piękność tych bardzo zresztą pospolitych galganków, ale ona i takich

nigdy nie miała!!

Obejrzała je wzięwszy w drżące ręce ze strachem, pożądliwością, pokusą, z jakimś żalem nawet; ale przecucie nie pozwoliło przyjąć od nieznanego tak wielkiej i podejrzanej ofiary. Rozstała się biedna nie bez boleści z chustką i wstążką, zostawując je na tem miejscu, na którym były położone; a sama szybko schwyła wiadro i rozpoczęła dzień lecąc jak zwykle do krynicy po wodę.

Sierotka po pani obwąchał podarek Tomka, obszedł go wkoło, burknął, i nieodstępny pognął za Marysią do źródła.

Dziewczyna choć ją to kosztowało wiele nie spojrziała już nawet na gościniec, i zabrawszy kądziel, ze spuszczoną głową poszła smutna ku mogile. Ale jej oczy zwracały się ciągle na drogę, ale serce drżało jakimś niepojętym niepokojem. Słonko się już było dobrze podniosło, gdy tętent siwego konika dał się słyszeć zdala, a dziewczyna prąść zaczęła coraz żywiej.

Leśniczy zatrzymał się naprzeciw chałupy, obejrzał, i szczekanie psa zwróciło oczy jego na siedzącą pod wierzbą dziewczynę.

— Co u kąt? po cobo ona zawsze siedzi na cmentarzu? — burknął nienkontentowany zsiadając z siwego.

Jak wszystek lud prosty i budnicy, młody chłopak był przesądny, i za nicby był nie poszedł w umizgi na cmentarzysko; markotno mu było, że Marysię tam zastał, pochmurniał i nie wiedział co począć.

— Dzień dobry! — odezwał się zbliżając do drogi ku wałowi cmentarnemu i opierając się na zielonym garbie, który go oddzielał od niedaleko siedzącej dziewczyny. — Dzień dobry! A co? choćy Bóg zapłać

nałoży mi za gościniec.

— Nie się wam nie należy — podnosząc głowę odezwiała się powoli Marysia — znajdziecie gościniec wasz tam, gdzieście go wczoraj położyli, jeśli go kto w nocy nie wziął... Rosa tylko musiała go przypaść...

Tomko stanął zadziwiony.

— To go niechciecie przyjąć odemnie?

— Bo nie mogę — odpowiedziała Marysia — a za cóż i na co miałabym od was brać podarki? a coby to na to powiedzieli ludzie?

— Czyto koniecznie ludzie o wszystkim wiedzieć mają? — rzekł kusiciel słodko, podkręcając wąsika i ze strachem a pożądlivością razem spoglądając na zakłętę cmentarzysko.

— A Pan Bóg? — odezwiała się Marysia.

— Albożto Pan Bóg zakazał dawać i brać gościńce?

— Ja tam tego nie wiem, bom nie mądra — rzekła sierota po chwili namysłu — ale nigdy w życiu nie od nikogo darmo nie brała i nie weźmie...

Tomko nie dowierzając jeszcze, rzucił okiem ku chacie, ujrzał na przyzbie chustkę i wstążkę, i dźwignął ramionami zuccierpliwiony.

— No! to jak tam sobie chcecie — rzekł szydersko. — Znajdzie się taka, co to weźmie.

— I takiej sobie gościńca swego oddajcie — odpowiedziała Marysia — choćby Kachnie — dodała z uśmiechem, przypominając opowiadanie Rataja — ja pewnie nie pozazdroszczę.

— Filut dziewczyna — rzekł w duchu zagryzając usta Tomko — trafiła kosa na kamień... Ale ba! nie ona jedna na świecie.

A że to był budniczek i syn bogatego gospodarza,

przywykły do łatwych umizgów i dumy dawnem szlachectwem swoim: jakoś się oburzył na sierotę, że go lekceważyła; świsnął piosenkę, siadł na koń, podjechał pod chatę, chwycił schyliwszy się chustkę i wcinął ją za czamarkę, okiem nie rzucił na Marysie i poleciał!

Gdy się to działo, Marysia sobie przedla ze spuszczoną głową, przedla nie patrząc nań, a jednak widziała wszystko: każdy ruch zagniewanego chłopaka, każde jego ku sobie skierowane wejrzenie; i ścisnęło się jej serce, gdy bez pożegnania, bez dobrego słowa odjechał.

Pies jej naszczekiwał jeszcze na odjeżdżającego, a ona... ona płakała...

Z tych łez nie umiałaby się była wytłumaczyć przed nikim, przed sobą nawet; ale tak jej było smutno, tak ciężko po odjeździe Tomka, jak gdyby najdroższe ze swych stworzeń, najmilszy sprzęt straciła. Już się dnia tego nie przedło, nie wiodło, nie śpiewało... i gdy noc przysła, nie spało.

Ucho jej mimowolnie szukało w powietrzu dźwięków znajomej piosenki i tętentu konia; ale głucha cisza panowała na gościńcu...

Tomko pomyślał sobie słowami piosenki:

„Ne welyka sercu tuha,

„Ne budesz ty, bude druha...”

I poleciał na tany do karczemki, za krasną twarzą, za białem liczką i czarnem okiem, za którymi tęskno mu było przecie! Dużo było dziewcząt pod kar-

czemką, gdzie grała muzyka, złożona z skrzypka śla-owego, szewca, z basetlisty tkacza i bębniarza, który prawdę rzekłszy, był pastuchem przy dworskiem bydło. Leśniczy traktował, przymilał się, wywijał, ścisnął, szeptał, poił i nahasał do syta; ale gdy uahulawszy się, powrócił nocą już do swojej izdebki, zdziwił się, że mu wciąż ładna twarzyczka cyganki stała przed oczyma.

— Co u licha! — zawołał w duchu — toć pewnie ona z nich nie najładniejsza... A nie chce, to się bez niej obejdę i myśleć o niej przestanę! Jeszcze się to czupurzy i ndaje panienkę dworską: kat ją bierz!

Starato historia serc ludzkich: daj im najdroższe skarby, pełną sypiąc dlonią, odwróć się od nich obojętnie; odejm tylko ziarnko drobne i podróż się niem trochę, już ci bez niego żyć nie potrafią. Próżno sobie wmawiał Tomko, że dla niego niczem jest Marysia: złość go na nią brała, a co gorzej, porównywając ją z dziewczętami wiejskimi, widział dowodnie, że od wszystkich była piękniejszą, choć tego przyznać nie chciał.

— Już że piękna to piękna — mówił — ale nieznośnie harda; nie będę się przecie lada cygancę kłaniał i w rękę ją całował!

I jak się zaczął Tomko, tak ani ta nawet drogą przejechał, ani się pod chatą pokazał przez tydzień cały.

A co myślicie: tydzień dla młodych, to mało?? Wiek to cały w tej epoce szczęśliwej życia, która czarodziejską ma władzę z godziny robić lata, a z lat mgnienie oka... Teskuła i smutna Marysia, złościł się Tomko, i ani się spostrzegł, jak wreszcie jednego ranku siwek sam zaniósł go pod cmentarz.

Marysia przedła na mogile. Chłopak minął ją swi-

szcząc nie spojrzawszy nawet, ale oboje się widzieli choć głowy mieli poodwracane; a pies który był odwykły od konia i pana, wyleciał aż do furtki naszczekiwać na nich. Mignął Tomko jak zjawisko, i znów go nie ma i nie ma.

Kilka dni tak przeszły, aż wyszpiegował dziewczynę o której porze chodziła na cmentarz i nadjechał raniuteńko, kiedy się dopiero z wiadrami wybierała po wodę.

— A! dzień dobry, krasawico?

— Dzień dobry!

— Cóż to? sami sobie wodę nosicie?

— A któżby mi miał nosić i na co. kiedy sama zdużam?

— E! szkodabo mi twoich białych rączek, Marysiu, bo doprawdy — rzekł zbliżając się — nie chłopskie rączki macie!

— A cóżbym niemi robiła? — śmiejąc się odparła cyganeeczka — jużciż ja nie ta pani o której gadają, że sobie siedzi założywszy ręce dzień cały: toćbym z nudy umarła!

— Jakato z ciebie będzie gospodyni! — rzekł kusiciel pochlebca, coraz się do niej przysuwając.

— Czemu mówicie będzie? — odezwiała się sierota — alboż już nie jestem? A kto mi w domu gospodarzy, kiedy nie ja sama?

— Słyszałem ja, slyszal; ta-to się we wsi wydziwić nie mogą waszej robocie i ochocie.

— Ale gdybym tak oto stała wpośród drogi, a codzień gawędziła z chłopcami jak dziś z wami: wiem, jakby szło gospodarstwo! Słońce wysoko, czas mi do krynicy...

— To i ja za wami — zawołał Tomko rzucając ko-

nia naprędce przywiązanego do kółka — i ja z wami...

Marysia nie śmiała mu nic powiedzieć, wzięła wiadro i posunęła się naprzód, za nią Sierotka, za Sierotką Tomko. Ale ile kroć chciał napędzić ją i zbliżyć się do dziewczęcia, pies stróż czujny stawał, zęby mu pokazywał i niedopuszczał.

— A ! dobrego macie stróża ! — rzekł z przekąsem chłopak — może i kąsa jeszcze ?

— Czasem ! — śmiejąc się pocichu odpowiedziała Marysia — ale byleby do mnie nie przystąpić, nie nie robi.

Tomko zwolnił kroku, śpiewać począł i zachodząc ze strony, zrównawszy się z sierotą w przyzwoitej jednak od niej odległości, rozmowę zawiązał.

— Czemuto wy nigdy nie przychodzicie na taniec do karczmy ?

— Nie mam czasu.

— A w niedzielę ?

— Trzebaż jeść ugotować i pokarmić kury, gęsi, gołębie, chatę oporządzić, spocząć.

— I nie nudno wam to na odludziu ?

— Nie... na nudę nie ma też czasu.

— Trzysta djabłów — rzekł w duchu Tomko — zkąd się ona tak pięknie mówić nauczyła ?

— Prawda — dodał — że z was dziwne stworzenie : innaby tak przepadła ze skuki, a wy sobie cndem radę dajecie.

— Nie cndem paniczu, ale łaską Bożą.

I westchnęła Marysia.

Tomko pożerał ją tymczasem oczyma ; pierwszy to raz był z nią tak długo i tak blisko się jej mógł przypatrzyć, a wydawała mu się co chwila ponętniejszą, po-

równywał ją z wszystkimi, jakie dotąd widział, nawet z czarnobrewą Petronelą, garderobianą sąsiedniego dworu, i musiał przyznać, że przy Marysi gasła nawet biała, rumiana i świeża dworka.

Ma to do siebie samotność, że jeśli nie psuje, to dziwnie, wznioslejsze zwłaszcza natury nieszlachetnia, a dusza czysta musi się przełać w rysy twarzy, w każdy ruch, w spojrzenie, dźwięk głosu; rzekłbym, w barwy i kształty nwiadomając ją przed światem. Dziwił się Tomko, że dlań sierota miała urok i powab, powagę, ponotę, jakich nigdy nie doświadczył wrażenia. Myśl jego zuchwała i do zuchwałstwa przywykła łatwemi zwycięstwami, porywała się na sierotę; ale gdy na nią oczy podniósł, uczuwał jakąś nieopisaną obawę i tchórzyl, nst nie umiejac otworzyć. Wejrzenie jej niepokoiło go, mieszało, języka zapomniat w gębie, choć nim gdzieindziej zręcznie bardzo władał; słowem, przy Marysi czuł się jak skrępowany.

— To lichy! — mówił w duchu — czy ja tu z tem kurczęciem ładn nie dojdę: tać to być nie może. Cóż to za jedna? zaklęta królowna? Tfu! cyganka sierota! przybłęda! A takby to było wygodnie się do niej umizgać: chata na odludziu, żywej duszy, nas tylko dwoje; przyjeżdżaj kiedy chcesz, nikt nie zobaczy, nikt nie polaje, nikomu się nie klaniaj.

Dniat tak idac obok dziewczyny aż do studni, a coraz to na nią spojierał z ukosa, a co się chce zbliżyć, to Sierotka warknie, i leśniczy choćby mógł go harapem odpędzić, woli odstąpić trochę. Tak doszli do krynicy pod górą.

Ta krynica, była to sobie, jaką nie jednaście wdzieni pewnie w życiu: studeńka nie studeńka, źródółko

sączące się z pod glinianego obrywu na białej opoce kredziastej, ostawione starym szerokim pnem spróchniałym. Dokola niego sączyła się woda, spływając do bliskiego stawu drobnemi, wężykowatemi strumyczkami, przez które po rozkislej ziemi, gdyby nie kładki, kamyczki i cegły, trudnoby nawet przejść było.

Na pniaku leżał kruk drewniany, służący do spuszczenia wiadra, choć tu niewiele kto czerpać przychodził, bo źródło było daleko odewsi: ale wymyślniejsze gospodynie aż tu czasem z za grobli przybiegały, bo woda była wyborna. Dokola w prawo i w lewo zarastały bujno po bokach wzgórza tarnina, leszczyna drobna, kaliny i bzy, migdałowym swym zapachem napelniające powietrze. Wśród tej drobnoty, jedna tylko oblamana stara, kaleka czereśnia wyżej się wznosiła, liścość budząc koszlawym pnem swoich, co roku nowemi pooranym bliznami.

Miejsce było puste a ładne. Wdali staw, grobla, młyny i część wsi jak na dłoni... Tomko chciał dziewczęcin dopomódz do zaczerpnienia wody, ale nim się do tego po szlachecku przybrał, już Marysia przebiegła po znajomych kładkach, chwyciła kruk, zanurzyła wiadro, i pełne, śmiejąc się, postawiła na ziemi, szybko też samo z drugim robiąc.

Sierotka korzystając ze zrzeczności, napił się wody ze strumyka, popilnował aż Marysia wiadro dobyte, i znów poważnie na straży ku domowi iść począł. Tomko, który nieplonną miał nadzieję, że przy studni coś oberwie, choćby kradzionego całusa, rozpoczynającego wiejskie zaloty, powrócił całkiem z niczem i w dosyć złym humorze na psa i dziewczynę; bo śmieszno mu było, że przed sobą wytłumaczyć się nie mógł, po co aż na dół

schodził.

Po drodze rozmawiali tylko; ale coby miał nabierać odwagi, a Marysia tracić, to on czuł się co chwila bardziej onieśmielonym, ona zaś coraz weselszą i odważniejszą.

— Ha! — pomyślał Tomko — pójdę za nią do chaty, zobaczymy.

Ale dziewczyna u drzwi postawiła wiadro i siadła na przyzbie. Tomko znów klął tę jej politykę, której się nie spodziewał; usiadł wszakże koło niej; cóż, kiedy jak na przekór Sierotka umieścił się między nimi na straży, co chwila białe ukazując mu zęby, byleby się ruszył.

Po chwili przekonawszy się, że nic nie zyska, Tomko zły, gniewny, choć niby żartował z tego, klął, że więcej nie powróci, poleciał do dworu.

Jeszcze była Marysia nie odeszła ze swego miejsca, kiedy milcząca i zadumana zjawila się przed nią Sołoducha.

Sierota radośnie rzuciła się ku niej, tak jej było pilno serce otworzyć i pogadać o świeżych wypadkach, maluczkich na oko, ale wielkich w życiu dziewczęcia, które czuło, że się los jego waży na szali pierwszego w życiu stanowczego kroku.

— A! matuniu! matuniu! — zawołała rzucając się ku niej Marysia — jakie ja wam rada, żeście do mnie przyszli; to strach, co ja mam do was spraw pilnych... ażem już biedz chciała.

— Pewnie ten szalawiła, który tylko co ztąd odjechał, głowę ci zawrócił... No, przyznaj się? — odezwiała uśmiechając się Sołoducha.

— E! nie! — bawiąc się końcem fartucha odpowie-

działo dziewczę — ale co tu z nim poradzić, tak się do mnie uczył?

Baba kręciła głową.

— Jakże ci się zdaje? — spytała widocznie próbując.

— Szczerze powiedzieć matuniu?

— A szczerze! — I stara ciekawe oczy wlepiła w sierotę.

— No to tak — rzekła śmiało Marysia — ożenić się on nie ożeni, boby mnie i dobry gospodarz za synową ani za żonę nie chciał, sieroty, za którą nie ma komu ani wesela sprawić, ani nawet dać ręczników; a co dopiero budniczek hardy i syn takiego bogatego ojca jak Choiński! Pokreći się, pokreći, porzuci i żał tylko w sercu zostawi... Na co darmo się kumać, kiedy chrztu nie będzie...

Sołoducha jakoś się dziwnie rozśmiała z prostodusznej przypowieści dziewczyny.

— Nie głupio — rzekła — nie głupio; już też on nam dosyć dziewczynek nabalamucil; pora żeby go też która przytrzymała... A podobał ci się? — spytała podejrzliwie i chytrze baba spoglądając z podelba.

Marysia spuściła oczy i zapłonila się.

— A czemużby się nie miał podobać? — szepnęła — chłopak niczego i takito panicz! Ale tem bardziej on nie dla mnie! — I westchnęła.

— E! gadaj zdrowa! Byle rozum, nie takie to się na świecie dzieją rzeczy; a choćby syn Choińskiego ożenił się z córką cygańską, cóżby to był za dziw, kiedy się panowie nieraz z takimi flondrami żenią, co twojego palca nie warte! Tylko się umiej z sobą podrożyć, to go gdzie chcesz zaprowadzisz.

To rzekłszy zamilkła chwilę.

— Ale — dodała jakby się namysliwszy — kiedy to już się te konkury zaczęły, czy nie lepiejby tobie teraz na jaki czas do naszej chaty się schronić? Byłoby bezpieczniejsze... Ej! byłoby bezpieczniejsze! Zwłaszcza kiedy i te przybłędy znowu się tu przywlokły — dodała ciszej.

— Kto? — spytała Marysia.

— No! alboż to nie wiecie, że ta banda cygańska, z której był twój ojciec, znowu, słyszę, do wsi przysła...

Na te słowa dziewczę zerwało się z siedzenia nagle rzekłbyś przeistoczone zupełnie, zmienione, przerażone, pobladłe i drżące.

Ręce zalamala i słowa wyrzec nie mogła.

Stara nie pojmowała co się z nią stało, bo uczuć dziewczęcia odgadnąć nie była w stanie; a sierocie, sierocie wzmianka o jakiejś odległej rodzinie, która się jej nie zaprze, która ją przytulić może, uderzyła w serce dziwnem wrażeniem... Owa prócz matki nie miała nikogo, coby ją przytulił, coby przygarnął do siebie, ukochał i przyznał się do niej.

Sołoducha wzięła za przestרח, co było tylko silnem uczuciem wyrażającego się sercem... O! rodzina, czarodziejskie to słowo! Ile w niem ukrytych leży radości, ile pociech, ile węzłów łączących nas przez nią ściślej ze społeczeństwem całym... Jest to niejako ogniwo łańcucha wielkiej całości, od której oderwani, blakamy się nie wiedząc co począć z życiem. Kto nie miał nigdy rodziny, kto nie czuł słodkiego nęcisku brata, ojca, krewnego, jakże marzy o nich i jak gorąco ich pragnie!

— Co tobie dziewczyno? — zapytała się po chwili Sołoducha — czy ty się tak boisz? No! to ruszaj ze mną! ja cię przechowam, nie masz się czego lękać.

— Ja? bać się? a czegożbym się swoich obawiać

miała? — odezwala się dziewczyna — toż to moi! to moi!

Soloducha oburzyła się.

— Jacy oni twoi? Pluń na marę! poganie! nechresty! Matka twoja była chrześcijanką, a ojciec obwiesił się, nie chcąc ci być ojcem: czemuż oni twoimi być mają?

— Bracia ojca! — jęknęła dziewczyna.

— Co katowali go, aż od nich uciekać musiał?

— Lepsiz byli bracia matki?! — spytała Marysia.

Soloducha skrzywiła się.

— Ale wiesz-że ty co to za lud? — spytała gorąco — matka ci tego nie powiedziała pewnie, a cudzy nie śmieli. Cały Boży świat od nich jak od zapowietrzonych ucieka: złodzieje, zbójcy, czarownicy, i gorzej, i gorzej jeszcze: — poganie, nechresty!

Marysia zadrżała.

— A czyż to prawda? — spytała przerażona.

— Jak Bóg miły! Dowiedz się od ludzi, idź od wsi do wsi, nie ci innego nie powiedzą: to postrach okolic. A gdyby to było co dobrego, czyby to się tak włóczyło po świecie, nigdzie miejsca zagrzać nie mogąc.

— Im w to graj — dodała uśmiechając się stara — jak się tylko dowąchają, że tu żyje córka ich brata cygana, a sierota, a sama jedna, a jeszcze i młoda i ładna: zlecają się i gotowi gwałtem cię porwać z sobą. Te lotry i krwią własną i cudzą frymarczą... Nibyto nie pamiętają ludzie, jak tu ich dziewczka balamucila naszego pana...

Marysia słuchała, drżała, i sama nie wiedziała co począć: ogarniał ją przestach jakiś, a żal było chatkę porzucić, a serce i ciekawość ku cyganom ciągnęły..

W głowie pomieszało się wszystko, załamała ręce, spojrziała na mogiłę matki.

— No! i cóż myślisz? — spytała Soloducha.

— Ale bo to widzicie — odpowiedziało dziewczę usiłując myśli pozbierać — a cóż ja pocznę z gospodarstwem? Sądziecie, że mi tylko zabrać manatki i drzwi kołkiem podeprzeć? A toć mam i gęsi, i kury, i gołębie, i psa i kota, których tu nie porzucę, boby to z głodu pozdychało marunie; juźcić tego nie zabierzecie.

— A lepiejże tobie ginąć?

— Wicie co? — zbliżając się zawołała dziewczyna — cyganie długo nie popasają, kiedy już ich taka dola włóczyć się po świecie. Tomko mi też długo dokuczać nie będzie: a gdybyście wy pobyli u mnie tydzień jaki?

— Toby Rataisko z głodu umarł, a ja ze strachu nocując podle cmentarza! — odparła zrywając się starucha.

— Rataj teraz z jarmarku na jarmark chodzi, bo to wołowe targi poczęły się i odpusty w okolicy... No, a cmentarz! widzicie że mi nic nie zaszkodził, to i wam przy mnie nicby się nie stało...

Stara zamyśliła się.

— Ot! podumam — rzekła wstając — jeśli starego w chacie nie ma, to przyjdę i posiedzę.

Marysia pocalowała ją w rękę i tak się rozeszły.

Za wsią na rozłogu istotnie od wczoraj roztasowała się była banda cyganów, taż sama, która nawiedziła Stawisko przed kilkunastą laty; jeśli jest co na świecie, coby tem samem po upływie lat tylu nazwać się mogło!

Taż sama była i nie ta!

Dzieci Aprasza podrosły, Aprasz choć krzepki jak dąb, zgiał się od pracy, znoju i wieku, a Aza, owa prześliczna Aza, nie tą już była co przedtem! Musiała zostać w końcu żoną cygana, i dziś panowała znów jemu i całej gromadzie, w miarę jak on się starzał i słabiał, nabierając sił i woli. Na jej skinienie drżał kowal stary, chowały się jego dzieci, które nieraz smagała własną ręką, a gromada słuchala jej jak wodza. Po długiej w świat pielgrzymce, nigdzie nie zagrzawszy kąta, przyszła znów tułaczem nawiedzić to sióło, w którego pamięci tak krwawo zapisało się pierwsze ich przybycie. Kto wie, może ta dzika niewiasta zachciała tam grób czyj odwiedzić i pamiątkę oplakać?...

A gdy się im ukazała z pagórka znajoma okolica z zieloną mogiłą, z jasnym stawem i błonią, na której dwakroć już obóz ich stawał: z oczów Azy błysnął jakiś ogień straszliwy, i sine jej usta się ścięły.

Aza nie była już ową wdzięczną, czarującą dziewczką cygańską, której oko paliło na kogo padło: znikła dawna świeżość jej i wdziek młodości; a przecież po latach kilkunastu tułactwa, nędzy, cierpienia, jeszcze była piękną i ciągnęła oczy ku sobie. Zachowała swą dawną kibić i kształty, oczy powiększyły się jeszcze: nie wiem od łez wylanych, czy srogiej rozpacz, która przez nie patrzyła; usta ścięte gdy się otwierały, świeciły jeszcze zęby białemi, a kruczy włos nie spadł ze skroni jak liść jesieuny... Mimo smutku, który ją pożerał, cyganka zachowała instynktowie jakieś pragnienie przedłużenia młodości i zachowania wdzięku: strój jej o niem zaświadczał. Gdy inne w jej wieku zwiedle, zszarzone, zobojetnione, ledwie się oszarpaną otulały płachtą, ona

szukała w odzieży barwy i kształtu, i stroiła się jak królowa.

Tylko co roku twarz jej surowszego, dzikszego nabierała wyrazu, usta pogardliwszym wykrzywiały się uśmiechem, oczy ognistszym w świat patrzyły wyrzutem. Jakby za swe cierpienia na wszystkich mścić się chciała, nieubłaganą, gniewną była dla tych co ją otaczali; a Aprasz, który szalał i ginął za swoją *egaszi*, robił co tylko chciała...

Pierwszej nocy zaraz po przybyciu do Stawiska, Aza znikła z obozu. Aprasz schwycił się za siwe włosy, poleciał do dworu; ale powrócił z niczem, bo nogą tam nie postąpiła; domyślił się gdzie była, a z umarłymi nie walczyć żywym w sercu kobiety.

W istocie Aza całą noc przesiedziała na mogile Tumrego, niema, zadumana, straszna jak widmo z grobu wywołane. Sercem tylko, niepytając nikogo, wynalazła zielony pagórek, który krył w sobie zwłoki jej ulubionego: bo lat kilkanaście wbiły go do ziemi i zasiały na nim wysokie burzany, za którymi go prawie widać nie było. Wśród ciemności kalecząc ręce, zapalczywa cyganka obrywała chwasty i krzewy z mogiły samobójcy, a gdy raunek zastał ją spoczywającą na ziemi, kurhanek już był oczyszczony z zakrywających go burzanów.

Błysnęło światło dzienne, i z nocą pierzechnęły dumy i żale. Wstała cyganka ze śmiechem dzikim, podniosła się i garść ziemi chwyconą z mogiły rzuciwszy na pierś za koszulę, pobiegła ku dworowi.

We dworze chciała zobaczyć pana Adama, drugiego kochanka, by może szyderstwem żal ochłodzić. Byłato chwila, w której nawrócony grzesznik, małym wóze-

czkiem wyjeżdżał na mszę do przyległego kościółka... Dnia tego opóźnił mu się woźnica i brał za to różgi w stodole, a pan Adam z książką nabożną i różańcem w ręku, czekał w ganku, ażeby po napomnieniu ojcowskiem zajechał po niego chłopak... Wtem zjawila się Aza.

Aza nie tyle była zmieniona, co nawrócony rozpustnik... Poznał ją od razu i z krzykiem zakrył twarz konwulsyjnym ruchem, a cyganka rozśmiała się, po ruchu tym i po głosie poznawszy w nim dopiero zwiedłego młodzieńca, dziś w zgrzybiałego zmienionego starca.

— Patrzcie! tażto on! — zawolała. — A! jak mi się masz! ha! ha! ha! a! co się z tobą zrobiło?!

— Idź precz, idź precz wszetecznico! — zakrzyczał pan Adam zakrywając wciąż oczy — precz szatanie, bo różgami osnagać cię i ze wsi wypędzić każe.

— A grzecznie mnie przyjmiesz! — rozśmiała się cyganka — ale popatrzno, popatrz, jeszcze doprawdy nie taka stara i szpetna, jak ty zdechłaku! Nie dalej jak tydzień temu, dwóch młokosów pędzało się za mną, żem się im kijem musiała oganiać! Zdejm z oczu *anguszt* (palce), spojrzuj... przokonasz się że nie kłamie.

Ale pan Adam już słów tych nie słyszał i przelekły nciekł w głąb domu.

Aza popatrziała, splunęła, odwróciła się i poszła, poszła wprost do chaty Tumrego.

Po drodze spotkała ludzi, zatrzymała jakąś dziewczynę i dowiedziała się od niej o córce Tumrego; z ogniem w oku wysłuchiwała powieści i zadumana pociągnęła ku cmentarzowi.

Poważna i smutna zbliżyła się ku chacie i zadziwiona stanęła nagle, gdy pies z pod wierzby u mogiły,

zajadle na nią zaszczeakał.

Sierotka, jak wszystkie oswojone stworzenia co nas otaczają, przywykl był już do pewnych twarzy, sukni i postaci, do swojskiej woni wieśniaka; przestraszył się więc cyganki z narzuconą na ramię *urakhę* (plachtą) kolorową, od której zaleciał go dym obozowiska i szatry cyganów. Nie jak zwyczajnie bywało wsparty na drzewie zdaleka, ale wybieglszy na wał zielony, srodze ujadac na nią zaczął. Cyganka stanęła rozglądając się i w teje chwili postrzegła podniesioną głowę Marysi, której nazwiska wiedzieć, żeby ją poznać nie potrzebowala. Było coś w rysach dziewczęcia znamionującego jej pochodzenie, przypominającego Tumrego, i zamglone wspomnienie ukochanego wydobyło się z piersi Azy, stając przed jej oczyma w postaci jego dziecięcia. Serce jej biło gniewem na świat cały, co jej odebrał kochanka: z pragnieniem zemsty na ludzi i lza gorąca pociekła z czarnego jej oka.

— A *Bynk!* przekleła pocichu — to ona! to jego córka! *Tumrego ciał!* Jaka śliczna! jaka śliczna! Ja nawet nigdy nie bylam taką! I poszło to między *gandziów* na sieroctwo, na poniewierkę i nędzę, w niewolę, przykute do mizernej *hery!* (chaty).

Aza stała mruczac te słowa i wciąż patrzala na Marysię, która z przestraczem wpatrywala się także w dziwną jej postać, pełną groźnego jakiegoś i dzikiego wdzięku. I ona odgadła w niej cygankę, może pokrewną... a serce biło niewytłumaczonym uczuciem bojaźni i miłości.

Sierotka tymczasem to z wału zeskakiwał, to na wał wpadał i ujadł gryzac ziemię.

— Dziewczyno *Rakloro!* — odezwala się Aza — za-

wołaj psa swego! chcę się zbliżyć do ciebie i pomówić z tobą.

Marysia odezwiała się do Sierotki, ale ten ogonem pokiwał, zakreślił się i szczeakał znowu.

Przybyła zbliżyła się tymczasem do cmentarza, przeszła przez furtkę i postąpiła ku Marysi. Wzrok jej zatapiał się w rysach, na których czytała przeszłość swoją...

Siadła blisko, nie zważając na psa, podniosła oczy i zapatrzyła się nie mogąc nasycić widokiem sieroty, milcząca, ponura, zapłakana... Wzrok jej palił Marysię... Po długim spoczynku, łagodnym głosem spytała sierota:

— Czego mi się tak przypatrujecie dobra kobieto?

Aza rozśmiała się gorzko.

— Ja nie jestem *latio egaszi* (dobra kobieta), nie, nie; alem znała ojca twojego Tumry, i patrzę na dziecko jego... A nad tamtym płaczę...

— I matkęście moją zuali? — spytała dziewczyna.

Aza nie nie odpowiedziała.

— Dawno matka twoja umarła? — odezwiała się żywiej po przestanku.

— O! lat już temu kilka — zapłakany głos odezwiała się Marysia. — A, ot... jej zielona mogiła. — I wskazała na pagórek, przy którym siedziały obie.

Aza ze wstrętem odsunęła się od niego, nie kryjąc się z uczuciem które nią wstrząsnęło.

— A któż ci był matką? kto ojcem? — spytała.

— Jeden Pan Bóg! — odpowiedziała sierota.

— A ludzie?

— Jam nie wiele potrzebowała ludzi.

— I żyłaś tak... sama?

— Jak widzicie, w tej lepiance, sama samiuteńka.

— A któż cię karmil? — zdziwiona poczęła Aza.

— Moich rąk dwoje, i opieka Boża, i modlitwy matki...

— Nikt się nie zlitował? nikt nie dopomógł?

— Ale nie! ja się nie skarzę! nie! — żywiej przerwała Marysia — tyłkom nie potrzebowała pomocy i nie wołała o litość: nauczyłam się sama radzić sobie. A było, było pocziwych dwoje co mnie strzegli i strzegą, co pomagali chlebem, sercem i słowem... O! i więcej niż dwoje!

— Któż to taki? przerwała ciekawie cyganka.

— Stara Soloducha, żona żebraka, i stary Rataj jej mąż.

— Tak! cygańska dola nad cygańskiem zlitowała się dzieckiem — szepnęła Aza i zamyśliła się. — Ale dość już tego życia — zawołała po chwili wlepiając oczy w sierotę — tyś dziecko *Romów*, czas ci *gadziów* porzucić a iść z nami. Tyś piękna i młoda, lepiej ci u nas będzie. Co to za życie? życie *szukeli*, życie *zycaju* (psa, kota), których głupi nałóg przykuwa do chaty, do progu, do kąta i robi kamieniem. Co dzień jedno przed oczyma, codziennie toż samo życie, ta sama nędza i praca! pójdziesz z nami, pójdziesz i zobaczysz, jak świat się córce Tumrego krwi *Romów* rozśmiej! Tu na ciebie patrzą jak na obcą i brzydzą się tobą, a z nami będziesz królować, będziesz *rani* (pani) jak ja!

I wstała, na świat potrząsając ręką...

— Jak świat szeroki, jak *p/u/* (ziemia) wielka, wszystko to nasze królestwo; jak zajrzeć ojczyzna: granic jej nie stawia nikt! Żle tutaj! wóz zaprzęgą i dalej pod cieplejsze niebo za góry, na Węgry, het! het! aż nad sine morze, do miasta, co w wodzie pływa! A idąc śpiewamy i nie mamy tęsknić czasu, bo w oczach co

raz co nowego! Zobaczysz *rakloro*, zobaczysz, rzuć tylko chatę, pluń na tę kądziel *gadziów*, weź na ramiona *urakhę* i z nami, z braćmi twoimi...

Te słowa wymówione żywo, gorąco, choć połamanym językiem, pełne ognia i zapалу, dziwnie przejęły sierotę, przywykłą do powszedniej chłodnej mowy wieśniaczej. Ozwala się w niej może uspiona krew cygańska i instykt tulaczy; zadrżało serce, ale usta otworzyć się nie umiały. A Aza mówiła, mówiła, i bujała jakby pieśń jakąś śpiewając, rajem czyniąc włóczęgę, rokoszując, która ich jadła, na ustach nawet śmiech błdził pożyczany i straszny...

Skończyła, a Marysia słuchała jeszcze, bo ją ten obraz nieznanego życia, nieznanym rodziny pociągał ku sobie jak przepaść: obawiała się ich i pragnęła.

— Dobra kobieto — odezwiała się podnosząc oczy, które spotkały i mogiłę zieloną, i starą chatkę matczyną. — A! nie mnie to iść z wami: jam już nie cyganka, nie! nie! ojca nie znałam, ssalam piersi matki mojej, z niej przymięcie do kąta i strzechy...

— A ot grób matki, a ot ojcowska praca! Ot ścieżki któremi biegalam za młodu, i moi przyjaciele — dodała wskazując kurę, psa i stado gołębi unoszące się nad cmentarzem.

— Cóżbym ja poczęła z wami? co wy ze mną — mówiła dalej — ja was, wybyście mnie nie zrozumieli: a pierwszego dnia, gdyby mi z oczu znikła ta chata i mogiła, z tęsknotybym za niemi umarła. Na co mi świat? albowiem to ja ciekawa szerokiej ziemi i sinego morza? Gdzie kogo posadziła dola, tam mnę żyć i umierać! Co wam lepszego, że kości wasze leżą rozsypane po świecie, a serce nie ma się gdzie, nie ma do czego

przytulić?

— No! to zgnijże tu *gadziów ciał!* — krzyknęła gniewnie cyganka — chcesz być kamieniem — bądź nim sobie! Głupiego nie wiąże sznurek a wola jego; i skomli jak pies na łańcuchu, a urwać się nie ma siły... Omyliłam się: w tobie już nie ma krwi cygańskiej.

To mówiąc powstała oburzona, ale gdy znowu spojrziała na twarz zasmuconą Marysi, na te rysy, które jej Tunrego w całym blasku młodości przypominały, zniechęta i zatrzymała się, zmieniając głos, który chciał zionąć nowymi przekleństwami.

— A co twoja za dola? — spytała. — Ot! młodość przesiedzisz na mogile! Kto ciebie zechce? kto cię przytuli? kto pokocha? Sponiewierasz młodość swoją, sprzedasz się, za chleb i za strach może, a potem pójdziesz o kiju żebrać obelg i szyderstwa... Szczenięta psa twego nogi ci będą obrywać!

— Niech i tak będzie, — odpowiedziała Marysia — a czy to życie tak długie?

— Żał mi cię, dziewczyno, boś nie stworzona na poniewierkę — dodała Aza. — O! o! jakbym ja ciebie po swojemu ubrała, a nauczyła skakać i śpiewać; panowieby szaleli za tobą, pieniądzeby się sypały gradem... Kto wie! w złocie czasem chodzą cyganki i garścią złoto rzucają.

Tych słów pokusy nie zrozumiała nawet dziewczyna, bo się rozplakała na wspomnienie matki, które jej przyszło do serca.

— Ej! to darmo — szepnęła cicho — doli swojej nie przerobić, losu nie przetkać na nowo: człowiek jak nieć, co ją pan Bóg przędzie: z grubej na cienką wysnują ludzie, ale z cienkiej nie zrobią grubej... Na cóż-

bym latać miała za lepszym, kiedy go dla mnie nie ma na świecie.

W tej chwili rumieniec jak krew trysnął na twarz dziewczęcia, bo posłyszała tętent siwego konika i przyszło jej na myśl, że gdy ją Tomko z cyganką zobaczy, już i spojrzeć na nią nie zechce.

Aza dostrzegła niepokoju Marysi, odwróciła się, powstała, najrzała chłopaka, który niespokojnem okiem szukał sieroty, i odgadła wszystko.

Tomko widział w przelocie, że nie była samą; nie zatrzymał się nawet, obejrzał tylko, uśmiechnął i poleciał ku wiosce.

— Ha! teraz ja to rozumiem — śmiejąc się zawołała Aza — dla tegoto białowłosego nie chce ci się od chaty i mogiły... Zawczasu dziewczeczko, zawczasu! Gdybyś z nami była, ukochałabyś kogo chciała, porzuciła odchodząc, i ktoby tam wiedział, co ci przez serce przeszło. Ale tu!! ot mizernie ci zginąć przyjdzie nie zakosztowawszy życia! Jeden cię zbalamuci, a wszyscy palcem pokazywać będą! Myślisz, że się ten młokos z tobą ożeni? O! o! czy jemu to w głowie; dość spojrzeć na niego, żeby cię pożałować: godzina wesela, reszta życia płaczu! Póty on tu jeździ, póki pierwszej łzy nie zobaczy; a potem bywaj zdrowa! Prosty nawet chłop cię nie weźmie, bo i jemu zechce się krasnego pasa, czerwoną wstążką związanej flaszki na weselu... Myślisz, że ludzie kochają? A! głupia! głupia! psy to jeszcze, ale ludzie!!

Potrząsała głową, poczekała na odpowiedź i udala że odchodzi. Marysia milczała, łzy się jej w oczach kręciły.

— Nie pójdziesz z nami? — spytała Aza.

— Nie, nie! — odpowiedziała sierota — niech się

dola spełni, nie ucieknę ja od niej.

— To gnijże, gnij! — odparła cyganka gniewnie, — na dolę człek ma wolę... ale głupiemu nie poradzić!

I wysunęła się ze cmentarza, ale ogladając się, zatrzymując, wahając, jakby ją co nazad ciągnęło; a Sierotka przeprowadził cygankę szczekaniem i wyciem aż za górę.

Gdy się w człowieku gwałtowna rozbudza namiętność, wszystko co by bieg jej tamować powinno, jeszcze go silniej przynagla. Jest w tem coś niepojętego; walczym z sobą, cierpimy, a z walki i boleści zarówno korzystać odnosi nieprzyjaciół. Owszem, przeciwności mają w sobie siłę podbudzającą, której nie posiada powodzenie. Tę uwagę — nie śmiejcie się czytelnicy, — robimy z powodu przywiązania Tomka Choińskiego do córki cygana; ale Tomko nie takiż człowiek jak my wszyscy i nie temuż ulega prawu, co bracia jego w Adamie — w słabości i upadku?

Tomko jak wszystka szlachta podupadła, a nieco zamożniejsza, mimo swego skromnego leśniczostwa i budki, w której jego rodzice mieszkali: dumny był, jakby jeszcze przysłowie o zagrodzie i wojewodzie pamiętał.

Pierwszy krok jego do Marysi całkiem był tylko skierowany płochą myślą uwiedzenia biednego dziewczęcia. Zbliżył się, poznał, przypatrzył, postrzegł, że trudniej to będzie, niż mu się zdawało; ale w chwili gdy już postanowił porzucić głupie zaloty, po czasie było: poczuł, że bez tego ślicznego stworzenia, z którego oczu raz się napił rajskich nadziei, już żyć nie potrafi.

Chłopak tego sobie nie mówił, śmiał się z tęsknoty i serca własnego, ale rąły nie było na nie. Gdzie

pojechał, Bóg wie jak kierował drogą, a musiał przesunąć się mimo lepianki; którego dnia dziewczyny nie zobaczył, tęsknił aż szalał: w ostatku pochmurniał, zadumał się i zmiarkował, że to nie żarty.

— Czarownica czy co! — mruknął w duchu — już ciżto nie pierwszyczna mi się kochać, a nigdy takiej z tego jak teraz nie miałem dokuki... Jeszcze licha nadało: ładne, gołe, a harde, że ani przystąpić. Oj! cyganka! cyganka! dała mi jakiegoś licha w tej wodzie, comto się jej na moją biedę od niej napil.

Tak rozmyślał Tomko, a rady sobie dać nie mógł; już był postanowił co będzie to będzie formalnie się do niej począc zalecać, choć do reszty postradać głowę, gdy przejeżdżając kolo chaty właśnie w czasie bytności Azy, temi stosunkami Marysi z łotrowską bandą włóczęgów tak się zgorszył, że postanowił już ani spojrzeć na dziewczynę.

Cały dzień latał łajac, wściekając się, sroząc, tłukąc za swoje grzechy nieszczęśliwego siwka, a na cygarach się to skrupilo, bo ich zaraz ze wsi przepędził własnym domysłem, tak, że ledwie czas mieli rzucić na wóz manatki, i co prędzej ku sąsiedniej wiosce pociągnęli.

Tomko zaklął się nawet, szczęściem sam przed sobą, co go nie tak bardzo zobowiązywało: że zupełnie o Marysi zapomni, do chaty za wsią nie zajrzy, i pocznie się do Horpyny sotnikówniej zalecać, gdzie pewien był, że go dobrze przyjmą; ale wszystkie te postanowienia trwały niezachwianie niespełna dwadzieścia cztery godziny.

W ciągu nich nawet Tomko, nie gościńcem wprowadzie, ale kędyś drożyną po za cmentarzem przejechał raz mimo chaty i z ukosa spojrział w stronę Marysi. Nazajutrz już mu z tem strasznie było ciężko; ale na le-

karstwo wprosił się do sotnika. Horpyna była niczego, zdrowa, hoża, młoda, i niezmiernie śmiała; sotnik wdo-wiec, w chacie tylko stara milcząca najmitka: słowem, zaloty szłyby były jak po maśle, bo dziewczęciu panicz się wcale podobał; ale Tomkowi po Marysi wydała się sotnikówna tak pospolitą, prostakowatą i bezwstydną, że pokręciwszy się chwilę koło niej, choć go zapraszano na wieczorynkę, pod pozorem objazdu lasów powrócił do domu.

Chmurny a gniewny sam na siebie, położył się spać i zasnął sprawę bardzo wczesnie z wieczora. Ale sen co go miał uleczyć, to mu w głowę napłatał jakichś obrazów, że z niemi wstał o zaraniu gorzej jeszcze niż był rozmarzony.

I tego dnia i kilku następnych kręcił się, włóczył jak Marek po piekle, i nic mu niby nie było, ale taka się do niego nwiązała tęsknota, że coś to aż na chorobę zakrawało.

Wszędzie mu było źle, nudno, samotnie; a że dawno dosyć rodziców nie odwiedzał, wzięwszy pozwolenie we dworze, pojechał na budki.

Owa szlachecka w lesie osada nie była tak bardzo oddalona od Stawiska; leżała ona na samem pograniczu pomiędzy Rudnią a wioską pana Adama, i składała się z dziesiątka chat czynszowników dawnej szlachty, niegdyś sprowadzonej do wyrąbku lasów i palenia potażów, teraz zmienionych w rolników i przyrosłych do kąta, w którym się od pradziada zagnieździli.

Chaty czynszowników rozrzucone były na górzystej wśród lasu polance, co roku prawie szerzej wykarczowywanej; każdą z nich oddzielał od sąsiednich ogród obszerny, półko, sad wiśniowy, pasieczka, stare grusze

i czeresznie, a białe domki wdzięcznie malowały się w pośród lasu. Na pagórku od kraju leżała chata najbogatszego pana Choińskiego, który miał do dwudziestu roboczych koni, gospodarstwo zamożne, i handle prowadząc to wołami, to wieprzami, głośny był jako Krezus między swymi. Świeżo wzniesiony domek z dobrego drzewa, dość wysoki, z kominem i ganeczkiem o dwóch słupkach, okolony porządnymi zabudowaniami, powiadał wyraźnie czyjem był pomieszkaniem.

Adam Choiński był to już poszpakowaciany człowieczek, przebiegły, pracowity, który nie z jednego pieca chleb jadał, bywał na wozie i pod wozem; a że mu się wszystko dotąd, czego dotknął, udawało, przemyslał coraz co nowego, aby nie próżnować i groszowi nie dać darmo leżeć. Brał pola cudze na wspólny, kupował woły, karmił wieprze, sprzedawał masło i sery od licznej trzody bydła, koło którego Adamowa szczęśliwą miała pieczę, najmował się pod transporta drzewa i zboża, a wreszcie gdy zabrakło konceptu, to po sól do Konstantynowa, to po ryby jeździł do Pińska, co roku kapitalik powiększając obrotami. A że i pasieka się rozmnażała, bo jejmość była gospodynią co się zowie, i w domu żyło się oszczędnie, co dzień miał się lepiej Choiński.

Tomko był u niego jedynakiem, ukochanym dziećciem, a przez jejmość trochę nawet pieszczonym; pan Adam nie dawał mu jednak próżnować i baki strzelać; oddawał go naprzód do parafialnej szkółki, potem na służbę choć lekką do Mińska, aby to niby coś robił. Że niedaleko otrzymał miejsce, widywali się z rodzicami nienial co tygodnia, bo jeżeli Tomko nie przybył, to Adamowa kałainaszkę zaprzągnąwszy, jechała do niego się dowiedzieć.

Stary był doma, i matka aż na próg wybiegła, gdy kopyta siwego zatętniały na podwórku. Pan Adam wybierał się tego dnia gdzieś na jarmark, i wóz już stał przygotowany przed chatą, a on sam we drzwiach wdziawał szaraczkową kapotę, gdy się syn przystawił. Choć się krzepko trzymał, pan Adam nie był już młody: włosy miał jeszcze dosyć, ale szpakowatego, twarz do zbytku może rumianą i ogorzałą, oczki szare biegające, usta szerokie i uśmiechnięte a nad niemi wąs szczególnego rodzaju. Kształt jego wymyślić musiał ktoś, co wąsa ogolić żałował, choć znał z doświadczenia niedogodności jego i zapobiedz im usiłował przemyślnie. Coś to było na kształt siwego sznureczka, w równym oddaleniu od ust, by w potrawy nie zaglądało, i od nosa, żeby go tabaką nie walać: niepostrzeżona prawie linijka twardo stojącego i krótko obciętego włosy, która pozwalała się pochwalić wąsem, a zimą i latem do niczego nie zawadzała. Bieda tam tylko być musiała z goleniem, żeby po tygodniowym lub dłuższym odroście trafić na pozycję owego wąsa, ale od czegoż doświadczenie? Golił się sam pan Adam i nigdy wąsów nie wykąsił, ani się im dozwolił do zbytku po twarzy rozpościerać.

Ledwie Tomko zsiadł z konia, troskliwe oko matki i baczne wejrzenie ojca już go objęły całego, i oboje postrzegli, że chłopak przymizerniał, a wesołość, która dawniej twarz jego okrywała, stracił. Pocałował w rękę rodziców, i milczący, powolnie, bez swawoli, bez głosu wszedł do chatki.

Ojciec go nie spytał co mu było, ale matka zaraz szepnęła na ucho:

— Co to? czyś nie chory Tomku? albo ci się co nie

stało? Mizernie ci coś z oczu patrzy?

— Ot tak! — rzekł leśniczy — coś mi na sercu ciężko.

— No! no! — dodał zażywając tabaki stary Choiński, który i pytania i odpowiedzi dosłyszał — raz wraz bo z dziewczętami się parasz... *Dobra tuja brednia... ale nie szczo dnia...* Jużby czas ją porzucić, a to zdrowie stracisz i na jakie lichy trafisz, że ci kwaśnego piwa nawarzy!

Tomko, który się ojca bał i wstydził, zawołał zaraz:

— A gdzie mnie tam to głupstwo w głowie, tatunin; nie miałbym roboty... Ciężko lasu upilnować, nie ma dnia, żeby nie było trzeba siekiry odbierać... Pan nie żartuje, sam po drogach o kwitki pyta, teznąć człek nie ma czasu.

— To i dobrze, że pracować musisz; to i dobrze!

— Ale jednakże: żeby zdrowia nie nadwreżył! — dodała matka.

— Porzucę jejmość — przerwał stary — praca nie zaszkodzi, byle to prawda tylko była, co Tomko mówi, jeszcze pół biedy; wyspi się, naje i będzie zdrów.

Matka spojrziała, westchnęła i zamilkła; a przypomniawszy sobie, że syn może być głodny, pobięła do komory po przekąskę. Stary z boku popatrzywszy na syna, sam wkrótce do ładowania wozu i wyborn na jarmark pospieszył, bo zwykł był mawiać: sprawa sprawy nie tamuje... Jakoż wkrótce konie zaprząglszy, siadł i pojechał, choć mu tęskno było syna porzucać, ale jarmarku opuścić nie mógł.

Adamowa była matką, syn jej jedynem dziecięciem, jakże tu przenieść widoczną jego zmianę, smutek i troskę? Poczęła koło niego chodzić, żeby się prawdy

dopytać.

Tomko nie dla niej skrytego nie miał, a choć matka do zbytku poblażała mu może, serce też za to miała zawsze dla siebie otwarte. I teraz nie trudno jej było o przyczynę zadumy dopytać.

— Ot, licho się do mnie przyplątało — rzekł po cichu, kryjąc oczy jak winowajca.

— Ani chybi, znowu tam jakieś przekłętę dziewczysko — zawołała matka — Gadaj już gadaj... niech wiem, co się święci.

— Teraz to chyba gorzej jak kiedy — odparł Tomko, i nuż spowiadać się matce, a słów nie skapil, bo mu się na nie długo zbierało. Gdy począł mówić, wygadać się nie mógł.

Adamowa stała, słuchala, głową kręciła i sumowała zasmucona.

— Hm! hm! — rzekła po chwili — lepiejbyś to sobie z głowy wybił... Cyganka... djabeł ją wie... *może co zna!* O jej ojen i matce dziwy prawili: nasluchalam się, że włosy na głowie wstają... Cyganisko się w końcu obwiesił!! Brudy i szkarady: potrzeba ci było tam nosa wtykać?

— A! kiedyżto ładna jak drugiej w życiu nie widziałem! — zawołał Tomko — a poczciwe, a skromne!

— E! pluń ty mi na to! A zkad się tu u niej poczciwość ta i skromność wziąć miała... Widać tylko durzy ludzi... Ej! ostrożnie Tomku, ostrożnie, bo się doigrasz! Dziewczyny mi tej więcej ani patrz! Mało masz szlachty, coby każda za ciebie poszła... to się żeń już lepiej niż masz tak balamucić...

Długo jeszcze w ten sposób mówiła pani Adamowa; słuchał jej syn w milczeniu, ale znać było, że doserca

mu to nie szło i matka pomiarkowała, że przekonać nie mnsiała, bo ciągle w jedno biła, powtarzając swoje a słowa z niego nie mogąc wywołać. Gdy nareszcie milczący odjechał, rozplakala się usiadłszy na ławie. Biedna kobieta przebiegła w myśli wszystkie możebne skutki synowskiej namiętności, i drżała nad dziecięciem, chciała go już z leśniczostwa odebrać, to daleko gdzieś zasłać, tak jej cyganki i czarów strach było.

Cała zadumana o przyszłości, ani spostrzegła, jak zmierzch padł na dworze; a w chacie noc się zrobiła, a drzwi powoli się rozwarły i głos z nich chrypliwy po cichu ją pozdrowił.

— Dobry wieczór imościenniu!

Dopiero odwróciła głowę, wstrząsła się i nie mogąc poznać gościa zapytała :

— A kto tam?

— Oj! a tożecie mnie widzę starej sługi nie poznali?— dodała śmiejąc się chrypliwym głosem Sołoducha...— Stara Ratajowa ze Stawiska! Byłam na budkach u Marcinowej, której Pan Bóg dał syna... i do jejmości przychodzę jako do kumy z *warem*.

Zerwała się szlachcianka, krzyknęła na sługę i wnet zaświecono łuczywo. Po przyjęciu podarku, kazawszy dziewczę w zamian zań krupniku, to jest wódki z miodem i korzeniami przyprawić, Adamowa poprosiła babę, żeby usiadła i sama się przybliżyła do niej. Na rękę jej były właśnie urodziny owe i przybycie Sołoduchy, bo nie wiedząc jak ściśle stosunki łączyły starą z Marysią, a znając z dawną lekarkę, chciała z niej coś o cygance się dowiedzieć.

Zręcznie więc naprzód podpoiwszy babę, nuż wypytować o to i owo!

— Oj! — rzekła nakoniec wzdychając — bieda to moja, że Tomko u was w Stawiskach; chłopiec młody, strasznie do dziewcząt ochoczy, a z dawien dawna o waszych niedobrze słychać: wszystkie tam ladaco, gotowe mi go rozłajdaczyć.

— Moja jejmościinniu — odpowiedziała stara — jak się co ma zepsuć, co chcesz rób nic nie pomoże... A ja tak źle nie myślę o waszym synu, a nasze dziewczęta toż nie takie teraz jak bywały, kiedy to pan młodszy hulał i psuł ludzi.

— I teraz się tam znajdzie jeszcze nie jedna, co mego bałamucić zechce... a może się już i znalazła? — spytała szlachcianka ciekawie.

— Nie wiem... nie wiem — odparła baba śmiejąc się — at, zwyczajnie nie do jednej się uśmiechnie, jak naprzykład do sotniczanki Horpyny: ale to młodość na to.

— Tam-bo u was — dodała Choińska, nie mogąc dłużej wytrzymać — jest jakaś cyganka, którą chwala, że ma być bardzo urodziwa?

Sołoducha podpita już miała wielką ochotę gadać, i zerwała się z siedzenia jak oparzona.

— To o Maryś widzę mówicie — przerwała. — O! o! daj nam Boże wszystkim takie dzieci, jak ta dziewczyna się udała! cyganka nie cyganka, a drngiej takiej we wsi nie znajdziesz. Czy to wy nie wiecie nic o niej?

Matka rada się była jak najwięcej dowiedzieć, i nalawszy jeszcze kieliszek wódki Sołodusze, poczęła ją wypytywać.

Dopieroż Ratajowa dziwy o dziewczynie jeła jej śpiewać, o jej życin, pracy, piękności, poczciwości, wytrwaniu; jakie to śliczne, jakie to dobre, i jak to Bóg sam sieroctwo jej wykołysał. Stara Adamowa zadrżała, zmar-

szczone jej czoło pokryło się potem, i ciężki niepokój sercem poruszył: załamała ręce, wydając się ze swoją tajemnicą.

— To już nie ma co tać — zawołała. — Tomko się mój w niej na zabój zakochał; był tu u nas przed chwilą... przyznał mi się, że za nią szaleje... Co tu robić Soloducho?

Baba spuściła głowę milcząca.

— Albo to ja wiem! — rzekła.

— Żenić się z cyganką, z sierotą, z ubogą, a jeszcze i poddanką waszego pana, ani myśleć (hoińskiemu — dodała z dumą Adamowa — a chłopcu jakby kto co zadał!!

— Dziewczyua pocziwa — przerwała Soloducha — ona go balamucić nie będzie, Tomko sobie ją z głowy wybije.

— A jeżeli to czary? — spytała szlachcianka po cichu.

— Jakie czary? — odparła ruszając ramiouami Soloducha — czarne oczy, czerwone liezko, ot i po wszystkim...

— Ależ Tomko mój oszalał!

— Albo to jemu pierwszyna!

Plasza stała gotowa, baba schwyciła ją pod pachę i zabierała się do wyjścia; niespokojna szlachcianka jeszcze do szafy poszła po grosz jakiś, i wetknąwszy go staruszcze, usiłowała ująć ją sobie.

— Słuchajcieno — rzekła po cichu — a gdybyście wy mnie pomogli i oko tam mieli na mojego chłopaka: dalipan gotowabym wam takiego gościńca dać, o jakim się wam ani śniło!

— A co ja mogę? — szepnęła Soloducha odtrącając

pokusę i szybko sunąc ku drzwiom — bądźcie spokojni, ja do Marysi chodzę, z oka ich nie spuszczę, i co po-
dołam to zrobię: nic się złego nie stanie! Bóg z wami!
nie macie się strachać czego.

Mówiąc to baba wpół pijana, starała się jednak je-
zyk za zębami utrzymać i szybko wyszła z chaty, a
ledwie w podwórku aż się za siwą nchwyciła głowę.

— Cyt! cyt! — zawolala do siebie — przez licha!
ta-to się na wielkie rzeczy kroi! Myślałam, że Tomko
tylko ją bałamuci i szczęścia probuje, a on naprawdę
zaszłapał! No! no! może Pan Bóg sierocie da szczęście!

A jakto w każdej ludzkiej czynności, by najlepszej,
jest djablego ogona kawalek, bo nim szatan musi każdą
zamieszać potrawę; do dobrych chęci dla Marysi starej
Soloduchy, wmieszało się i złe uczucie, dodając jak
drożdże ciastu, siły robocie i wzrostu. Choińscy byli
bogaci, stary trochę się czwanił i rękę kładł za pas;
Adamowa w niedzielę na panią patrzała, w chacie ich
było dostatnio: a myśl upokorzenia ich dumy daniem
im cyganki, sieroty za synowę, nśmiechnęła się starej
Solodusze.

— Ot toby dopiero musieli nosy pospuszczać — do-
dała w duchu — oni co najmniej jaką ekonomównę lub
pannę z garderoby dla syna rają; a tu im przyjdzie
golusieńkie cyganiatko!! i córka wisielca!

Ratajowa cała w rozmyślach stanęła nawpół drogi.

— Coby tu robić? — spytała się sama siebie oży-
wiona wódką — jakby tu począć?

Chwilę tak stała głęboko zadumana, potem coś za-
pewne przemyśliwszy, kopnęła się wesoło do chaty pani
Marcinowej. Tu choć dni jeszcze parę miała zabawić,
ale tak się poczęła niepokoić o Marysię, że nazajutrz

rano piechotą wyrwała się do Stawiska, nieczekając na podwodę. A że dobrze знаła okolicę: przez lasy wprost poszła ścieżką na cmentarzysko wiodącą.

Zbliżając się ku niemu, zdala już poglądała, czy nie zobaczy dziewczyny przy mogile; ale choć dzień był piękny, nikogo tam niedopatrzyła, tylko z tumanem kurzawy Tonko na siwku przeleciał i mignął jej jak strzala przed oczyma.

— Leć! leć! — uśmiechając się zawołała baba — złapiemy cię ptaszku; ale gdzie holubka moja? gdzie Marysia?

I przeszedłszy w poprzek drogę zbliżyła się do chaty, w której izbie pies zaszczeakał. Drzwi były zamknięte, zapukała, i po chwilce Marysia przysła jej otworzyć. Stara bystrem okiem podejrzeń pełnem, zmierzyla spokojną i smutną dziewczynę.

— A co to ty w chacie? — zapytała.

— Ot tak! — odparła Marysia — nie chciało mi się piec na słońcu...

— Balamucisz! gadajno prawdę!

— Ten się włóczy a włóczy — pocichu szepnęła Marysia — raz wraz mnie zaczepia: musiałam się przed nim schować.

Sołoducha mrugnęła oczyma.

— I cyganka się już do mnie jakoś dwa razy przywlokła dziwy mi prawiąc... Nie śmiem wyjść już na cmentarz.

— I dobrze robisz odpowiedziała Sołoducha, siadając — ja ze strachu, żeby ci się tu co złego nie stało, leciałam do ciebie aż z Budek od Rudni i jak oparzona... Chłopcu ani końca nosa nie pokazuj! Już ja co wiem, to wiem!

— A cóż wiecie? — spytała zarumieniona Marysia.

— On się w tobie do szaleństwa, na zabój zakochał! — na ucho ostrożnie szepnęła baba — bylebyś rozum miała, to się z tobą ożeni.

— On! ze mną! — czerwieniejąc się coraz mocniej krzyknęła Marysia — chyba żartujecie ze mnie?

— Ale gdzie tam! tak jest! miej rozum, a nie przypuszczaj go do siebie ani na staję, to go będziesz miała... Tyś głupia, ale ja żyłam na świecie to wiem: mężczyźnie im gorzej dokuczysz, to cię lepiej pokocha.

— Tego nie rozumiem moja matko!

— Rozumiesz, nie rozumiesz, a rób co ci mówię! Zobaczysz, ja w tem, że pójdziesz za szlachcica i cała wieś będzie ci zazdrościć... A dopiero stara Sołoducha wziąwszy się na weselu pod boki, całej wiosce powie: — A co? a co? ot, jak moja cyganka poszła za męża? Nie chcieliście na nią patrzeć, teraz się jej będziecie kłaniać; a kto to zrobił? Sołoducha.

I baba w istocie wzięła się pod boki i podrygiwała stanawszy naprzeciw Marysi, która przelekła i zdumiona więcej niż uradowana, patrzyła jak Sierotka na Sołoduchę szczeakać począł, widząc ją w tak niezwykle sposób uwijającą się po izbie.

— Matuniu! — powtórzyła dziewczyna — ale ja was nie rozumiem.

— Cyt! — zamykając jej usta dodała stara — tylko mnie słuchaj, a głowy nie masz czego łamać.

— Ale cóż mam robić? — spytała Marysia.

— W chacie siedzieć, nosa na dwór nie pokazywać: to pierwsze... Zobaczysz, szczęście ci się samo położy na progu i garścią go weźmiesz...

To powiedziawszy Sołoducha usiadła na ławie i nieco

odetchnawszy, wyraźniej się tłumaczyć poczęła.

— Musiał szlachcic poszłapać — rzekła — kiedy już i matka jego wie o tem, a ze strachu umiera, bo się przedemną aż wypowiadała. Teraz tylko podmuchać i ogień będzie. Do cerkwi w niedzielę wystrój się moje dziecko, ale jeżeli cię zdybie, zaczepi, zagada, ani się nawet oglądaj... Tomko zobaczy, że tu nie ma innej rady, tylko się ożenić; i albowi ja już do niczego i głowy nie mam, albobym przysięgła że się ożeni!... Rodzice krzyczeć będą, łajać, fukać i na niego i na ciebie, ale w końcu pozwolić muszą... Chłopiec niczego! chata raj! hroszy u starego choć czapkę mierzyć... Nie zapomnisz, spodziewam się i o starej Sołodusze.

Zdziwiła się stara podniosłszy oczy na Marysie, gdy ją we łzach całą ujrzała.

— A tobieżto co? — krzyknęła.

— A matnini — cicho odpowiedziała Marysia — nibyto ja rozumu nie mam! Gdyby się to i stało, a coby mnie tam w chacie czekało?

— Co? — ofuknęła baba.

— Czyby mnie to tam jak dziecko przyjęli i ojciec i matka? A ktoby mi dobre słowo powiedział? Na niewolęby tam chyba poszła i na poniewierkę!

— Albo to starzy wieczni!

— A na co mam ich śmierci patrzeć? — odezwała się dziewczyna.

— I cóż myślisz? — przerwała Sołoducha.

— A cóż? gdyby nawet takie szczęście spotkać mnie miało, ja go nie chcę.

Baba osłupiała z podziwu, załamała ręce, przeżegnała się mruczając coś pod nosem niezrozumiale.

— Alboto mi tu źle? — spytała Marysia — albo mi

brak wody i chleba? A na co mi więcej? Przywykłam do chaty i wiek w niej przeżyję... Szlachcicby mi całe życie wytykał, że mnie z błota wyprowadził; gdyby nie on, to i chłop gdyby mnie wziął nierazby w złą godzinę nazwał cyganką i córką wisielca... Wolę, że mi tu ściany milczą, niżbym tego słuchać miała.

Soloducha z usty otwartemi, milcząc, zdawała się chcieć zrozumieć słowa dziewczyny i nie pojmować ich wcale.

— Otóż tobie rozum! rozśmiała się nareszcie — oto tobie dola! Jak jej szczęście świta, toby się chciało, żeby Pan Bóg i wczorajszy dzień przerobił. Tfu! na marę... lichy tam wie, czego ci się zachciewa! Ja tego i słuchać nie będę; a co wiem, to wiem, i co mówię, to zrobię...

To rzekłszy zerwała się z ławy i cała oburzona, ale podtrzymując się jak mogła tem, że dziewczę bredzi nie wiedząc co, odeszła od Marysi, we łzach ją zostawwszy.

Biedne dziewczę zostało same i usiadło na ławie zadumane tak smutnie, jak nigdy jeszcze; oczy jej oschnąć nie mogły, a niepokój bił piersią wzruszoną. Co tu począć i jak tyle różnych uczuć pogodzić? Sierotka, jakby przeczuł co jego pani cierpiała, przyszedł, siadł przy niej pocichu, i począł ją lizać po rękach, łapą drapiąc po kolanach, żeby z zadumy rozbudzić. Ale ciężko to było! ciężko!

Pierwszy to raz dziewczęcin ktoś się starał podobać i podobał; pierwszy raz obcy przemówił do niej tym językiem, który tak słodkiem brzmieniem młode ucho kusi; a uśmiechnąć mu się, odwrócić do niego jak serce chciało, nie było podobna! Cała przyszłość czarna,

ponura, straszliwa stanęła przed sierotą...

— I zawsze tak będzie — mówiła w duchu — i nigdy nie potrafię znaleźć równego sobie; chyba bym wzięła żebraczego syna i poszła w świat ze ślepym. Któż weźmie cyganekę? Kto wie! kto wie! dobrze może radziła stara cyganicha, pójść z nimi na wieczną włóczęgę... Ale jakby moją kochaną chatę i mogile porzucić i moje życie spokojne?

— A! — dodała płacząc — już ono nie będzie jakiem było! Jeden się zbliżył i spojrzał... podobam się drugiemu, nie dadzą spokoju, aż sponiewierają mnie bezbronną i bezsilną... Co tu począć! co począć!

I załamała rękę.

Ale w chwili największej rozpacz, przychodzi czasem otucha, świta pociecha niespodziewana. Marysia spojrzała przez okienko na jasne niebo, na uwijające się ptaszki pod chatą, posłyszała szebiotanie swych skrzydlatych przyjaciół, i trochę jej przybyło odwagi.

— Bóg łaskaw — rzekła pocieszając się w duchu — co będzie, to będzie, ja do mojej roboty, do mogiły i do dawnego obyczaju powrócę... A przyjdzie umierać, to nie pożałuję świata, bom go nie zaznała! Tyle go dla mnie, co w oknie.

Tymczasem, jak łatwo można było przewidzieć, szalony chłopak, choć co dzień się zarzekał, że Marysia więcej nie zobaczy, codzień więcej za nią przepadał; w końcu całkiem poddał się tej namietności, i już na nie postanowił nie zważać.

Marysia udawała obojętną i w niczem nie zmieniła

postępowania ; ale czasem musiała choć po niewoli nań spojrzeć, a ten wzrok przeszywał go do duszy ; musiała powiedzieć słówko, a mowa sprawiała mu dreszcze i sprowadzała sny dziwaczne ; musiała się pokazać choć na chwilę, a ujrawszy ją leśniczy głowę tracił do reszty. Przyszło w końcu do tego, że po pięć i sześć razy włóczył się około chaty, w której Marysia ze strachu, aby się z nim nie spotykać, siedzieć musiała zamknięta jak niewolnica.

Nie można się było z nim rozminąć, kręcił się po gościńcu, przy studni, po za cmentarzem, i czyhał tylko, żeby ją zobaczyć.

Ludzie dobre mają oczy, zwłaszcza na cudze sprawy : rychło też po wiosce wieść gruchnęła o zalotach leśniczego do Marysi, a sam pan Adam, który wraz gospodarzem i pobożnym został, codzień teraz prawie łapał na drodze do lasu wykradających drzewo bez kwitów. Tomkowi leśniczostwo wcale nie było w głowie ; zgromił go raz i drugi dziedzic ; wysłuchał bury, ale się nie poprawił. Pan Adam zapowiedział, że go za trzecim razem odprawi ; ale zaraz nazajutrz złapano w szkodzie z sąsiedniej wsi chłopaków, którzy korę dębową obdzierali do bliskiej garbarni. Pan Adam wpadł w gniew potężny, i Tomkowi natychmiast leśniczostwo odebrał. Strata miejsca niewiele go obeszczała, ale bał się ojca i nie wiedział jak się tłumaczyć ; a że go serce wiązało do Stawiska, postanowił do czasu utaić odprawę, i przystać w chacie soтника, dobiegając z niej do cmentarza i Marysi.

Przywiązanie do niej gwałtowne i niepożamowane, dziwnie nad nim brało górę. W pierwszych chwilach była to tylko młoda fantazja, płocho zachcenie i powab

pociągający pięknej twarzyczki. Tomko chciał się pobawić i porzucić, ale teraz myśli jego całkiem barwę zmieniły; chciał się już żenić i nie tał z tem przed sobą. Widział on uiepodobieństwo ożenienia dla rodziców, ale dzieciunie i wieśniaczo mówił sobie, że uciecze z dziewczyną, że się z nią gdzieś ukryje; a ożeniony gdy wróci, rodzice ich przyjąć będą musieli.

— A nie, — dodawał w myśli — to pójdę służyć na kraj świata, pójdę dla niej i dla siebie pracować, ale jej nie porzucę.

Były nań jeszcze chwile oprzytomnienia, w których się sam z siebie naśmiewał, że za cyganką lata, że oszalał; ale namiętność wnet brała górę i znowu snuł potem rajskie życie z piękną Marysią. We wsi, gdzie już wciąż o tem tylko mówiono, na wieczoranicach, na południakach, pod cerkwią i w karczmie, Tomko się dowiedział, że Semenycha i oboje Ratajowie mieli jakąś władzę nad sierotą i opiekę nad nią, i jak tylko tę wiadomość pochwycił, nazajutrz rano poleciał do ich chalupy.

Sołoducha go czekała, bo wiedziała dobrze, że w końcu musi przyjść koza do woza; i jak go zdala postrzegła, zaraz męża za piec pchnęła, domyśliwszy się, że chłopcu przy nim niebardzo mówić się zechce. Dziad się zrazu ofuknął, ale jak mu stara szepnęła na ucho, że to o sierotę idzie, wgramolił się na zapiecko i począł chrapać, choć dobrze ucha nadstawiał. Sołoducha znowu udawa bardzo zajętą i nuż z zimnemi garnkami chodzić od stołu do komina i od komina do stołu. Nie zobaczyła nawet niby, gdy Tomko wszedł do chaty.

— Dzień dobry matko! — rzekł trochę zmięszany szlachcic rozglądając się dokoła.

— A to panicz!! — zdziwienie udając odezwała się stara — może wrota na łan zamknięte, zaraz pójde otworzyć...

— Nie, nie, nietrzeba — odparł siadając na ławie Tomko — ja tu do was matuniu po radę...

— Panie Boże! a toż co! — odezwała się stara śmiejąc — czy już mnie potrzebujecie?? No, mówcież co wam potrzeba; ale ja taki przestrzegam, że lubczyku u mnie nie ma, choć to wy i bezemnie i bez niego sposób sobie na dziewczęta znajdziecie.

— Co to długo gadać a bałamucić — wstając z ławy rzekł Tomko — ot matuniu powiedźcie mi, czy to wam krewna, czy chrzestna córka, czy co... Marysia cyganka?

— A co ona mi ma być? — ruszając ramionami odparła stara — nie...

— Ale wy z nią żyjecie?

— Bo to widzicie, matka nam ją przed samą śmiercią poleciła; ale cóż wam do niej?

— Co mnie do niej? — wybuchnął chłopak — tu nie ma co klamać: ot, ja za nią szaleję!

Baba udala zadziwienie wielkie, w ręce plasnęła, głową zaczęła kiwać, brwi zmarszczyła, cmokała; wreszcie poufalej przysiadła się na ławie.

— A na co się wam to zda? — rzekła podpierając twarz zgrzybiałą na pomarszczonej dłoni — wy myślicie, że to dziewczyna sierota, sama jedna, to ja jak grzyba wziąć; ale widzę Marysi nie znacie.

— Jakże nie znam, kiedy mi głowa pęka, że jej dostąpić nie mogę.

— I takito porzućcie — szepnęła Soloducha — wierście mi, bo z tego nie będzie: obalamucić jej nie

obałamucicie, a cóż? o ożenieniu wam ani myśleć; dopierobyto szlachta krzyku narobiła!

Chłopiec się zamyślił smutnie.

— A ja bez niej żyć nie będę! — rzekł cicho.

— Co wam się stało? — zawołała baba. — Młodemu tak się to zdaje... Oj! oj! albo to ona jedna? Krzyż z wami! Co wy mówicie? Już że Marysi tak nie dostaniecie nie poszedłszy z nią do cerkwi, to pewna: dziewczyna stateczna, pobożna, pracowita a i nie głupia, z chłopcem się nie wda... na gościńce jej nie złapać...

— No! to się z nią ożenie! — rzekł zamaszysto Tomko — niech co chce będzie, a taki się ożenie...

— A też rozumna mowa? — odparła starucha — co wam panieczu? czy o Marysi nie wiecie że cygańska córka, czy swoich nie znacie jak nosa do góry zadzierają? Ojciec i matka toby się was wyparli.

Tomko głowę zwiesił.

— Wy-bo sobie tem darmo krwi nie psujecie; bo co nie można, to nie można — dodała Sołoducha. O! już to prawda, że takiej śliczności jak ta dziewczyna — kończyła stara powoli poddmuchując ogień, którym leśniczy gorzał — takiej śliczności nie tylko na okolicę nie ma, ale i na świecie poszukać! Gdyby człowiek nie wiedział, myślałby, że to pańskie dziecko!

Leśniczy westchnął głęboko.

— A tu — rzekł raptownie jakby sam do siebie — ani się zbliżyć, ani pogadać, ani oczu napaść...

— Jużto darino — dorzuciła baba — ona taka bojaźliwa i skromna, że ledwie zasłyszysz turkot na drodze, do chaty się chowa... Wybicie to sobie z głowy.

— Kiedy żyć bez niej nie mogę! — zawołał Tomko rozpaczliwie, i zaklął się; a baba udała, że ją prze-

straszyło zaklęcie.

— O mój Boże! a cóż to będzie? — zawołała — co to będzie?

— Choćby przyszło dla niej zginać.

— Cyt! cyt! cicho, nie mówcie w złą godzinę, ja na to nie poradzę...

— Gdyby choć zobaczyć, choć pogadać — rzekł Tomko — wy tam chodźcie?

— To prawda! — mruknęła stara — co dzień.

— Słuchaj Ratajowa! — gwałtowniej przerwał leśniczy — ot, rubla kładę na stół, nie odnawiajcie mi a pomóżcie.

Baba odskoczyła oburzywszy się.

— Co to wy oszaleli na prawdę, żebym ja dla grosza dziewczynę gubiła i do bałamuctwa dopomagała?

— Ale posłuchajcież — dokończył Tomko — ja złego nie chcę i o nic was niepocziwego nie proszę; tyle tylko, jak będziecie u niej w chacie, dajcie mi znać, wpuście za sobą, niech ja przy was choć przebędę z nią jaką godzinę. Będiesz się na nas patrzeć.

Sołoduha jeszcze się oburzyła.

— Ale to nie może być!

— Na miłość Bożą — zaczął zaklinać Tomko — widzicie, że ja nie złego nie myślę.

— A jak się Choińscy dowiedzą?

— Nie dowiedzą się; a gdyby i tak było, niech się sobie dzieje co chce. A to przyjdzie mi dla tej miłości zeschnąć i umrzeć, bo już dłużej nie wytrzymam!

Babie tak się wszystko ślicznie składało, że jej aż serce rosło; ale udawała zafrasowaną, i nierychło, namokawszy poczęła po cichu szeptać coś Tomkowi na ucho, który rozweselony, jakby ożył na nowo, wsiadł

na siwaka i poleciał.

Dopiero z za pieca dziad się zwlókł co najprędzej po rubla, o którym zasłyszał, i chyłkiem skradł się do stołu; ale Sołoducha przeczuwając napaść, dawno już była schowała grosz w węzelek i zatknęła w łóżko, a Rataj go nie znalazł.

Rozpoczęła się zwada, krzyk, targanie; wyparła się Sołoducha, że datku nie przyjmowała; Rataj parę razy kijem machnął i burza ucichła jakoś wkrótce zalana kwaterką wódki.

O zmierzchu Sołoducha wdziawszy świętę, zabrała się na wieś do Marysi, nie bez szyderskiego uśmiechu, przekradając się przez ulice wioski ku cmentarzowi i cygańskiej chałupie.

Wielka była radość samotnicy, gdy zobaczyła babę zbliżającą się do chaty: rzadki to bowiem był gość o mroku. Marysia właśnie odpoczywała na przyzbie przed sienią, otoczona całym swym dworem, gdy babina się przywlokła, i na widok, który miała przed oczyma, stanęła, by mu się lepiej przypatrzeć.

W istocie było na co spojrzeć.

Śliczne dziewczę, w białej koszuli, w krasnym fartuszk, dłonią hojną rozsiewało ziarno dokoła, a wychowawcy Marysi kłócąc się, wyprzedzając i bijąc po trosze, lecieli na nie łapczywie. Szare i białe gęsi, pstre gołębie, kurki czubate, wszystek dwór aż do psa i kota, otaczał panią swoją, nawet kilka dzikich śmiałych wróbli przyplatało się do rozdawanej karmi, i ukradłszy ziarenko, uciekały z niem co prędzej pod strzechę. Zazdrosny Sierotka widząc, że kury i gęsi zajadają, coraz to poskoczył, dopędził je, powąchał tego rodzaju jadalę, i nie mogąc go zrozumieć, odchodził zamysłony jakby

powiadał:

— Co też te głupie stworzenia jedzą! — Marysia śmiała się z tych co dzień prawie powtarzanych wybryków swojego ulubieńca. Na widok nadchodzącej Soloduchy, i dziewczę się z siedzenia zerwało, i pies zaszczał, i ptastwo pochwytawszy co mogło na przedce, wrzeszcząc rozbiegło się, a na miejscu swojskiego stadka, wnet drapieżny zastęp wróbli upadł na tokowisko.

Ostatnie promienie słońca oświecały blaskiem jaskrawym tę scenę wiejską, nacechowaną sielankową prostotą. Po chwili Soloducha przybliżyła się, ujawszy za rękę Marysię, wiodła ją co prędzej do chaty.

— Słuchajno — rzekła — nie bądź głupia: Tomko się z tobą niezawodnie ożeni, bo ginie bez ciebie biedne chłopczyśko... Zaraz tu przyjdzie; tylko co go nie widać. Już ci przy mnie oczyma cię nie zje, puść go do chaty, niech choć pogada z tobą.

Marysia zarumieniła się, jakby ją krwią oblał.

— Krzyż na mnie! Ach! ja nieszczęśliwa; a cóż ludzie powiedzą? — zawołała.

— A co gadać mają, kiedy ja tu! — ofuknęła ją baba — ja cię do złego nie poprowadzę; słuchaj mnie tylko, wszystko dobrze będzie. Cyt! cyt!

Położyła palec na ustach, a tuż tętent siwka dał się słyszeć. Marysia nie wiedziała już co począć, rzuciła się ku drzwiom, ale baba posadziła ją na ławie, i otworzyła je nieco, a Tomko wszedł jak piorun.

Wpadł i wprost do dziewczęcia, chwytając ją za ręce:

— Marysiu! serdeczna Marysiu, nie uciekaj! — rzekł zadyszany — nie bój się, tyś mi miłsza nad życie! Choć chwilkę pozwól pobyc z sobą gołąbko moja; a jak

każesz, to pójdę!

Baba uśmiechnęła się, Marysia zdawała się tracić przytomność i powiodła ręką po czole.

— A! to nie gubcie mnie — odezwała się drżąca wyrywając się od niego — kiedyś ci miła, jak mówisz, nie trujcie mi życia.

— Ja! jabym za ciebie w ogień skoczył.

— O! nie mówcie słów takich! nie mówcie bo im nie uwierzę. Wy się ożenić ze mną nie możecie: na co daremnie gubić sierotę? Rodzice wam nie pozwolą.

Tomko patrzył wciąż w czarne jej oczy i pałał cały.

— Słuchaj — rzekł — na co to długo się spierać; jeśli mi nie pozwolą rodzice, ja z tobą na kraj świata ucieknę.

— Nie — odparła Marysia żywszym i śmielszym głosem — widzicie przez to okno dwie mogiły na cmentarzu: jedna z nich dziada mojego, druga matki. A wiecie z czego oni pomarli? Jeden, że przeklął dziecko swoje; druga, że na niej przekleństwo było ojcowskie! Nie chcę przekleństw na głowę moją: porzućcie mnie, porzućcie!

Stara słuchała i brew się jej namarszczyła, a usta zacięły; Tomko załamał ręce zdziwiony.

— Inaczej mów — odparł — ty chyba serca nie masz do mnie Marysiu. No! to mów, i zabij mnie już od razu!

Dziewczę odwróciło się do niego z uśmiechem.

— Dlaczegożbym serca do was nie miała; wyście do mnie pierwsi przemówili dobrem słowem i zbliżyli się do sieroty. I gdyby, gdyby nie strach rodziców waszych, a... — nie dokończyła.

Tomko znów pochwycił ją za ręce i począł całować;

ale stara, której na myśl przyszło, że powinna była stać na stronie sieroty dla oka, odciągnęła go od niej.

— Porzuć, — rzekła — porzuć, ot siadaj na ławie i rozmówcie się po ludzku.

Marysia zobaczywszy, że stara zabiera się ku drzwiom, pobiegła i wstrzymała ją.

— Na krzyż Pański nie odchodźcie, — krzyknęła — zlitujcie się! Ja nie zostanę sama: to być nie może.

— Siadajcie — rzekł Tomko — mnie pozwólcie zdaleka być... choć popatrzeć.

Marysia, na której to wszystko dziwnie smutne jakieś czyniło wrażenie, podparła się na rękę i rzewnie rozplakała; chłopcu zrobiło się przykro, boleśnie: odsunął się do progu i stanął jak wryty.

— Ej! dzieciaki! dzieciaki — zawołała Soloducha. Ot! głupie! co by mieli czasu użyć, pogadać ślicznie, oboje podurnieli i lichu wie jakie stroją fochy. — A no! porzućcie... Marysia tobie do smaku, a i ty jej nie hydki: chcesz się żenić, czego tu płakać; weselcie się dziatunki.

— Nie wesele mnie w głowie — odparła Marysia, mnie tak straszno! tak straszno! Od czasu jak przestąpił próg chaty mojej, głowę tracę...

— Marysieńko! — odezwał się Tomko — klnę ci się na Boga, na wszystko, że się bać nie masz czego... Ja twój, zrobię co każesz, byleś mnie nie odpędzała.

— Co mam o tem mówić — odpowiedziała Marysia — a rodzice, a wasi? a nuż się dowiedzą? Jutro was zaszła daleko, a mnie ludzie osromocą i zginać przyjdzie marnie...

Trudno było odjąć obawę sierocie, i Tomko i Soloducha próżno się o to silili: rozmowa nie szła, a że

wieczór się zbliżał, po krótkim rozhowerze baba kiwnęła na Tomka, chłopiec westchnął i ujsć musiał. Siwek past się na wale cmentarnym, i ledwie go złapał; a Rataicha aż się za głowę pochwyciła, zobaczywszy, że w chwili właśnie gdy Tomko z chaty się wymykał, wóz Mareina z budek Rudeńskich przesunął się mimo cmentarza. Choiński nie uważał na to, tak był Marysią i koniem zajęty: sierota nie nie widziała, ale baba rozrachowała zaraz co z tego wyniknąć może, i na wieś pobiegła zachmurzona tym wypadkiem.

Marcin dobrze był jej znajomy, bo świeżo chodziła pilnować jego żony; chciała go Soloducha dognać i uprosić o milczenie; ale gdzie starym nogom zdążyć za młodemi końmi?

Szlachcie popędził w tumanie kurzu w jedną stronę, Tomko w drugą; Soloducha o kiju powlekła się ku karczynie.

Wiedziała ona, że Marcin "gadula", jakiego świat drugiego nie miał, karczyny pewno nie minie, i rachowała na to, że go tam jeszcze palącego fajkę zastanie. Omyliła ją wszakże nadzieja... Nim z góry zeszła, nim groble przebyła, nim się z trzodą spotkawszy wyminęła z bydłem, doszedłszy nareszcie do karczmy, postrzegła, że Marcin już konie zaciąwszy, boczną ulicą do Rudni poleciał.

Baba zła, na zwiady tylko weszła do izby szynkowej. Szumko szynkarz z kilką innymi właścicielami stał w pośrodku izby, gawędząc po ciebu z nini; nie zważali jak się baba wsunęła.

— Tak, tak, — rzekł rozdając tabake szynkarz do starosty cerkiewnego — on tu sobie hula i kręci się koło dziewczyny, a tam rodzice myślą, że jeszcze we

dworze służy. Marcin aż ramionami do sufitu ruszył, gdym mu powiedział, że już leśniczostwo oddane Pawłowi; a to wczoraj jeszcze stary Choiński, słysząc, chwalił się, że syn ma takie miejsce na początek! Ot co! ot co!

— A bodajże was! a bodaj długo-języczni! — krzyknęła baba z za pleców Szumkowi, aż się cały wstrząsł — a świerzbiał was język spowiadać się przed Marcinem?

— A wiédźmo przekłeta, toś mię nastraszyła!... Bodaj cię febra trzęsła! — krzyknął Szumko.

— Gaduło, ty gaduło; na ciebieby febrę nasłać, to-bys pleść o cudzem zapomniął.

— Czy to mnie kto o sekret prosił — odparł Szumko — he? Marcin pyta, dziwuje się, że Tomka widział wedle chaty u cmentarza i mówi: Co to u was leśniczy wierzb na mogilniku pilnuje, czy co? — No, to miałem mu klamać?

— Dajcieno kieliszek wódki! — machając ręką zawołała Sołoducha z gniewem — a nu! wódki, i dosyć tego! bodaj wam to słowo bokiem wylazło!

Szumko poszedł po flaszę, resztę ludzi zamilkło, a Sołoducha wypiwszy porcję jedną i drugą duszkiem, nie rzekłszy słowa więcej, milcząca, szparko ku domowi pobiegła.

Sąsiad z Budek naturalnie wracając ze Stawiska, zaraz stanął przy chacie Choińskiego, bo mu niezmiernie pilno było ze złą nowiną.

Stary handlarz siedział na przyzbie fajkę paląc, i dobytek swój wracający z paszy oglądał.

— Dobry wieczór kumie — rzekł Marcin, biczysko w wóz wtykając.

— A! jak się macie panie Marcinie. Co słyhać

w miasteczku? sprzedaliście żyto? po czemu?

— Cena licha! jeszcze chcą, żeby im chlopską miarą dziesięcio-garncową mierzyć, te żydy niewiary! Ot... i żyto do domu wraca!

Stary Choiński sie uśmiechnął.

— A nie chcieliście mi sprzedać, com dawał cenę chrześcijańską, i darmo dzień stracili.

— Darmo albo i nie darmo — odparł z uśmiechem Marcin. — Kumie! dacie sześć złotych za korzec, to wam coś takiego powiem, że aż podskoczycie do góry!

— Półszosta, ani szeląga więcej nie mogę. Ba! ale cóż to takiego? — spytał podchodząc Choiński.

— Jak półszosta, to nie — rozśmiał się Marcin i zmierzył ku furze.

— Cóżto taka jakaś nowina, żeby od niej półzłotka gębowego placić, tfu — rzekł budnik — jeszcze czego nie stało: a toście handel wymyślili!

— Wola wasza — odparł filuternie Marcin — nie chcecie dać pół złotego, zapłacicie ją może później nie jednym sotkiem, ale będzie po czasie.

Stary jakby co go kolnęło, wstrzymał odjeżdżającego sąsiada: — Słuchaj kumie, czy ty kpisz, czy drogi pytasz?

— Co prawda, to prawda: zapłaćcie za żyto, a dam wam w dodatku takiego gościńca..

— No! cóż tam u licha... ki djabeł! Czy nie bala-mucisz panie Marcinie?...

— Jak Bóg miły prawdę świętą mówię; ale kiedy wy sąsiadowi, kumowi półzłotka żalujecie za jego krwa-wicę, no! to niech będzie co Bóg chce, a ja też gębę stulę.

— A tegoroczne żyto? — spytał mięknięc stary.

— Przeszłoroczne, suchuteńkie.

— Ważne ?

— Toż je znacie.

— Ale u was i groszku i stokłosu pełno ?

— No, to nie kupujcie — rzekł Marcin idąc znowu do wozu — nie kupujcie.

— Ej, kumie, kumie, jaka z was gorączka! Myślicie że ja na was zarobku pragnę? — odparł pan Adam. — No! zsypujcie zboże, a pieniądze płacę. Ale cóżście to przywieźli? — począł żywo stary.

Marcin się obejrzał.

— Ot co — rzekł — jak myślicie, co wasz synek robi w Stawisku ?

— A cóż ma robić ? — ofuknął stary odskakując — toż wiecie, że służy.

— Tak?? a no, wieźcie, że już od dwóch podobno niedziel wypowiedzieli mu służbę we dworze.

— Co gadacie ?

— Prawdę kumie! tak jest!

— Jamże go pozawczoraj pytał... a mówił...

— To łgał, to łgał kumie; nie służy, wypędzili go, i ono się wałęsa...

— Wypędzili Tomka! cóż to jest? Gadajcie kumie Marcinie a cicho, żeby Agata nie posłyszała, i nie cedź mi po kropelce... Cóż on tam zrobił ?

— A co miał zrobić ? zawsze jedna historia — rzekł do ucha zbliżając się pan Marcin — wpadła mu tam w oko jakaś dziewczyna cyganka, czy ki lichu, i tak za nią głowę stracił, że wszystek obowiązek porzucił. Pan przestrzegał, przestrzegał, a nareszcie wypędził. Ot co jest kumie... i tak podwarjował słyszę, że stancję sobie najął na wsi, przed wami się wyłgiwa, a co wieczór do

dziewczyny chodzi. Sam go na moje oczy widziałem wychodzącego od cyganki.

Stary pochwycił się za głowę.

— Kara z nim boska! — zawołał — cyganka, cóżto za lichy?

— Co za lichy — rzekł Marcin — ha! to dziewczyna słyszę śliczna, że drugiej nie ma na okoliczność: a harda, a filut! Zaprowadzi go ona daleko! Jeszcze sierota, broń Boże biedy, wy myślicie że Tomko się sianiem wykreści? Gadają nawet, że czarownica...

Mówił, ale stary już nie słuchał, tak go silnie to niespodziane uderzyło nieszczęście: stał wryty, sparsłszy się o wrota, długą chwilę przebył w osłupieniu; dopiero głos żony go ocucił.

— Zsyp żyto panie Marcinie — rzekł — zapłacę, ale wara z tem przed moją Agatą się wygadać: zjadłaby mnie, żem go tam oddał, a i tak dość oczu nawypieka.

— A sześć złotych dacie?

— Ot i kieliszek wódki wypijecie u nas — rzekł Adam.

Ale gdy weszli do chaty, choć stary usiłował kłamać twarzą, nie bardzo potrafił; żona wyczytała na niej zmartwienie.

— Co to tobie Adamie? — spytała.

— Ot... siwą zdaje się zpleczyli...

Była to ulubiona kłacz Choińskiego, po której polowę prawie miał stada; jej był synem ów siwek, na którym Tomko tak dokazywał. Uwierzyła więc Adamowa kłamstwu, bo zpleczenie siwej bardzo skłopotać mogło, a Marcin napiwszy się wódki, uradowany sprzedażą pojechał do chaty.

Nazajutrz jak świt, Choiński coś tam znów przed żoną skłamawszy, zły, gniewny, wściekły na konia siadł, i choć stary, poleciał do Stawiska klusem. Po drodze miotalo nim jak opętany, tak, że koń choć go znał, zrozumieć nie mógł: zżymał się, gadał głośno i walił stępaka, że mu wierzgał co chwile.

Przede wsią zatrzymał się i znowu dereszowatego po bokach wprost ku cmentarzowi, bo dobrze się był rozpytał kuma Marcina.

Zdało mu się z opowiadania, że dziewczyna niepo-
czciwa zalotnica, syna mu balamuci umyślnie, i goto-
wał się na nią wpaść z całym gniewem, jaki przez noc
w sobie przyzbierał.

Jakkolwiek to było rano, już Marysia siedziała u
mogily; tętent konia zwiódł ją: pomyślała, że Tomko
znów jedzie, a gdy na jego miejscu zobaczyła starego
z ponurą twarzą szlachcica, tknęło ją w serce jakieś
przykre przeczucie, zlekła się, zadrżała.

Stary ani spojrzał na cmentarz, zsiadł z konia przed
chatą i wprost drzwi jej otworzył.

Marysia wstała, Sierotka njadać poczał.

— Czegoto chcecie? — spytała podnosząc się.

Stary ją dopiero zmierzył oczyma.

— Ty tu mieszkasz? — rzekł gniewnie.

— Ja — odpowiedziała Marysia.

Milczenie trwało przez chwilę namysłu; stary obej-
rzał się na cmentarz, nie chcąc nań wchodzić, zawrócił
się, zbliżył na kilka kroków.

— Chodź tu! — rzekł rozkazująco.

Sierota posłuszna, drżąc cała, ze psem swym razem
wybiegła z wrót cmentarza i stanęła zarumieniona przed
Adamem, który wciął wlepione w nią miał oczy.

— A! to ty tu mieszkasz — powtórzył zapalając się — to ty... łotrzyco jakaś syna mi zwodzisz... poganko!

— Czego odemnie chcecie? — znięszana odstępując zawołała sierota.

— Czego ja chcę? — w złości krzyknął szlachcic, tupiąc nogą, na co pies ogromnem szczekaniem odpowiedział stając pomiędzy nim a panią swoją — czego chcę? Otoni ci unyślnie przyjechał powiedzieć bezwstyduco jakaś, że jak tu ten łotr więcej do ciebie jeździć będzie, a ty go przyjmować: to jak mi Bóg miły!...

Wtem lzy puściły się z oczu sieroty, przerażonej popędliwością starca, a z niemi tak była piękną, tak wzbudzającą litość, tak niewinnie zdawała się pocziwają, że stary choć w przystępie złości, uczul się napół rozbrojony.

— A do kroćset djabłów! — zawołał — czego beczysz? Żle robisz a płaczesz? A co tu lzy pomogą? djabli cię wezmą i tego trutnia!

— A nie gniewajcie się na Boga, nie gniewajcie: cóżem ja winna... Ja wam wszystką prawdę powiem — z płaczem poczęła Marysia.

— Co ty mi pleść będziesz duby sinalone!

— Ja wiedziałam, że to się tak skończy — odparła sierota — klnę sie wam na Boga, że go nie przyjmowałam, nie słuchałam go, nie gadałam do niego... Wczoraj jeden, jedyny raz był tylko w chacie u mnie, i to przy ludziach.

Stary wciąż na nią patrzył, słuchał i Bóg wie co się w duszy jego działo; ale twarz mu się mieniła, widocznie więkł i stygnał.

— Powiadam ci — odezwał się już woliiej — syna

mi nie balamucić... a nie! to źle z tobą będzie. Klnę się, że się z tobą nie ożeni, a ciebie djabli wezmą, djabli wezmą!

Szlachcie krzychał jeszcze, ale go już gniew opuszczał.

— Ot, i ciebieby żal było — dodał — dla jednego dudka świat sobie zawiązywać: on ci lichu wie co obiecuje, czego w ręku nie ma. Możesz pójść za mąż, niczego jesteś, a on cię tylko zgubi jak drugie pogubił... On szlachcie... jemu z lada włóczęgą poswatać się nie dam... Nie bądź więc głupia i nie wierz mu.

— Ale nie dziwota — rzekł sobie w duszy stary poglądając na dziewczynę z ukosa — dalibóg! szelma piękna jak królewna... Oj! zła sprawa.

I pokiwał głową.

— Ja się wam klnę — zawołała Marysia — żem tu nic nie winna: uciekałam i uciekam od waszego syna, pokoju mi nie daje, Bóg świadek żem niewinna!

— Winna czy niewinna — rzekł Choiński — a trzebabo skończyć; niech mi tu raz jeszcze noga jego postanie a zobaczcie!

— Syna sobie sami trzymajcie... ja...

— A tyż tu co robisz? — zapytał stary — nie mogłabyś pójść gdzie służyć?

— Ja? służyć? mnie nikt nie weźmie... A na co mi to, kiedy mam swoją chatę; mnie i tak dobrze: na chleb sobie zarabiam i żyję.

— Zarabiasz! co u diabła? a któż tu z tobą mieszka?

— Nikt, ja sama.

— Sama? — stary wstrząsł głową — sama! powtórzył — dobrze sobie rozpatrzył... Masz szczęście dzie-

wczyno! Ja go dziś nauczę tego chlystka; ale jeżeli się tu zjawi, ani mu się pokazuj! ani nosa!

Marysia zakrywając oczy, wpadła cała rozszlochana do chaty; szlachcic sam pośród drogi pozostał, pies za panią okrążywszy nieprzyjaciela przebiegł, stanął w progu i ujadać począł.

Stary Choiński rozmyślał.

— Niczego ma oczy ten lotr; dziewczyna śliczna! Sierota, aż żal... gotów ją zgubić... Ale teraz ani już do niej przystąpić za tym psem szatanem... Hej! — krzyknął — odwołajcie sobie sobakę, mam jeszcze słowo do was!

Nie wiem czy Marysia słyszała to czy nie, czy odwołała psa; ale Sierotka ustąpił, a Choiński rozglądając się ciekawie, wszedł do chałupy.

Tu nędza sieroca, a przy niej ład i porządek w ubogiej lepiance uderzył go widocznie: oniemiał na chwilę, musiał powoli w głowie wystawiać sobie to życie, tę pracę ważyć, która je utrzymywała.

— To jednak nielada dziewczę — mówił w duchu — jak to ona sobie rady daje! Bóg wie, może z grzechu żyje, ale nie głupia być musi.

Marysia stała obyczajem dziewcząt wiejskich przy piecu i płakała; stary już począł wcale innym głosem.

— Ej! słuchajno... nie zjem cię przecie, nie jestem zbój, zlego ci nic nie zrobię... Ta ty sama to musisz rozumieć, żem nie na to syna chodował, żeby go z lada cyganką żenić: muie i matce życiaby to skróciło.

— Ale ja nic nie winna! — powtarzała zapłakana dziewczyna.

— Nie prowadźże na głowę swoją przekleństwa naszego, i niech go więcej oczy twoje nie widzą — rzekł

stary. — Ty myślisz może żarty, a to śmierć moja i śmierć matki na twoje spadnie sumienie... To jednak u nas; ja duszę gubię żeby go wyprowadzić na ludzi, a miałbym pozwolić, żeby sobie fartuchem świat zawiązał?

Stary z gniewu przechodził powoli w prośby prawie, i niemi skuteczniej pewnie niż łajaniem dotknął serca Marysi.

— O! na Boga klnę się wam — zawołała żywo — nie chciałam i nie chcę być wam przyczyną umartwienia: zrobię co każecie, byleście mnie nie przeklinali.

Lzy jej i te słowa uczucia pełne, trafiły do serca szlachcicowi, który pragnął już tylko wyrwać się co prędzej: tak go jakoś samego dziewczyna obalamucila, tak czuł w jej ustach prawdę, cierpienie, i wyrzucał sobie niemal popędliwość swoją.

— Cóż onabo winna — począł myśleć — to temu gałganowi daćby ze sto bizunów... ale ba! młody też, krew nie woda, a dziewczyna gdyby jabłko... Licho ją tu nadało; żeby wiedział nie dałbym go do Stawiska... Żeby do licha gdzie powędrowała... możeby ją z głowy sobie wybił. Ot, gdyby nie Marcin i nie jego żyto, byłby ten wisus nieszczęścia i wstydu uarobił; ale natrę ja mu uszu!

— Niechże mi tu więcej noga jego nie postanie — dodał Choiński głośno, ujął za kłamkę i mrucząc a spluwając, więcej gniewnego niż był udając, wyszedł, dosiadł konia, i pospieszył na wieś szukać chaty sotnika.

Nie pytajcie mnie co się działo z sierotą: padła ona na ławę przy piecu i jak słup pozostała na miejscu nieruchoma, odrętwiona.

Myślicie, że proste dziewczę nie nad strach uczuć

nie mogło? O! są chwile w życiu, w których spotęgowie się człowiek i widzi więcej, i więcej czuje, i więcej może niż zwykle; a Marysia była pustelnicą, była dziecięciem mogiły, wykolysanem dumami wśród samotności i tem wyższą od otaczającego ją ludu, że cała żyjąc w sobie, sama sobą władać i kierować musiała. W sercu biednego dziewczęcia scena ta zostawiła bolesne wrażenie i przeczucie, że z losem swym dotychczasowym rozstać się musi. Było to jakby jakieś jasnowidzenie konieczności; i żal ciężki, żal srogi uściśnął jej serce, nieprzekarmione dotąd weselem. Nie wiedząc jeszcze co się z nią stanie, Marysia wiedziała już, że chatę swą opuścić będzie musiała. Myślała już tylko co począć z sobą, a na przypuszczenie rozstania, żal ją brał niewysłowiony. Pożałowała wszystkiego co ją otaczało. całego tego małego światka, którego była środkiem: Sierotki, Burka, gołębi, gąsek i kur swoich i wróbli pod strzechą...

I wybiegła patrzeć na mogiłę matki.

Cisza była na dworze, cisza jakaś złowroga: parno, duszno i straszno. Przed chwilą marzyła jeszcze snuć dalej przedzę kądzieli i życia; teraz obojga nic była przerwana.

— A! — mówiła w duchu przebiegając chatkę do kt órej wróciła i łamiąc ręce — ja tu już pozostać nie mogę; pójdę w świat służyć, żebrać, a nie chcę, by mnie ten stary siwowłosy przeklinał: nie chcę na biedną głowę moją nazbierać łez cudzych i nieszczęścia... Dola moja być samotną i biedną: na cóż do niej drugą wiązać? Cierpieć, to cierpieć samej!

Jeszcze tak biegła nieprzytomna, gdy Aza niepostrzeżona weszła do chaty i stanęła w progu. W mil-

czeniu patrzała długo na dziewczynę kiwając głową, czytając z jej ruchów, co się z nią działo; nareszcie zbliżyła się ze śmiechem, Marysia cofnęła się przeleknięta.

— A! to wy!

— To ja! dziecko moje — odezwała się cyganka — przyszedłam już po ciebie.

— Po mnie? — zapytała Marysia zdziwiona.

— Prawda, że teraz pójdziesz z nami? — dodała Aza. — A co? dobrze żyć z *gndziami*? można wyżyć z nimi?

— Wy wiecie wszystko?

— Wszystko! wszystko! — rzekła cyganka — i o nim i o tobie, i o ojcu, który tu dziś z fukiem do was przychodził. Patrzałam ja z daleka i wiedziałam na czem się to skończy. Nie masz tu co bawić dłużej, ludzie cię już ogadali; choćby raz próg przestąpił obcy, zrobią ci zaraz z niego kochanka; to i choć niewinna, a dla nich już będziesz osądzona...

Dziewczyna stanęła i pobiadła.

— Ej! — dorzuciła prostując się i przybierając poważną proroczą postać cyganka, dobierając słów, by dziewczynie głowę zawrócić. — Jest dola, jest los napisany dla każdego człowieka: gdyby miał skrzydła nie uleci przed nim, gdyby sto nóg miał, nie uciecze, i w *Jagaro* (piekle) przed nim się nie schowa... A poco myślny przyszli tu po latach tylu, a dlaczego ci oto właśnie w tej godzinie *Mro-len-oro* dał lzy i przekleństwo? Patrzaj jak się złożyło — ażeby Romów krew poszła z Romami na wędrówkę... Krew ty nasza, nie czyja... Co ci ta chata? co ci ta mogiła? Nam świat chata, niebo dachem, a mogiłą ziemia cała... Gdzie stą-

pisz, to kości depcesz praoców i matek... Nigdzie nie brak wody, by pragnienie ostudzić, i miejsca na rozbiście szatry, i gałęzi na ogień; a kto siedzi ten gnije przykutym jak pies na łańcuchu...

Marysia słuchając drżała, ale widocznie poruszona była, i mało brakło by rzekła:

— O to gotowa iść z wami...

Ale każde wejście na chatę załem ją uapawało.

— A! — zawołała — jakże to wszystko opuścić!... Wy nie znacie tego żalu, boście przywykli wędrować, ja nie wiem jak się oderwać od swojego kąta? A cóżby się stało z nimi!

I wskazała na zwierzęta swoje.

Aza rozśmiała się białemi ostreni zębami...

— Co? — rzekła — kto twój, a bez ciebie żyć nie potrafi, ten pójdzie z tobą; kot nie wart łyż, zostanie. Tym stworzeniom jak trawie co na dachu rośnie, nie ten potrzebny kto żyje pod dachem, ale grudka ziemi co je żywi... Maszże być ich piastunką?

— Kości dziada! kości matki! — zawołała dziewczyna — i to miejsce...

— Dziecko — przerwała Aza — matki duch pójdzie za tobą, a miejsce wszędzie twoje, gdziekolwiek usiądziesz.

— A chata reka ojca zbudowana?

— Już i tak się wali na głowę twoją; nam wielki ojciec chatę wieczną zbudował. W drogę! w drogę! dziś jeszcze w nocy idziemy, i ty z nami! Jutro nasz obóz rozłożym o mil kilka i wszystko się zapomni.

— O! nigdy! nigdy! — zawołała dziewczyna.

Aza uśmiechnęła się.

— Mówiuny *nigdy*, a jutro, dziecko moje! jutro! serce twardnieje jak kamień: śladu, kto na nim siedział nie

będzie.

I z dziką energją uderzyła się w pierś zeschłą.

— Nasz obóz w rudeńskim lesie: masz cały dzień na sprzedaż twoich rupieci, o świcie ruszymy; ale nie mów nikomu! Ja sama przyjdę po ciebie!

Tych słów domówiwszy Aza, rzucając je jak nasienie, które wyrosnąć miało powoli, wysunęła się z chaty, samą zostawując sierotę!

Marysia widziała już konieczność ucieczki i niewierzyła w to przeznaczenie jakieś, które ją gnało za cyganami, jedyną rodziną przyznającą się do sieroty; bolała, ale nie widziała sposobu zmienić tego losu, i zakrzatała się wyborem do drogi.

Zamknawszy drzwi chaty, pobięła do Sołoduchy, której nie zastała w domu; potem do Semenychy, odnosząc jej motki i przędzę.

Zdziwiła się starucha zobaczywszy Marysię w dzień powszedni, a więcej jeszcze, gdy w jej ręku niedoprzędzone lnu dziesiątki nrzala.

— A co to? — spytała.

— To matko — odparła całując ją w rękę sierota — to reszta przedziwa: już go wam nie dopręde... bo idę... idę służyć.

— Jakto? ze wsi? dokąd? po co?

— Niedaleko... nie wiem, do Rudni — zająkując się odpowiedziała Marysia.

— Do kogo?

Dziewczynnie strasznie ciężko było klamać pierwszy raz w życiu, i kłamała tak nieczłecznie, że stara głową kiwając, zrozumieć jej nie mogła.

— Róbcie sobie co chcecie — dodała starucha — ale pamiętajcie duszy jeno nie gubić; dotąd byłaś pocziwa,

siedziałś doma, a chleba ci nie brakło ; idziesz w świat, kto wie czy będzie lepiej... Przystojna jesteś, Indzie nicpotem... dobrze na się patrz Marysiu.

Cóż odpowiedzieć było ? Ot zapłakała znowu, a nie czekając nawet zapłaty, wybiegła, żeby ją łzy i słowa nie zdradziły. Sołoducha szła drogą i spotkały się na gościńcu.

Z tą trndniej było daleko.

— Wy nic nie wiecie ? — spytała Marysia żywo.

— A co mam wiedzieć ?

Cyganka poczęła jej opowiadać przybycie starego Choińskiego i cały dzisiejszy poranek ; a Ratajowa aż wargi z gniewu zakąsywała.

— Byłam tego pewna, że skoro Marcinisko tej sprawy powąchał, jnż się ona nie ntał ; a cóż teraz myślisz ? — zapytała.

— Dziś sprzedaję co mam w chacie, resztę na wole Bożą zostawiam, a jutro mnie tu nie ma ! — odpowiedziała stanowczo dziewczyna.

— Coś ty oszalała ?

— Mówcie sobie co chcecie, stało się... Przejeżdżał mieszczanin z Taborzysk, przyjąłam służbę w miasteczku i wzięłam zadatek...

— Kiedy ? jak ?

— Dziś o południu...

Sołoducha pokręciła siwą głową.

— A gdzie ci tu kto tak prędko co kupi ?

— Resztę wam zostawię...

— Ale po co iść : na zgubę, na pohybel ! Porznię chatę, chodź do mnie, wikt cię u nas nie zobaczy ; ludzie się przedziwnją i przegadają, a potem do chaty powrócisz.

Dziewczyninie iza pociekła, ale głową potrzęsała w milczeniu.

— Nie! nie! bywajcie zdrowi matusiu! To jnż być nie może... Wzięłam zadatek, dałam słowo... Tylkobym chciała starego Rataja pożegnać i za chleb i jemu podziękować.

— Stary włóczęga gdzieś w Brzozowej-górze na prazniku, ani słyhu o nim...

— O! szkoda!... szkoda!...

— Nie odchodź lepiej jak masz żałować — rzekła wpatrując się w nią Sołoducha — w mieście ty zginiesz z taką twarzyczką... Gładkie liczko to dla dziewczyny utrapienie: spokoju ci nie dadzą.

Marysia przerwała jej mowę.

— Matko! — odezwała się — jutro rauc przyjdźcie do chaty, a co w niej się zostanie, to wasze... Tylko proszę was, proszę, weźcie do siebie Burka, gołębie i ptastwo, niech z głodu nie zdycha: weźcie dla miłości Bożej...

Sołoducha miała coś odpowiedzieć, gdy Marysia szybko ją pocałowawszy w rękę, biegiem od niej uszła. Pilno jej było nacieszyć się tą chatą, której więcej widzieć nie miała, swymi przyjaciółmi wiernymi i ostatnim dniem młodości. — Pobiegła, pobiegła wprost na cmentarzysko, naprzód na mogiłę matki, twarzą na ziemię padając przy niej zapłakaną.

Nie wiem jak długo leżała tak na mogilnej glinie, ale gdy wstała, zesłabła i złamana boleścią, znużenie samo sprowadziło w niej jakąś zmianę: zdrętwiała ostygła; podniosła się machinalnie, poszła do chaty powoli, krótki był wybór, i mały węzełek jej podróżny: rzuciła go na ławę zostawiając wszystko, nie chcąc nic ruszyć

z miejsca, aby dłużej patrzeć na nietknięte domostwo swoje. Obeszła potem wszystkie kąty, żegnając każde miejsceczko, każdą ściankę, każdą komórkę chaty; niespokojny Sierotka sam jeden towarzyszył jej w tej pielgrzymce. Ani się spostrzegła jak zgłodniałej i zmęczonej dzień przeleciał strzałą, a słońce zapadać zaczęło za góry i lasy.

Z kawałkiem chleba, który gryzła, wyszła Marysia na próg, powtarzając usty najstraszniejszy z ludzkich wyrazów: — ostatni raz! ostatni!

A! czyż nie każda chwila w życiu naszym ostatnia? Choć o tem zapominamy, w każdej z nich obsypuje się jakaś cegła z tej ruiny, którą zwiemy życiem. W mgłach tego wyrazu: — raz ostatni — inaczej wydało się jej wszystko; pożałowała nawet boleści i sieroctwa swego. Sen ani myślał kleić jej powiek i pozostała tak na przyzbie, aż ją krzyk ptastwa, dopominającego się strawy, przebudził.

Pobiegła i wyniosła im placząc wszystko, co miała jeszcze, rozsypując po ziemi ziarno, o które obojętnie rozbijać się zaczęli zgłodniałi. Patrząc na to setne powtórzenie codziennej swej zabawki, usnęło biedne dziecko zmorzone uczuciem i boleścią, której ciało znękać podolać już nie mogło.

Gdy otworzyła oczy, księżyc już był wysoko na niebie, a przed nią stała czarna postać Azy cyganki.

— Czas! czas! — odezwała się do niej przybyła — wybieraj się i chodź ze mną!

Marysia wstrząsnęła się, krzyknęła, ale po chwili namysłu wbiegła do chaty, i szybko jakby się sama lękała siebie, porwała przygotowany węzelek, nie patrząc, nie oglądając się, a biegnąc z Azą na szeroką drogę.

Przed nią był cmentarz... Aza ciągnęła za rękę, ale dziewczę co nie pożegnało chaty, musiało matki mogiłę pożegnać. Cyganka nie śmiała wejść za nią na pole umarłych, wśród którego jak duchy czarne wznosiły się gęste krzyże.

Sama tam weszła sierota i ścieżką swoją trafiła na znane miejsce: pocałowała zimną ziemię, pomodliła się jeszcze.

— Matko! — szepnęła w ostatku — ty widzisz, że mi iść potrzeba; tu nie bracia moi, tu obcy, jeden był, a i za tego przeklinaliby mnie starzy rodzice... Ty wiesz co to przekleństwo starego ojca za dziecko swoje! Trzeba iść w świat, w świat!

I objęła jeszcze rękami starą wierzbę, na której kądzień wieszała; a w tem niecierpliwy głos cyganki dal się słyszeć, i dziewczyna posłuszna mu jak głosowi przeznaczenia, wyrwała się ze cmentarza.

A księżyc tak srebrzysto oświecał lepiankę starą, a na jej dachu gruchotały gołębie, a na jej progu białeły gąski, zbierające jeszcze resztki owsa, i Burek leniwy mruczał na przyzbie... Jeden Sierotka wierny szedł za swoją panią, lizac jej rękę, jakby zaręczał, że jej nie opuści.

Przelotnem wejrzeniem objęła ten obraz niezapomniany dziewczyna, i rzuciła się drogą, by odeń uciec co prędzej... Aza ledwie za nią podążyć mogła, mruczac pod nosem:

— Krew ojca!

W milczeniu przeszły górę, okrążyły wioskę i zbliżyły się do długiej mogiły na rozdrożu, u której zatrzymała się cyganka.

— Czekaj — rzekła do wylekłej Marysi — i to mo-

gila, którą pożegnać potrzeba: — mogiła ojca twojego... modliłaś się za matkę, niech i ja powiem słowo duchowi przyjaciela...

Dziewczę wstrzymało się drżące i objęte jakimś strachem; a cyganka powoli wstąpiła na pagórek, twarzą obróciła się do księżyca, wyrwała garść zeschłej trawy z mogiły, garść suchych dorzuciła gałęzi, i dobywszy ognia, zapaliła tajemną jakąś ofiarę.

Rzuciła na nią ziola wonne i coś z chusty dobytego; zaczęła szeptać słowa i tajemnicze zaklęcia, a rękę zwróciwszy na dwór i wioskę, miotać się zdawała jakieś na nie przekleństwa. Wiatr, który rozdał płomyk i susz rozpalil, wpędce też zdmuchnął ten stos pogrzebowy, a ogień buchnąwszy do góry, opadł i zagasł w mgnieniu oka: świst tylko wiatru, który zdawał się z sobą unosić słowa cyganki, rozległ się po okolicy.

— A teraz dalej! dalej w świat! — ozwała się schodząc z mogiły Aza — w świat córko cygana... Pamiętaj, że ci ojca zabili *galdziowie*... pamiętaj!

We dwa dni potem pan Marcin z budek Rudeńskich powrócił do domu ze Stawiska, i znowu zatrzymał się u wrót podwórka Choińskich.

Adam siedział u chlewka na kłodzie i chmurny fajkę palił, która mu co chwilę zagasała.

— Dzień dobry kumie!

— Dzień dobry waszeci... A co? może znowu z żytem?

— A zkad go nabrać? Jadę ze Stawisk od inlyna.

— No, to jedźże z Bogiem — odrzekł pan Adam — a jaką tam miarkę biorą?

— Dziesiątą z czubem — odezwał się Marcin wzdy-
chając. — Ot! jaki to czas! Ale, ale kumie mam i
nowinę dla was zanadrzą.

— A kat cię bierz z twojemi nowinami co je po pół
złotego sztuka w sztukę płacić każesz; może i tę masz
na sprzedaj?

— A jakże, i złotabym się za nią wziąć nie po-
wstydział.

— Patrzajcie! wydrwigrosz! Już mnie teraz nie zla-
piecie; syn w domu, prawda, że coś niedomaga; ale to
młode, to się wychoruje i djabli go nie wezmą.

— Bywajcie zdrowi kumie — rzekł z uśmiechem
Marcin, zabierając się niby do odjazdu.

— No, a wasza nowina?

— Jest u mnie jeszcze ćwiartka grochu: cobyście
mi za nią dali?

— Ot! żydzisko — zaburczał pan Adam — a po
djabła mi twój groch?

— A dla wieprzów? Oddam nie drogo.

— Wiem ja go; przez wpół robaczywy i lady w nim
pełno... Ale nowina?

— A cóż dacie za groch?

— Dajcie pokój, kiepskie żarty!

— Dobranoc kumie.

Właśnie gdy to mówili, chory Tomek wywłókł się
był do sieni, a ujrzawszy ojca i wyjść dalej nie śmie-
jąc, słuchał mimowolnie rozmowy.

Marcin odchodził, pan Adam go wstrzymał.

— No, no! — rzekł — kupię groch kumie; a co tam?

— A dziwy! — odparł Marcin, któremu się gęba
rozwiązała gdyby cudem — tażto Marysia cyganka,
jakeście ją nastraszyli, tak nieboga z chaty uciekła,

wszystko porzuciwszy.

Choiński się zerwał z miejsca.

— Czy to może być ?

— Jak Bóg Bogiem...

— A to uczciwsza dziewczyna niż myślałem !

— To też kto żyw wszyscy ją we wsi żałują i rozpadają się po niej ; a co się słyszę napłakała biedniaczka, nim poszła ! A na odejściu wyrażnie tak powiedziała Solodusze, że przekleństwa waszego nie chce mieć na głowie.

— A gdzie się podziała ? — spytał Choiński.

— Bóg wie ! Jedni gadają, że poszła gdzieś służyć do miasteczka, drudzy, że ją zabrali i namówili cyganie, co to tu byli i niedawno nocką zemknęli...

— A ! szkodać mi jej niebogi ! — westchnął stary — kiedy to takie pocziwe... ha ! Ale może to i lepiej !

— A kiedy mój groch przywozić każecie ? — zapytał Marcin. — Ale pan Adam poszedł zafrasowany do żony, i zapytania tego nie słyszał.

W chwili, gdy przez sień przechodził, Tomko, który stał jak wryty za drzwiami zaczaiwszy się, skoro ojciec izbę za sobą zamknął, wychwycił się na podwórze. Pan Marcin pokiwawszy głową i coś namruczawszy o grochu, zawrócił do domu. Chłopak tymczasem jakby nic nie wiedział co się koło niego działo, pobiegł wprost do stajenki, dopadł siwka, uzdę mu na kark zarzucił, i oklep nań siadłszy, ścisnął go kolanami.

Wrota były otwarte, i nim się w chacie postrzeżono, już Tomko był na drożynie, a wnet i skrył się w lesie.

Matka i ojciec ani się domyślali ucieczki i gadali jeszcze z sobą pocichu, gdy syn na polance wśród dębniaku stanawszy, rozmyślał tylko co począć z sobą.

— Polecę za nią na kraj świata — mówił w duchu — ale jak ją tu wyszukać? gdzie się ona biedna podziała? kogo tu spytać o nią?

Jakby na zawołanie koń pierzchnął ze strachu i stara Sołoducha o kiju idąca ukazała się o kilka kroków.

— A to wy paniczku! — zawołała — tylko coście moich starych kości nie roznieśli.

— Sołoducha!! a to ty! biesze cię po nocy lasem wodzi?

— Niosę Marcinowej lekarstwo; a wyżto dokąd?

Tomko westchnął.

— W świat! — rzekł.

— O! to daleko paniczku — odezwiała się stara. W którąż stronę, możebyscie się komu pokłonili ode mnie?

— Albo ja wiem gdzie pojedę — odparł chłopiec. Tylkom co się dowiedział o mojem nieszczęściu. Polecę jej szukać choćbym miał kark skrócić...

— Paniczku, a ojciec? a matka rodzona?

— Nie chcieli mojego szczęścia, niech i mnie nie mają — zawołał Tomko. — Ale nie wiesz gdzie się ona podziała?...

— Gdzie? jużćić pewnie z cyganami poszła... bo ją ta bestja kusila nie mało; a jak wasz ojciec pogroził, musiała nieszczęśliwa posłuchać włóczęgów.

— A cyganie dokąd poszli?

— Ale! szukaj wiatru w polu!... Jeszcze dwa dni temu byli w Rudeńskim lesie, terazby o nich ludzi pytać...

— A! prawda! jakież ja głupi! — zawołał Tomko. — Od tutejszych ludzi dowiedzieć się muszę i pójde tropem.

I ścisnął siwego, a babie nie powiedziawszy nawet

Bóg zapłać za radę, znikł w lesie gdyby wicher pędząc bez drogi.

Sołoducha się uśmiechnęła i mrugnęła okiem.

— Ot tobie szlachcicu zalecanki! ot tobie stary górą głowę nosić! Będiesz cygańskie dzieci kołysał.

Nazajutrz lament i zamieszanie w Choińskiego chacie. Syn jak w wodę wpadł, nie wiedzieć gdzie się podział; ojciec winuje matkę, matka na ojca narzeka, a oboje płaczą. Całe budki zeszły się pod ich podwórko, każdy z radą, ubolewaniem, z dobrem słowem, a pan Marcin z grochem. Sołoducha takżę przyparła się do płotu, niby nic nie wie, milczy i wzdycha tylko.

Na dziedzińcu zagrody jak w wielkie dnie nieszczęść i klęski, wszyscy razem: i pan Adam z załamanemi rękoma, i Agata rwąca włosy z siwej głowy, i czeladka szepcząca o Tomku różne wiadomości pochwytane z przesłłości, różne domysły Pan Bóg wie na czem oparte.

— A niechby się był żenił z kim chciał — wołała Agata — z cyganką, żydówką, ostatnią łajdaczką; mogłoby się to lichu powoli nawrócić i poprawić naszym staraniem i modlitwą; ale tak pójść, uciec od nas na kraj świata!!

— Niewdzięczne dziecko! — krzyknął pan Adam! — dałbym mu sto łóz, gdybym go złapał.

— Otóż to twoje pięćdziesiąt i sto coś je raz wraz powtarzał, tego licha narobiło — odparła matka. — Tybyś mu nie dał i pięciu, a na języku tylko waszeci batogi a batogi.

— Ależto nie może być! — zawołał ojciec chodząc

po podwórku — ja go taki wynaleźć muszę, żeby się wśród ziemi schował!

— A jakże poszedł za kordon? — odezwał się jeden z sąsiadów.

Choiński westchnął ciężko na samą myśl która i jemu do głowy już przychodziła, bo Rudnia nie dalej dwóch mil leżała od galicyjskiej granicy.

— Cyganie musieli pewnie do Węgier pociągnąć, to i ona i on za nimi poszli — potwierdził drugi.

— A! nieszczęśliwa godzina moja, już go oczy moje więcej nie zobaczą! — płakała matka. — Adamie zlituj się na rany Chrystusowe, gonić ich potrzeba!

— Co gonić! kogo gonić! gdzie? — odrzekł ojciec niemniej zafrasowany — wiatra w polu! A kóż go wie gdzie jest?

W tem Sołoducha ukazała się z za płota.

— Za pozwoleniem waszeci — odezwała się — a ja tu jego wczoraj w lesie na siwku oklep jadącego spotkałam...

— Spotkałaś go? — krzyknęli ojciec i matka podbiegając ku niej — gdzie? jak? kiedy?

Wszyscy otoczyli Sołoduchę; a ta rada, że na nią tak obrócili oczy i nastroili uszy, zabrała się do opowiadania. Nie myślcie jednak, żeby po prostu powtórzyła jak było; starucha miała zwyczaj chwalebny zawsze coś z głowy dorzucić, i teraz też nie omieszkła dodatków.

— Idę ja, idę wczoraj drogą — mówiła — a był sobie tak zmierzch już dobry; idę drogą, tą drogą, co to na budki ze Stawiska prowadzi przez las mimo pasieki dobrodzieja; idę, i modłę się sobie... Jednym razem, Chryste Jezu! jakby dąb leciał na mnie, szum, trzask, ledwie

miałam czas odskoczyć: patrzę przestraszona, żegnam się... a to Tomko tak gna na siwym. Ot tak oklep siedział na nim, a taki straszny, taki blady, jak chusta: bez czapki, z włosiem nasrożonym na głowie... Czy nie swój, czy chory, czy nawiedzony.

Ażem krzyknęła... a on stanął i patrzy... patrzy, a oczy mu się świecą, Boże jedyny tak straszno!!! A potem do mnie, bo on mnie znał i dawniej i taki nie minął, żeby dobrego słowa nie powiedział. — Dobry wieczór matko. — A ja: — Dobry wieczór paniczu; a dokądże tak? On tylko ręką rzucił. — W świat, gdzie oczy poniosą. — Ja tedy: Miły Boże, dokąd? jak? co? cóż to jest? — Ten tedy westchnie, aż mi ciarki po skórze poszły. — Niechcieli szczęścia mojego, niechże i mnie nie mają; ot za cyganami pojadę i z cyganami na włóczęgę. — Ja widząc, że to nie żarty, kiedy go nie zaczęę prosić i odwodzić, ale gdzie?? tylko że mnie nie wybił... Potem powiada. — Słysz stara! na to już nie ma rady: ja za nią pójdę choćby w piekło, bo bez niej żyć nie mogę; a jeźliby mnie i złapali... dodała chytra Sołoducha — to sobie śmierć zrobię... bo mi życie obrzydło...

Długie milczenie nastąpiło po tem opowiadaniu; matka spojrzała na starego Choińskiego, on wargi zaciął, głowę spuścił, a Marcin nielitościwy złą dobrał porę spytać go, gdzie groch zsypywać.

Nie nie rzekł pan Adam, iza mu się jakaś zakręciła w oku, i do wozu kazał co najrychlej zaprzęgać. Z zimną krwią wydawał rozkazy, dobrał trzech sąsiadów, wyznaczył dla nich konie, sam sobie wózek opatrzył i rozdysponował pogonią.

Matka stała, patrzała, ale ze strachem widząc tę

zimną krew nadzwyczajną Choińskiego, czekała tylko pory, żeby coś z niego wydobyć, żeby go nieco zmiekczyć. Namarszczona brew, ścięte usta, bladość twarzy pana Adama, przerażały ją; nie mogła się domyślić co postanowił, nie wiedziała więc od czego zaczynać; dopiero gdy rzuciwszy ciekawych paplejących w podwórku, Choiński wszedł do chaty po trzosik podróżny, żona pospieszenie się za nim wcisnęła.

Sami byli w izbie.

Stara siwowłosa kobieta uklękła przed mężem i panem, i nie mówiąc słowa, przyciągnęła do ust spracowaną dłoń jego.

— Adamie! — rzekła po chwili — odezwij się, powiedz, co ty myślisz o dziecku naszym, co u ciebie w duszy: nie zabijaj mnie przed czasem... Po co go doganiać, jeżeli nie chcesz mu ani przebaczyć, ani pofolgować biednemu...

Nie uważała, że staremu ojcu ręce się trzęsły, gdy woreczka z pieniędzmi dobywał, że oczy miał łez pełne i chlpał prawie; nie dopatrzyła się, że wszystek już gniew ojca przepaliła żalostí po jedynaku, że jedyną jego myślą było tylko odzyskać Tomka.

— A! Agato! — zawołał wybuchając — na rany Boże, czyż ty mnie jeszcze nieznasz; daj Boże byśmy go odzyskali, a nie bój się o chłopca. Ludzie świadczą, że dziewczyna pocziwa: niech się dzieje wola Pańska — dodał poważnie. — Chciał nas Bóg upokorzyć w oczach ludzi tą synową, żeby nas grosz zapracowany w dumę nie wzbijał; niech się dzieje wola Jego... niech się stanie... Byliśmy go odzyskali! A że koni i siebie i grosza nie pożałuje, możesz być pewną; klęknij ty przed Najświętszą Panną i świętym Antonim, niech nam odda

zgubę naszą...

To mówiąc pocałował ją w czoło wydarłszy rękę, którą do ust cisnęła, i poważnym krokiem wyszedł z chaty. W podwórku wszystko już było gotowe: trzech szlachty, konie, wozy; a ciekawi tłumnie wyprawę otoczyli.

Adam stanął w pośrodku.

— No — rzekł — waszeć panie Wincenty, jeżeli łaska na Stawisko; choć tędy cyganie iść nie mogli, ale żadnego szlaku minąć nie chcą... Wy kumie Macieju, mimo Porwańca ku granicy pociągniecie; a żywo, i koni moich nie żałujcie... Ty Bartku, przez lasy na karczmkę mecherzyniecką, a ja od wsi będę szukał języka, i za nim się powlokę. Jeżeli z cyganami się zetkniecie, chwytajcie mi Tomka i dziewczynę... Niech się dzieje wola Boża, kiedy już inaczej być nie może. Powiedźcie mu, że przebaczam wszystko i pobłogosławię... pobłogosławię — powtórzył głosem drżącym.

Sołoducha posłyszawszy to, rozparła tłum i przybliżyła się.

— Czekajcie — rzekła — naprzód potrzeba jechać do wioski, napytać języka, potem wprost śladem cyganów, bo taki mówił, że ich dogoni... Byle pospieszyć nim się do granicy dostaną, bo jak kordon przejdą, to wszystko przepadło.

Już szlachta na konie wsiadła i Adam na wózek się zbierał, gdy Sołoducha plasnęła w ręce ujrzawszy Rataja zbliżającego się drogą od wsi do budek.

— Postójcie! postójcie! — zawołała znów głosem donośnym — ot mój stary się wlecze, onże wie co się dzieje na trzy mile w koło, jego tylko popytajcie, on wam najlepiej powie gdzie cyganów szukać!

Choiński z wózka skoczył, szlachta z koni, i nim Rataj się zbliżył o płot się opierając, już go pytaniami zasypali.

— Czekajcieno, powoli — rzekł żebrak stając — a na co wam cyganie? czy koni nakradli?

Sołoducha zbliżyła się, a stary poznał ją po chodzie, nim gębę otworzyła.

— A! i moja stara tutaj — rzekł — ha! chatę porzuciła i po świecie się włóczy! — Ale Sołoducha nie dając mu się rozpościerać, poczęła coś szeptać na ucho, stary głową pokiwał, i czapkę zdjął udobruchany.

— A na co was tyle? — rzekł powoli — ot niech pan Adam mnie z sobą na wóz weźmie, ja go do cyganów doprowadzę.

— Ty ślepy?

— Ale ba! lepiej ja bez oczu widzę, niż wy, co ich macie po dwoje na jednego. Siadajcie, a czasu nie traćcie, stary Rataj nie zawiedzie.

Choińskiemu nie w smak było brać z sobą na wóz żebraka, ale cóż miał począć; Rataj tylko się za koszyk pochwycił i rzesko wskoczył do środka.

— Wy bratku za nami — rzekł Choiński.

Zacięli konie i dalej w las manowcami, jak dziad pokazywał.

Od Rudni i budek rudeńskich, przestrzeń lasów przecinana tylko polankami i łąkami, na których stoją odwieczne dęby i brzozy, ciągnie się bez przerwy prawie do samej galicyjskiej granicy, której szlak przechodzi wzgórzystem zaroślem. Mało kto tak znał dobrze tę

okolicę jak Rataj stary, który póki oczu nie postradał przekradał paczki, a i teraz jeszcze w sakwie pod pozorem żebractwa, niejedną kontrabandę modląc się przemycał. Wszyscy nad granicą uwijający się żydkowie i ich pomocnicy byli mu doskonale znajomi: żadna w lesie kryjówka nietajna, a ścieżkę każdą tak opisywał, że Adam wydziwić się nie mógł, jak on bez oczów wszystko tak mógł pamiętać.

Bili się tak po lasach dzień cały po szkaradnej drodze, dwa razy trochę oddychali, a gdy noc nadeszła, Rataj wóz poleciwszy zostawić z chłopakiem w gęszczach, sam z Choińskim i Bartkiem począł prowadzić piechotę.

Wprędce jednak namyśliwszy się, znowu za sobą koniom iść kazal. Tu dopiero pokazało się, że lepiej czasem oczu nie mieć, bo dla jednego Rataja nocy nie było; wiódł ich jak we dnie, ani na chwilę się nie zastanawiając i ani razu nie zgubiwszy drogi.

W milczeniu tak zbliżyli się ku dolinie zewsząd pagórkami opasanej, wśród której stary Choiński pierwszy dostzegł rozpalone ognie. Zatrzymali się na wzgórku i podkradając pocichu, ujrzeni widok malowniczy, dziki i w swoim rodzaju dziwnej surowej piękności.

Cały tabor cyganów leżał w dolinie u wielkiego ogniska, rozpalonego pod rozłożystym debem wypróchniałym. Szatra płócienna przyparta była do pnia jego i przytwierdzona do grubych pokręconych gałęzi. Tuż stał wóz i para spleanych koni się pasła.

Widać było kociołek (kakabia) na trzech laskach zawieszony nad ogniem, zwijające się przy nim baby i siedzącą z głową na rękach opartą Azę, i leżącego u nóg jej Aprasza, i kilkoro cyganiąt wyrostków, kręcących się w kółko przy starszym, który im grał na

drumli. Zrazu oczy niespokojne szlachcica nie dostrzegły ani syna, ani dziewczyny, i serce bić mu zaczęło niepokojem.

— Nie ma tu ich, nie ma! — zawołał łamiąc ręce.

Ale w tejże chwili Bartek wskazał mu na uboczu w cieniu ledwie odbłaskiem słabym oświeconą parę, w której oko starego rozeznało Tomka i Marysię. Sierota siedziała na pniu spróchniałym, zakrywszy oczy rękami, u nóg jej mały leżał węzelek, Tomko stał z bokn, mówił coś do niej i jakby zaklinając bił się w piersi... Pies z nastawionemi uszami siedział przy swej pani, poglądając niespokojnie dokoła.

Niekiedy wzrok Azy padał na nich, ciekawy, sztyderski, pełen jakiegoś uczucia mściwej prawie radości. Choiński rozpoznawszy to wszystko, chciał się zaraz rzucić do syna, ale go drudzy, a zwłaszcza Rataj, opamiętał, że uciec mogą, że cyganów siła większa, a licha drażnić niebezpiecznie. Poczem wskazawszy ręką staremu, żeby pozostał na uboczu, sam odsunął się nieco i wszedłszy w bliski wąwóz, prosto się skierował na ciepły dym cygańskiego ogniska.

Dobrze się zbliżył, a nikt go nie dostrzegł jeszcze; dopiero gdy sierotka zaszczekał i za nim dwa psy cygańskie njadać zaczęły, Aza spojrzała, Aprasz się podniósł i co żywo kupić się i zbiegać jeli, na dziada kierując.

— Dajcieno pokój, to stary Rataj ze Stawiska — rzekł Tomko — pewnie przenosi żydom paczki, a powachawszy dymu, przyszedł się ogrzać.

Cyganie zdawali się naradzać co począć, a stary śmiało się zbliżył do obozowiska. Kijem namacał miejsce uczuwszy się przy ogniu, psy odpędził i usiadł na

trawie, ani się troszcząc o otaczającą go gawiedź cygańską.

Na widok Rataja Marysia aż krzyknęła z radości, tak jej Stawisko, chatę i życie dawne przypomniął, i zabywszy wszelkiego strachu, nie myśląc tać się z sobą, rzuciła się zaraz ku niemu.

— Jak się macie ojcie? jak się macie?

— A! to ty Maryś! he? — zawołał stary, który tylko na to czekał, by mu się odezwała. — Nie nowina mi to, żeś ty tutaj; domyślałem się, że za cyganami pójdziesz, rozkochawszy Lacha, a i Lach, lichy go nie brało, za tobą pociągnął: wszakci i jego głos słyszę. Otoście się harno domyślili oboje.

Marysia stanęła milcząca.

— Ojcie — zawołała po chwili — widać, że kiedy komu z doli wypadnie być przeklętym, to już się od przekleństwa nie wychodzi; wiecie, że nigdy, ah! przeminędybym była i chaty mojej i mogiły matki nie porzuciła, gdyby się Lach nie upędział za mną, gdyby mi ojciec jego nie pogroził przekleństwem... Nie chciałam, żeby mnie ubogą kleli starzy jego rodzice; ale widać była w tem wola Boga!!

Dziewczę westchnęło głęboko.

— Prosiłam go na kolanach, płakałam, żeby powracał do domu; zaklinam go jeszcze, on nie chce... O! powiedźcie wy mu, powiedźcie, niechaj powraca!

— Idę z Rudni — rzekł stary Rataj — toto sądny dzień u Choińskich.. Żleś zrobił chłopcze: ojciec i matka rozbijają się za tobą, aż mi ich żal było, że za takim jak ty płaczą włączęgą... Jak tobie nie wstyd! jak nie żal!

Tomko milczał ponuro; Marysia łamiąc ręce zawołała:

— Ojcie! mówcie mu, mówcie, może serce jego ruszycie. A! czyż to się godzi dobrych rodziców tak rzucać... O! gdybym ja takich miała!

— Chybabyś ty wróciła ze mną, inaczej nigdy — rzekł Tomko — nigdy...

— O doloż ty moja nieszczęśliwa! — zawołała Marysia.

— Gdzie ty, tam i ja! albo się zatracę! — dodał chłopiec.

Rataj wydobyl z torby kawał chleba i poczał go krajać powoli. Aza zbliżyła się, stanęła i przysłuchując rozmowie wpatrywała się w starca, a dziki uśmiech błędził po jej ustach.

— Poszaleją rodzice starzy — zawołała — poszaleją! Dobrze im tak, chcieli innego szczęścia dla syna, niechże innego syna szukają.

— Kobieto! ty chyba nie masz dzieci! — odezwał się Rataj surowo.

— Nie mam! i mieć ich nie chcę — odparła dumnie Aza — póty z nich pociecha, póki wiszą przy piersi; na ziemię skoczywszy, chleb ci tylko z gęby i spokój z duszy wydzierają: nieprawda stary?

Rataj głową potrząsł.

— Nie, nie! — dodała Aza — już ani ona, ani on do was nie powrócą: muszą iść z nami! To dziecko krwi naszej, a to jej mąż, wyparł się wszystkiego dla niej i dobrze zrobił... dobrze! Godzina szczęścia lepsza, niż wiek grzybiego pustego życia.

— Moja kochana — chleb zajadając odparł Rataj — to tak jak komu do serca; a jabym godzinę mojej nieszczęśliwej doli na krótszą chwilę lepszego szczęścia nie pohandlował: takito się żyje...

— Tyś cygan jak i my i włóczęga — odpowiedziała Aza — a nie ma jak cygańskie życie: i tobie ono smakuje. Plunę na dołę, bo ją za sobą zostawiam, co dzień mam nową, nowe niebo, nowe życie... Hej! dalej a dalej, aby dzień do wieczora!

— Jak wy tak mówić możecie — nieśmiało przerwała Marysia. — A! mój Boże, mój Boże! a ja za ten kątek mój, za mogiłę, do której serce przyrosło, i za dołę dawniejszą, dałabym życia połowę, gdyby je choć we śnie zobaczyć... Niedawno tamtąd poszła, a spokoju nie mam od tęsknoty, aż mi głowa pęka... aż szaleję od płaczu.

— Boś niedawno poszła — zawołała śmiejąc się Aza.

— A nędzy mi to jeszcze dodaje, że Tomko z nami, i za nim gonią przekleństwa poczciwych Indzi; zdaje mi się, że czuję jak je każdy wiatr przynosi, jak mię z nóg walą i suszą duszę moją.

— No! to powracaj nazad! — rzekł Rataj.

— Ja! alboż mogę? — westchnęła dziewczyna. — A! nigdy już! nigdy! pomiędzy tamtych ludzi, na śmiech, wzgardę, na przekleństwo!

Rataj mocno kaszlać począł, a tak robił pierśią, że go o staję słychać było...

— Ot, co mi dasz Marysiu, — rzekł — to cię odprowadzę do domu?

— O! jabym tam i sama trafiła, gdyby mi wolno było — odpowiedziała dziewczyna — lepiej tam Lacha zaprowadź...

— Nie mówże tego Marysiu — oburzył się Tomko — wiesz, żeś przysiągł i nie opuszczę cię nigdy.

— Nieszczęście! nieszczęście! — zawołała Marysia, i twarz utuliła w dłoń.

W tem Rataj się zerwał, wyprostował i obrócił twarzą po za siebie; a na znak ten umówiony, z bliskich krzaków jakby cudem wystąpił stary Choiński, który całe wysłuchiwał rozmowy.

Zaledwie blask ognia oblał twarz jego, a krzyk Tomka, którego żebrak silną uchwycił dłonią za rękę, rozszedł się po lesie, cały obóz cygański ruszył się jak stado dzikiego ptactwa po wystrzale myśliwca. Aza zawołała na swoich, Aprasz, jego dzieci, baby, co żyło skoczyło do kijów, do siekier i wrzawą niesłychaną wypełniło dolinę.

Cyganie nie wiedząc jeszcze dobrze co się stało, sądząc się napastowani krzyczeli:

— *Katarsot? katartos?* (z kąd? kto to?). — Marysia upadła na ziemię jak nie żywa ze strachu, zakrywając sobie oczy; Tomko wrywał się i szamotał; i możeby jakim krwawym razem skończyło się to zamieszanie, gdyby Rataj nie krzyknął głośniejsz od wszystkich:

— Czekajcie, słuchajcie, cyganie, poganie, psie pleminę; nas dwóch, toć was nie pojemy... A ty głupi Lachu, co masz od szczęścia uciekać, jak długi do nóg ojca razem z nią...

— Ja do domu nie powrócę! — zawołał zapamiętały Tomko.

— Cicho! milcz — przerwał żebrak — ojciec ci przebaczył, powróćcie we dwojgu... Do nóg staremu, do nóg!

Na te słowa Tomko, któremu Rataj puścił rękę, osłupiony stał chwilę, a potem skoczył, objął i począł nogi ojca całować; ale Marysia usłyszawszy to zerwała się z ziemi i drżąc skryła się za Azą, pomiędzy cyganami.

Choiński stary milcząc, groźny razem i rozczulony, słowa wyrzec nie mogąc, cisnął syna do piersi.

— Przebaczam ci — odezwał się nareszcie — bierz ją i powracaj do domu; ale pamiętaj chłopcze... — tu lży mu słowa przerwały.

Tomko wychylił się z objąć ojca szukać Marysi, która opodal stała szepcząc z cyganką.

Obóz cygański jakby czarnoksiężką dotknięty laską, kupił się, zwijał i zabierał szybko do opuszczenia ogniska. Namiot na wóz rzucono, konie wprzęgano z pospiechem, wszyscy pomagali do pakunku, a Aprasz nie patrząc na kogo padną, gęsto razami okładał otaczających.

Tomko przecisnął się do dziewczyny.

— Ojciec nam przebaczył — zawołał — chodź, chodź, i padnij mu do nóg ze mną.

Ale Marysia płacząc schowała się za Azę.

— Ona nie chce — odezwała się cyganka — słyszysz, że nie chce...

— Jakto nie chce? — krzyknął Tomko.

— Spytaj jej samej; idzie z nami...

— To i ja z wami! — zawołał Tomko, ale to być nie może.

— Dziewczyna nie chce! czy co? — odezwał się stary Choiński — na rany Boże! czyż ją jeszcze prosić będziemy?

Oba z szlachcicem zbliżyli się do sieroty.

— Co tobie się stało, dziecko — poczał Rataj — oszalałaś, takie szczęście odpychać? mów! To cygańska sprawa, odurzyli, czy oczarowali?

— Nikt mnie nie oczarował — odezwała się zbierając siły Marysia — ale mogeż ja, powiedzcie sami, na-

rzucić się wam za niewiastkę? Czyto tam szczęście będzie, gdzie miłości nie ma, gdzie woli nie było? Wy mną gardzicie jak cyganką, a ja jałmużny nie chcę. Przyjmujecie mnie z żalem, żeby mieć syna, a jutro precz wygnać możecie z torbami; lub za rok jeśli dożyjem, wykluwać mi oczy cygaństwem, sieroctwem i ubóstwem... Nie! ja tego nie chcę!

Choiński zamilkł zadumany.

— Słuchaj — odezwał się po chwili namysłu — słuchaj i zawierz mi dziewczyno, bo to co mówię, mógłbym i przed ołtarzem Bożym powtórzyć... Miałem cię za ładacę, nie taję, ale kiedym cię zobaczył i posłyszał, a teraz bardziej jeszcze... klnę ci się na Boga, że gdybym temu hultajowi wybierał żonę, a sobie synową, tobym już innej nie żądał.. Poczciwą jesteś i hardą, a ja do chaty grosza nie potrzebuję, tylko szczęścia...

Dziewczyna stanęła wryta; łzy puściły się jej z oczu, podbiegła, pocałowała w rękę starego i cicho rzekła:

— Bóg zapłać ci za dobre słowo; ale ludzie! ale matka!...

— E! — głupia jesteś — krzyknął Rataj podnosząc sękatę kiję — at! nie durzyłabyś się darmo... A mało ci to, że powrócisz do chaty swojej, do swego kąta i mogiły matczynej, a włóczyć się nie będziesz gubiąc duszę z cyganami! Do nóg, plackiem do nóg staremu, i w drogę!

Gdy to się działo w maleńkiem kółku złożonem z Choińskich, Rataja, Bartka i Marysi, cygańska tłuszcza odstąpiwszy nieco, stała w milczeniu; rzuciwszy nawet pakunek i wybór w drogę, tak się podziwiali nie rozumiejąc! dziwnym, niezrozumiałym dla nich targom.

Aza stała milcząca, chmurna, zagniewana, a gdy

wreszcie ujrzała, że Marysia pada do nóg staremu, rozśmiała się śmiechem szatańskim, jak przekleństwo przeraźliwym.

— Głupia dziewczyna! — przerwała — idź na zgubę kiedy chcesz, idź...

I odwróciła się do swoich.

— Aprasz w drogę! na Węgry.

— I my w drogę — zawołał Choiński — w chacie nas tam modląc się czeka matka...

Gdy sierota odwróciła się chcąc zbliżyć, by pożegnać cyganke, Aza cofnęła się odpychając ją ręką:

— Idź precz, krew gadziów nienawistnych! — zamruczała przez zęby — idź na stracenie do swoich... Nie warta jesteś ogniska Romów i Romów serca... precz biała!

Porwali ją otaczający i na wóz wsadzili. Zasiadł zaraz stary, Tomko i Bartek, a tak szybko unosili się obawiając napadu cyganów, że nawet o starym Rataju zapomnieli, który o kiju pomrukując, powłókł się za nimi. W istocie posłuszna Azie banda zdawała się cicho tylko naradzać, by odbić i porwać dziewczynę, ale nim się tam rozmyślili co począć, konie zaciąwszy Choińscy po bezdrożach popędzili ku Rudni przez lasy.

W popłochu tym tylko siwy koń Tomka padł ofiarą, bo go Apraszowie nprowadzili z sobą na Węgry.

W kilka tygodni potem — skończmy jak się kończą bajki — sprawiono huczne wesele... A było obfite, a było wesołe, a było ochocze i gości na niem co nie-miara. I ja tam byłem, miód, wino piłem, po brodzie

ciekło, w gębie nic nie było...

Chata za wsią stoi jeszcze staruszka, ale obok na gruncie, na czynsz puszczonej Choińskim, osiadł Tomko i pobudował dworek, o którym kiedyś, kiedyś, gdy mi na duszy będzie weselej, na sercu swobodniej a na świecie lepiej, może wam kiedy opowiem: bo w bajce tylko kończy się wszystko weselem, na świecie od niego pochyna... a chata za wsią stoi jeszcze...

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.



181

1000-

Biblioteka Raczyńskich

JK 1425



JK1425